

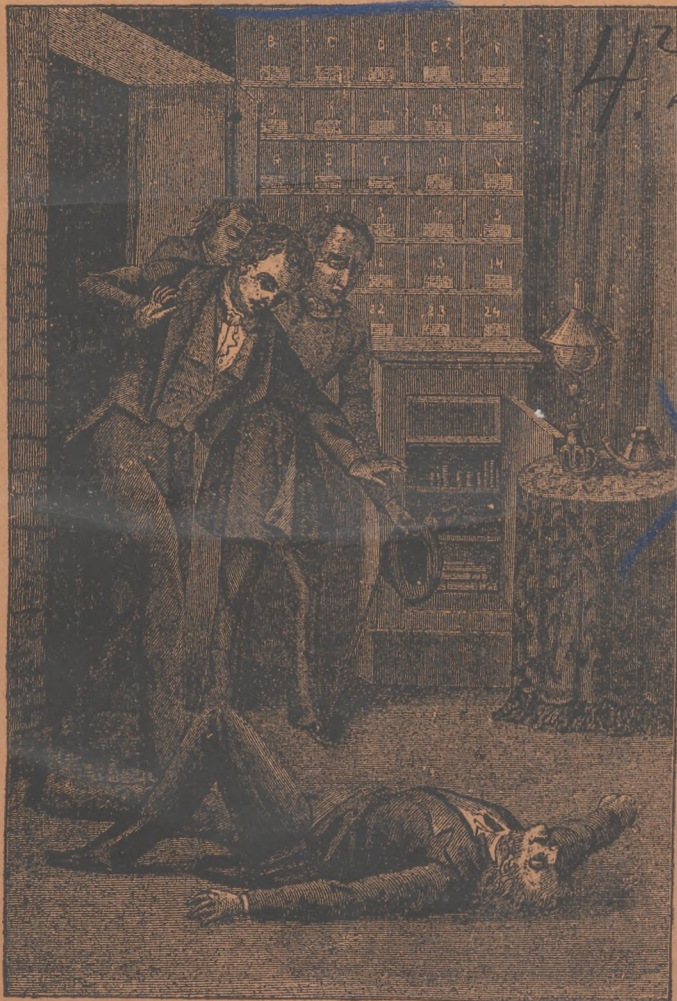
Ksawery de Montepin

Zeszyt 13 (trzynasty).

Cena 10 kop.

814.124
TRAGEDYE PARYŻA.

1-2. Ząblet do



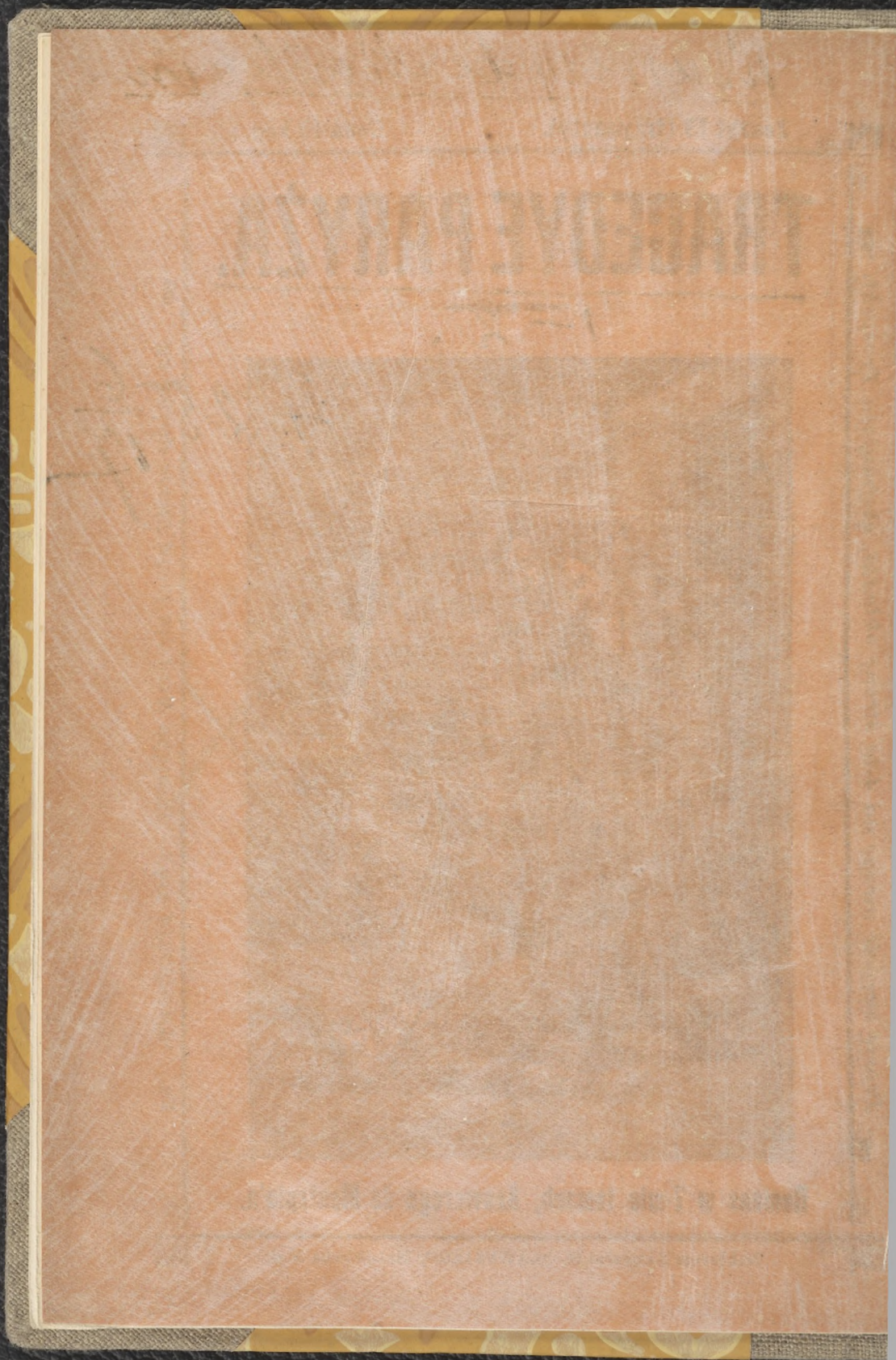
4.25 $\frac{6}{17}$

Za każdy zeszyt płaci się przy odbiorze -- bez przedpłaty.

Proszę zwrócić uwagę na 4-tą stronę okładki, obejmującą Prospekt.

Romans w 7-miu tomach, Ksawerego de Montepin'a.

Nakładem Księgarni H. OLAWSKIEGO, Mazowiecka № 6.



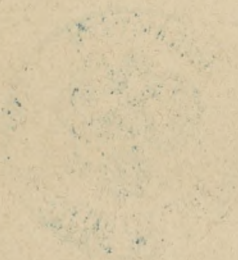
^

PANI ANGOT.

Tom I.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

PAINTED



9.845
KSAWERY de MONTEPIN.

TRAGEDYE PARYŻA.

Romans w siedmiu tomach z ilustracyami.

Przekład z francuzkiego

J. W.

Tom I.



WARSZAWA.
Nakładem H. Olawskiego.
Mazowiecka 6.

1893.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 21 Ноября 1892 года.



BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

II 814.124

Ⓐ

T. 1-2

DRUK JANA COTTY W WARSZAWIE, SENATORSKA 29.

W S T Ę P.

Pani Angot.

I.

Domy, jak ludzie, mają właściwą sobie fizyonomię. Niektóre budynki, skromne z pozoru, pociągają dziwnym urokiem, obiecując ciszę, spokój i szczęście, inne, przeciwnie, wstręt budzą swoim ponurym wyglądem.

Pilny obserwator, opierający na tem swe spostrzeżenia, powie, i nie bez przyczyny, że w podobnych schronieniach nie mogą mieszkać uczeni ludzie.

Do takiej to podejrzanej kategorii domów, zaliczyłam wypada kamienicę dwupiętrową, wznoszącą się w 1850 roku na bulwarze Batignolles.

Wspomniony bulwar stał się obecnie piękną, rozległą częścią Paryża, starannie utrzymaną, należycie oświetloną, zapełnioną po obu stronach wytwornymi budowlami, wspaniałymi magazynami i kawiarniami.

Nie było tak przed laty dwudziestu kilku.

Część zewnętrzna rogów bulwaru, położona między Montmartre i Batignolles, przedstawiała w lecie piaszczystą pusty-

nię, w zimie bagnisko, słabo oświetlone wieczorem, miejsce nadające się wybornie do schadzek dla pozarogatkowych włóczęgów; zabudowane dwoma rzędami starych, brudnych domów, nie różniących się wiele od otaczających je lepianek.

Na zewnętrznej stronie wyż wspomnianej kamienicy zdawał się ciążyć jakby rodzaj trądu.

Otynkowanie poodpadało z niej kawałkami. Okiennice i żaluzje różnego kształtu i koloru, pozakupywane widocznie w składach rupieci, trzymały się zaledwie w oknach, nieregularnie porozmieszczanych.

Właściciel domu, gruby mężczyzna, nazwiskiem Vignot, inaczej nie wiadomo z jakiej przyczyny „*Sznurem*“ przezwany, zajmował parter tegoż.

Utrzymywał on tu kawiarnię podejrzanego rodzaju, której klientela rekrutowała się przeważnie z pomiędzy wypomadowanych „*Alfonsów*,” uczęszczających na baliki pod „*Królową Blanką*.”

Jeżeli godzi się wierzyć głosowi publiki, Vignot łączył do owej profesyi różne rodzaje mało zaszczytu przynoszących mu zajęć. By zaś usunąć od siebie uwagę policyi, oddawał też niejednokrotnie nader ważne usługi, co zamykało jej oczy w pewnej mierze na jego sprawki.

Pod oknami pierwszego piętra, na murze tej kamienicy, umocowanym był obraz na drzewie olejno malowany, z którego deszcz, słońce i kurzawa, nie zdołały jeszcze zetrzeć barw jaskrawych.

Obraz ten, którego twórca może niestety śnił niegdyś o sławie, przedstawiał kobietę w żółtym kapeluszu z piórami, w sukni różowej, dekolowanej, z błękitną przepaską, obejmującą z wdziękiem w ramiona pызate niemowlę.

Poniżej widniała tabliczka, na której wypisane nazwisko niczyjej natenczas nie zwracało uwagi, a które we dwadzieścia cztery lat później obdarzyło majątkiem i sławą jeden z teatrów Paryża.

Pani Angot

AKUSZERKA.

Przyjmuje damy potrzebujące opieki.—Dyskrecya.—Troskliwość
macierzyńska.—Oeny umiarkowane.

Czy owa pani z bulwaru Batignolles była w rzeczy samej krewną legendowej pani Angot, nie wiemy. Jakikolwiek bądź jednak było jej pochodzenie, zajmowała w wyż opisanym domu całe pierwsze piętro, płaciła komorne regularnie, zkąd zaskarbiła sobie szacunek i poważanie u pana Vignot.

Na drugiej tabliczce, umieszczonej w widocznym miejscu, napis objaśniał, że obok zakładu pani Angot, znajdują się pokoje umeblowane do wynajęcia, tygodniowo, dwutygodniowo i miesięcznie.

Pan Vignot był przedsiębiorcą tych lokalów.

W końcu korytarza, nasiąkniętego nieczystym wilgotnym powietrzem, wązkie ciemne schody, pokryte masą błotnistą, prowadziły do pani Angot i do pokojów umeblowanych.

Wejźmy do jednego z nich, noszącego Nr. 4.

Trudno wyobrazić sobie izbę pospoliciej umeblowaną, o nędzniejszej powierzchowności.

Podarte firanki, niegdyś białe z czerwonym obszyciem, przysłaniały do połowy łożko drewniane, na którym leżał siennik z wyglądającą zeń słomą, i materac szczupły i płaski.

Rozdarta przez całą długość firanka, podobna do zawieszanej nad łożkiem, przysłaniała okno.

Komoda, stolik i cztery drewniane krzesła dopełniały całości.

Szczupłe zawiniątko leżało tuż przy komodzie. Po nad kominkiem nie było zegara, ale dwa mosiężne lichtarze, odbijające się w zielonem zwierciadle, krzywo w ramy oprawnem i zapisanem mnóstwem kobiecych imion, wyrzniętych widocznie ostrzem dyamentu.

Jak wytłomaczyć w podobnem miejscu obecność tego klejnotu, choćby najmniejszego?

Na balikach to bezwątpienia szukać potrzeba byłoby rozwiązania owej zagadki.

Obok kominka stał piecyk gliniany, a na nim kilka fajansowych talerzy, próżna butelka, dwa widelce, dwa noże, trzy wazki metalowe i mały zapas węgla drzewnego.

Otóż i wszystko.

Zajmijmy się teraz osobistościami.

Było ich dwie we wspomnionym pokoju, a nigdy kontrast bardziej uderzający nie zdarzył się jak w chwili obecnej.

Przed owem zwierciadłem, pokrytem jak gdyby mgłą wieczną, stał młody mężczyzna, zakładając krawat na szyję.

Mógł mieć około lat trzydziestu pięciu i widocznie nie należał do zwykłych gości tych brudnych stron miasta.

Ciemno blond włosy, wijące się naturalnie, spadały mu na skronie i czoło, okalając rysy twarzy kształtne, regularne, nacechowane wyrazem wyższej dystynkcyi.

Całe jego oblicze uderzało niezwykłą pięknnością, lecz była to piękność przekwitła, zużyta. Ołowiana bledłość cery, zmarszczki na czole i powiekach, sine kontury pod oczami, usta pobladłe, świadczyły o przebyciu wielkich zgryzot lub zbyt wesołem życiu.

Ostatnie z owych przypuszczeń, zdawało się być najbliższem prawdy, jeżeli godzi się wierzyć, aby z pierwszego rzutu oka można było wytworzyć sąd o jednostce, jaki wszelako w wielu wypadkach bywa nieomylnym.

W spojrzeniu tego mężczyzny przebija się ukryty niepokój wewnętrzny. Każda z jego źrenic błękitnych, świecą ponurym blaskiem, zdawała się być jakby otworem głębokiej przepaści. Nieprzenikniona ciemność leżała widocznie na dnie duszy tego człowieka, rozświetlana jedynie blaskami niezdrowych namiętności i żądź nienasyconych.

Starania około swej toalety, jakimi zajęty był w tej chwili, całkiem go poehłaniały. Dziesiąty raz z rzędu zadziergał i rozwiązywał węzeł krawata. (Umiejętność tego wiązania istniała jeszcze w roku 1850). A gdy mu się to wreszcie udało,

uśmiechnął się do swego własnego obrazu, odtworzonego w owem zakurzonem zwierciadle, przywdział tużurek, uwydawniający dobrze jego kształtną postać, wsunął do kieszeni mały rewolwer, kilka sztuk drobnej monety, rozrzuconej po nad kominkiem, włożył jasne perłowe rękawiczki, wdział nowy kapelusz, a zwróciwszy się do młodej kobiety, znajdującej się wraz z nim w pokoju.

— Klotyldo—rzekł—wychodzę.

Kobieta siedząca na łóżku, ze wspartemi na kolanach rękoma, ukryła twarz w dłoniach. Ciemny jedwabny penioar okrywał ją załkownicie. Widocznymi były tylko jej palce białe u rąk, jakby wykute z marmuru, i gęste sploty ciemnoblonde włosów nad czołem.

Podniosła głowę.

Uroczo piękna i młoda, przedstawiała obraz anioła, lecz anioła boleści. Oblicze jej było tak marmurowo białem, jak ręce. Pod zwierzchnią skórą zdawało się, iż krew nie krąży wcale.

Powieki jedynie były zarumienionemi, jak gdyby od łez, które na rzęsach jej jeszcze drżały.

— Wychodzisz — szepnęła ku stojącemu opodal mężczyźnie.— Ha! jest to codziennym twoim zwyczajem. Dziwnem byłoby zaiste, gdybyś pozostał tu zemną.

— Mamże to uważać jako wymówkę z twej strony?

— Wymówkę? czyliż ci kiedy je czynię? Rychłóż powrócisz?—zapytała.

— Jak zwykle.

— To się znaczy w noc późną... nad ranem... Powracasz zwykle, gdy świtać zaczyna. Następnie śpisz przez dzień cały do wieczora, aby za przebudzeniem opuścić mnie znowu. Za ledwie czas mamy do wymienienia z sobą słów kilku... I otóż, przez większą połowę życia jestem samą... samą... i tu... w takim miejscu!...—powtórzyła z pomimowolnym wstrętem spoglądając w około siebie.

— Mieszkanie to nie jest pięknem... przyznaję!... — od-

parł mężczyzna. — Wkrótce je zmienimy... przyrzekam ci to, i to prędzej, aniżeli się może się spodziewasz. Zresztą, dom jest spokojny, nie zagraża ci tu żadne niebezpieczeństwo.

— Dla ciebie i z tobą, przyjąłabym to smutne schronienie — odpowiedziała łagodnie — przyjąłabym wszystko!... dowiodłam tego. Ależ pozostawiona w samotności, och! wiecznie sama... to nazbyt okropne, chciej wierzyć. Różne smutne myśli nasuwają mi się wtedy. Powiedz mi, czem się zajmujesz?—dodała—co zatrzymuje cię tak zdala odemnie?

— Walczę o lepszą przyszłość dla nas obojga. Staram się o zmianę pozycyi.

— Jak to... przez całą noc... do rana?

— Noc nieprzerywa zajęć finansowego świata w Paryżu.

Młoda kobieta potrząsnawszy głową z niedowierzaniem, powstała.

II.

— Kłotyldo! — zaczął mężczyzna, hamując niecierpliwość—co znaczy to poruszenie głową?... czy mi nie wierzysz?

— Tak!—pomimo wszystko... przyznaję.

— A jednak przysięgam ci...

— Nie przysięgaj!...—żywo przerwała. — Na co się to przyda? Jesteś panem swego postępowania i nie żądam, abyś mi zdawał z niego rachunek. Widzę dobrze, że mój wpływ, jaki miałam niegdyś na ciebie, nie istnieje i że nie zmienisz swego sposobu życia, to próżno! Pozwól mi jednak sobie wyjawić, ile cierpię, ile się trwożę, widząc z dniem każdym zagłębiającą się przepaść, nad którą stanąłeś! „Wszystko stracone oprócz honoru“—pamiętaj o tem Gontranie, i strzeż się, ażeby honor nie ucierpiał w tem strasznem rozbiciu.

Gontran dobył cygaro z eleganckiej cygarniczki i zapalił.

— Czy to już wszystko?—zapytał wzruszając ramionami.

— Nie jeszcze...

— Spiesz się więc, proszę, moja droga, bo mnie czas nagli!

— Ach! czyż nie obudzi się w tobie litość nademną?—
mówiła łzawym głosem młoda kobieta.—Widzisz ile cierpię...
Gdybyś czuł, jakie ogarnia mnie przerażenie podczas nocy, skoro pozostawiona tu sama, usłyszę hałas ponury, krzyki przyzywające pomocy tuż pod moim oknem, jakie budzą mnie nagle. Usuńmy się ztąd, uciekajmy!—wołała składając ręce błagalnie—ta strona miast jest niebezpieczną. Dziwne przeczucie powiadamia mnie, że cię tu spotka nieszczęście. Zamordują cię, Gontranie, a nie masz prawa narażać się na coś podobnego! Wkrótce zostanę matką... wiesz o tem. Chcesz więc, ażeby dziecie przyszło na świat sierotą?

— Urojony niepokój i troska...—rzekł obojętnie mężczyzna.—Zbyt jestem ostrożnym, bym miał się obawiać czegoś podobnego. Noszę w kieszeni rewolwer, napastnicy spotkaliby się z lufą jego. Uspokój się więc, proszę, i nie myśl o tem. A teraz żegnam cię... czyli raczej do widzenia, dodał całując ją w czoło.

— Jeszcze słowo... jedno słowo...—wołała, zatrzymując go w progu.—Ów człowiek, który wynajął nam to mieszkanie, zatrzymał mnie wczoraj przy wyjściu.

— Czego żądał?

— Upomina się o dwutygodniową zapłatę.

— Prostack... gbur!

— Chce on w tym względzie porozumieć się z tobą, i dziwię się nawet, że dotąd nie przyszedł. Pomów z nim, proszę nie narażaj mnie na powtórny napaść z jego strony. Zapłać, błagam cię o to!

— Niepodobna mi dziś tego uczynić, lecz jutro go zapokoję i opuścimy tę przebrzydłą norę.

— Znajdziemy sobie dorywczo przyzwoite, eleganckie mieszkanie, w której z pięknych stron Paryża, zanim będę mógł odszukać pomieszczenia godnego ciebie, co niezadługo nastąpi, chciej wierzyć.

— Spodziewasz się więc pieniędzy?

— Tak, ukochana... wiele pieniędzy.

— Lecz z kąd?

— Z pewnej szczęśliwej spekulacji, jaka całkowicie zmieni naszą sytuację. A teraz, skoro już powiedzieliśmy sobie wszystko, odchodzę... i będę się starał wcześniej powrócić. Tu zwrócił się ku drzwiom.

— Wszak wiesz...—poczęła z cicha Klotylda, spuszczać oczy—wiesz... że nic mi już nie pozostało...

— Jakto... nic?... — zawołał opryskliwie, zwracając się ku niej.

— Nie mam ani grosza.

— Z kąd... jakim sposobem? Niedawno zostawiłem ci luidora?

— Tak... przed ośmiu dniami.

— Obecnie, sam nic nie posiadam, lecz to już na szczęście po raz ostatni. Weź to, co ci dać mogę!

Tu położył na komodzie dwie sztuki drobnej monety i nie chcąc słyszeć skarg więcej, wybiegł z pokoju.

Była godzina szósta wieczorem.

Młoda kobieta stała przez kilka sekund nieruchoma, jak w miejscu przybita, wreszcie otarła łzy, spływające jej na policzki, wdziała płaszczyk, którego kaptur zarzuciła na głowę i wyszła dla zakupienia skromnej żywności na wieczerzę.

Październik miał się ku schyłkowi. W tej porze roku noc szybko zapada. Ciemność zaległa ów pokój zupełnie. Za powrotem Klotylda z trwogą spostrzegła, że jedyny kawałek świecy, jaki pozostał w lichtarzu, mógł zaledwie jej służyć przez godzinę.

Trzeba więc było przepędzić wieczór w ciemnościach, nie mając możliwości rozerwania się nawet jaką robotą ręczną.

Od siedmiu miesięcy czując się bardzo słabą, a obecnie bardziej niż kiedy, położyła się, licząc godziny uderzające na pobliskim wieżowym zegarze.

— Gontran—mówiła—może dotrzyma obietnicy, może

wróci wcześniej niż zwykle, i nasłuchiwała pilnie najmniejszego szelestu na wschodach.

Czas mijał. Po północy znużenie nią zawładnęło, usnęła, a we śnie same złe i przykre pojawiały się jej marzenia. Skoro się przebudziła, już dniało. Jak ubiegłego wieczoru ujrzała się samą. Jej mąż nie powrócił wcale.

Podniosła się i zbliżyła ku oknu. Dzień był smutny i ciemny; drobny deszcz spadając bez przerwy, zamienił ów bulwar w jedną kałużę błota. Obok deszczu, powietrze się oziębiło, biedna kobieta drżała w tej wilgotnej, lodowato zimnej atmosferze, w tym źle opatrzonym pokoju.

Zapiąwszy fałdy swego penioaru, usiadła na łóżku, wyczekując.

— Przybędzie lada chwila—mówiła—wszak niepodobna, aby zapomniał, że te kilka groszy, jakie zostawił mi wczoraj, nie mogły wystarczyć na śniadanie.

Ranek zwolna upływał. Do cierpień wyczekiwania i zimna łączył się trapiący ją głód obecnie.

Nadeszło południe. Ciężkie kroki na wschodach słyszeć się dały i ucichły nagle przede drzwiami pokoju numerem czwartym oznaczonego.

Zapukano silnie.

— Kto tam? — pytała Klotylda z obawą, zdawało się jej albowiem, że posłaniec przynosi jej wiadomość o nieszczęściu, jakie spotkało Gontrana.

— Do pioruna! — zawołał głos chrypliwy — to ja, Vignot, właściciel, otwórz pani!

Klotylda odsunęła zasówkę, przybyły wszedł.

Vignot był mężczyzną niskiego wzrostu, tak szerokim, jak długim. Jego okrągła twarz z przyplaszczonym nosem, nacechowana była podłością.

Wszedłszy do pokoju, przyłożył rękę do swej wełnianej niegdyś ezerwonej czapeczki i padł na krzesło, jakie omal nie złamało się pod nim.

— No! moja mateczko... — rzekł poufale—przychodzę po należytość.

— Jutro pan ją odbierzesz—odpowiedziała z cicha Klotylda—mój mąż kazał mi o tem panu powiedzieć.

— Mąż pani... — powtórzył śmiejąc się Vignot; — gdybym tak zażądał aktu waszego małżeństwa, narobiłbym wam kłopotu... nieprawdaż?

— Paniel...—zawołała młoda kobieta kraśniejąc z gniewu i oburzenia—pan mi ubliżasz!

— No... no!—bez tych wybuchów... — zawołał Vignot śmiejąc się głośno. — Co mnie to zresztą obchodzi? Przychodzę po moje pieniądze i rzecz skończona. Wynająłem wam mieszkanie nie żądając papierów, ponieważ za miesiąc z góry zapłacany zostałem. Zapisalem w mej książce: „Pan i pani Gontran, z własnych funduszów.“ I wszystko szło dobrze dopóki płaciliście. Obecnie rzecz się ma inaczej. Tradować was nie chcę... nie leży to w moim charakterze. Wszelako zadłużyliście mi się za dwa tygodnie i trzy dni, mam prawo żądać zapłaty, potrzebuję jej... wymagam.

— Powtarzam panu, że mąż za chwilę nadejdzie i ureguluje rachunek.

— Pan Gontran... Ha! ha! znam ja go dobrze—zaśmiał się grubym swym głosem.—Będzie się starał wywinąć z tego, ów zwiędły panicz, który nie ma grosza w kieszeniach swego pięknego ubrania. Lecz, do pioruna, niechaj się strzeże! Rano wstać musi, ktoby chciał starego Vignot w pole wyprowadzić!

Tu wstawszy z krzesła, ujął zawiniątko leżące przy kominku, zważył je w rękę, skrzywił się i zaczął otwierać kolejno szuflady komody.

Pomieniony egzamin uspokoił go trochę.

— Do czarta! będzie zaledwie czem pokryć należytość—zawołał.—W ostatnim jednak razie zabieram te rupiecie. Daję wam czas do jutra rana. Jeżeli do godziny szóstej nie odbiorę pieniędzy, wyrzucam was ztąd... oto ostatnie me słowo.

A proszę nic nie tykać, nic nie wynosić... będę czawał, pilnował.

To powiedziawszy wyszedł z pokoju, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

— Boże... mój Boże!—wołała Klotylda, załamując ręce, gdy ciężkie kroki Vignot'a na schodach ucichły; — Boże! nie opuszczaj mnie w mojej niedoli! Jest to ciężar zbyt wielki na moje słabe ramiona; upadam pod zgryzot nadmiarem!

Łzy obficie spływające po twarzy, ulżyły nieco jej sercu.

Padłszy na kolana, modliła się długo. Wyraz głębokiej, gorącej wiary rozpromieniał na jej obliczu. Podczas modlitwy przyszło jej widocznie natchnienie, bo podniosła się mówiąc głośno:

— O! tak... odwaga, jakiej mi brakowało, nie opuści mnie teraz... Pójdę... nie zwlekając.

Wybrawszy w pośród ubogiej swej garderoby starą suknię czarną jedwabną, przywdziała ją. Włożyła na głowę ciemny kapelusz, zapuściła na twarz woalkę, a wyszedłszy na ulicę, skierowała się w stronę bulwaru Batignolles.

Dostrzegłszy ją Vignot, podbiegł ku niej.

— Może pani co wynosisz?—zawołał groźnie.

— Przeszukaj mi pan kieszenie, jeżeli przekonać się pragniesz...—odpowiedziała.

Właściciel pokojów umeblowanych cofnął się przed spełnieniem podobnej brutalności, a młoda kobieta z wolna się oddaliła.

III.

Klotylda miała znaczną przestrzeń drogi do przebycia, daleką nawet dla wpraw nego piechura, choćby się ten znajdował w najbardziej normalnych warunkach.

Potrzeba jej było przejść prawie cały Paryż, aby dosięgnąć celu podróży. Obok tego była osłabioną obecnem swem

cierpieniem, w jakim się znajdowała, wyczerpaną zgryzotami, niedostatecznym pożywieniem, którego, jak wiemy, od rana jej brakowało.

Krzepiąc odwagą słabnące swe siły, przebywała chwiejnym krokiem ulicę wiodącą ku środkowi miasta. W miarę zbliżania ku głównym częściom Paryża, uczuwała dziwny zamęt w głowie.

Ruch bezustanny, snujące się tłumy, turkot powozów, szmer pomieszanych głosów, ów chaos, od którego odwykła, przerażał ją, pozbawiając przytomności prawie. Po kilkakrotnie przechodząc w poprzek bulwarem, omal najechaną nie została; woźnice obrzucali ją klątwami. Zdawała się nie słyszeć tego; szła dalej, a jej krok chwiejny coraz wolniejszym się stawał.

Deszcz ustał prawie, chodniki jednak były zabłocone, wilgotne. Biedna kobieta co chwila się poślizgiwała, a potrącana przez idących spieszo przechodniów, zmuszona była wspierać się o drzwi sklepów, aby nie upaść.

Zostało jej jeszcze wiele drogi do przebycia, więcej niż połowa niestety, bo szła od lewej strony rzeki.

Podniecana silną wolą, którą pokonywała osłabienie, nie zatrzymała się ani na chwilę dla wypoczynku, mimo to, potrzebowała trzech godzin czasu do przybycia na bulwar Inwalidów.

Doszedłszy wysokiego obmurowania, z po za którego wyzierały wierzchołki drzew, tworząc rodzaj parku, stanęła przed masywną bramą wybitą w tym murze, po nad którą wznosiła się podwójna tarcza z hrabiowską u wierzchu koroną.

Ciężki młotek z polerowanego żelaza, w delikatnej rzeźbie przedstawiający lwią głowę, umieszczony był przy bramie w dębowem wgłębieniu.

Po kilku sekundach wachania, podniosła ów młotek i opuściła. Furtka umieszczona w murze natychmiast się otwarła.

K otylda wszedłszy, znalazła się w dziedzińcu książęcego prawdziwie pałacu.

Po lewej wznosił się pawilon, przeznaczony na mieszkanie dla odźwiernego; po prawej stajnie i remizy, poprzedzone oszklonym budynkiem, pod którym służba omywała wspaniałą karetę, na wprost nakoniec wznosił się pałac, najbardziej arystokratyczna budowla, jaką można sobie wyobrazić, ze swym frontonem ozdobionym herbami, z rzeźbionymi w dachu facyattami, wysokimi na obu piętrach oknami, przed wejściem do którego rozścielały się kwiatowe trawniki i krzewy.

Lokaj w galowej liberyi składającej się z krótkich spodni i trzewików na srebrne klamry spinanych, rozmawiał z odźwiernym.

Spostrzegłszy przybyłą, zbliżył się ku niej i zmierzył ją spojrzaniem od stóp do głowy.

Widocznie, iż zgnębiona powierzchowność Klotyldy, jej suknia zużyta i miejscami zabłocona, nieufność w nim wzbudziły.

— Byłażby to żebraczka?—wyszepnął.

Bacząc wszelako na nakazaną sobie uprzejmość przez właściciela dla wszystkich przybywających:

— Co pani życzy?—zapytał.

— Proszę pójść do markiza de Maucombe oznajmić mu, że hrabina de Randal prosi o chwilę rozmowy;—odpowiedziała Klotylda drżącym z lekka głosem, w którym jednak przebijało się nawyknięcie rozkazywania.

Na wyrazy: „hrabina de Randal,“ zuchwalec przybrał korniejszą fizyonomię, lecz jednocześnie błysnęła mu myśl, że takie pozorne hrabiny przywłaszczające sobie tytuł dla wciśnięcia się w głąb pałaców, nie są rzadkością na bruku Paryża.

— To... — rzekł — należy do kamerdynera. Może pani hrabina raczy pójść ze mną.

Tu zwrócił się ku frontowi pałacu, przebiegł stopnie prowadzące do tegoż, wprowadził przybyłą do obszernego przyzionska, wyłożonego wykwintnem obiciem i zadzwonił.

Z za uniesionej portyery wychylił się kamerdyner całkiem czarno ubrany, spoglądając pytająco na swego kolegę.



— Panie Józefie — rzekł, czyniąc znaczący gest rami-
nami—chciej rozmówić się z panią.

Pan Józef, rzuciwszy okiem badawczem na ubiór Klotyl-
dy, zrozumiał znak dany przez towarzysza.

— Nie wiem, czyli pan markiz jest w domu... — odpo-
wiedział.

— Proszę pójść przekonać się o tem.

— Może pani hrabina raczy mi dać swą wizytową kartę?

— Nie mam karty... wystarczy wymienienie mego na-
zwiska.

— Nie ma wizytowego biletu!... widocznie więc to jest
jakaś intrygantka—zakonkludował kamerdyner i wskazawszy
przybyłej fotel, wyszedł z przysionka.

Lokaj odszedł zarówno do odźwiernego.

Młoda kobieta, złamana znużeniem, padła raczej niżli
usiadła na wskazane sobie krzesło, i z głową pochyloną, silnie
bijącym sercem, oczekiwała.

Ukazał się nareszcie pan Józef, z szyderczym, pełnym
zuchwalstwa uśmiechem.

— I cóż?—zapytała z niepokojem.

— Ha! cóż?...—powtórzył kamerdyner—pan markiz de
Maucombe nie ma honoru znać żadnej pani hrabiny de Randal.

— Jaktó... on to powiedział? — wyszepnęła Klotylda,
przyciskając serce, żywo bijące, obiema rękami.

— Tak... to jego własne słowa. Nie zmieniłem ani je-
dnego wyrazu.

Klotylda podniosła się. Rumieniec oburzenia wystąpił na
jej policzki.

— Idź...—rzekła—powiedz mojemu ojcu, że jego córka
od dwudziestu czterech godzin nic nie jadła!

Kamerdyner zadrżał, nie mogąc wierzyć temu, co słyszał
i przestraszony wybiegł z korytarza.

W pobliżu przybyłej, znajdowała się czarna marmurowa
statua, przedstawiająca negra w naturalnej wielkości, utrzy-

mującego świecznik nad głową o czterech lichtarzach, w których światło co wieczór zapalano.

Klotylda wsparła się o tę statwę, czuła albowiem, iż gdyby usiadła na krześle, podnieść się zeń nie byłaby w stanie.

Kilka minut tak upłynęło. Uniosła się portyera i pan Józef ukazał się w przysionku.

Biedna kobieta nie miała odwagi rzucić mu zapytania, w milczeniu przeto patrzyła na tego człowieka mającego jej wygłosić wyrok śmierci, lub życia.

— Pan markiz—wyrzekł służący—kazał powiedzieć, że nie ma córki, prosi jednakże, ażeby pani hrabina zechciała od niego to przyjąć.

Tu podał przybyłej kilka zawiniętych w papier luidorów.

Klotylda silnym ruchem dumnie odepchnęła wyciągniętą rękę ku sobie. Złoto upadło, rozsypując się z głośnym brzękiem po marmurowej posadzce.

Pan Józef osłupiały oczom swym nie wierzył.

Po raz pierwszy w życiu widział odepchnięte z pogardą tak piękne sztuki monety.

Zapusiwszy szybko na twarz woalkę i nie przemówiwszy słowa, pani de Randal wyszła z przysionka, a przebywszy dziedziniec, furtką, wydostała się na bulwar Inwalidów.

Deszcz zaczął padać na nowo, gęsta mgła wisząca po nad Paryżem, w wodę się zamieniła. Noc całkiem prawie zapadła.

Potrzeba było powtórnie nieszczęśliwej kobiecie przebyć tę wielką odległość, dzielącą ją od Batignolles, a do jej przebycia nie miała już w sercu owej nadziei, jaka ją z rana podtrzymywała.

Nie chcemy prowadzić czytelnika za ową męczennicą w jej śmiertelnym pochodzie przez tę Kalwaryę, przez którą się wlokła chwiejna, upadająca, podnosząca się, by upaść znowu. Jak często zdawało się, że śmierć znajdzie w takim upadku, że nie powstanie już więcej.

Inaczej jednak się stało. Przybyła wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, lecz można powiedzieć, za ledwie w pół żywa.

Była godzina dziesiąta wieczorem, gdy zawlokłszy się przez czarne wschody, weszła do ciemnej lodowatej swej izby.

— Gontranie!—zawołała rżącym głosem—ratuj Gontranie... umieram.

Żaden głos nie odpowiedział, pokój był pustym zupełnie.

— Opuścił mnie... opuścił! — wyszepnęła—umrę w osamotnieniu.

W owej chwili, znalazłszy się wypadkiem w pobliżu łóżka, upadła na posłanie. Padając uderzyła głową o poręcz zemdląca.

Czas mijał. Zegar kościelny wydzwonił drugą nad ranem. Wśród ciszy nocnej kroki na wschodach słyszeć się dały. Ktoś wszedł do pokoju i zamknął drzwi na klucz.

Pani de Randal wyrwana owym hałasem z omdlenia:

— Kto tam?—zapytała.

— Ja, Gontran... — głos odrzekł; — milcz!... na imię nieba!

IV.

Pomimo owej prośby, a raczej rozkazu, Klotylda otworzyła usta, pragnąc przemówić.

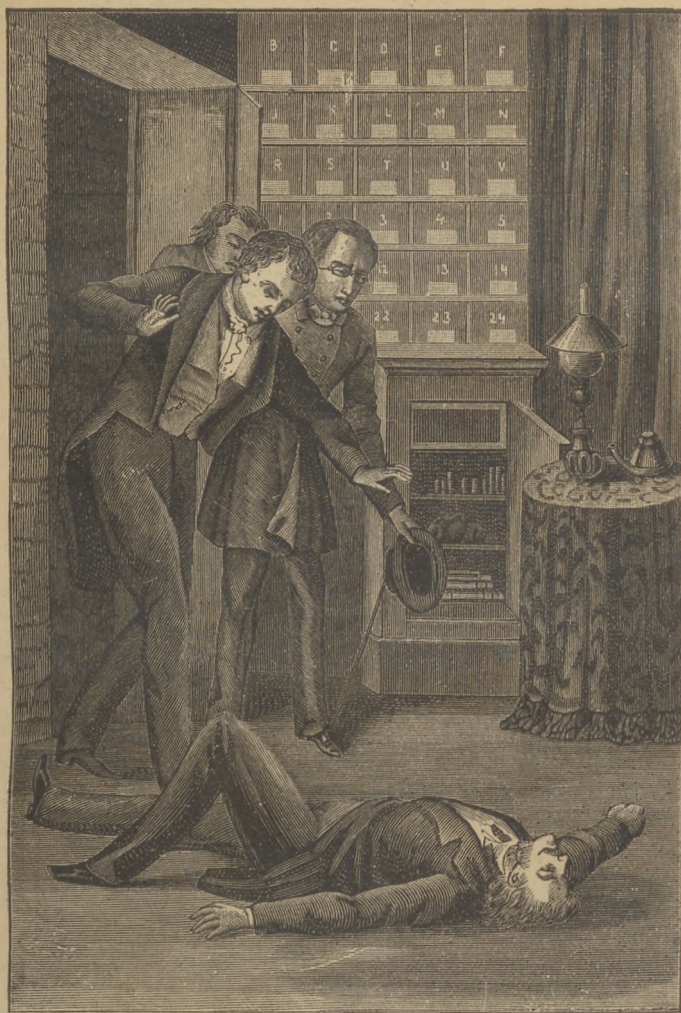
— Milcz!—powtórzył groźnie de Randal—milcz!!

Młoda kobieta była posłuszną i przez kilka minut wśród głębokiej ciszy, słyhać było jedynie przyśpieszony, jak gdyby niepokojem, szybki oddech Gontrana.

Nagle, szmer jakiś powstał w niższej części domu, który następnie zmienił się w hałas.

Słyhać było pomieszane głosy i przyśpieszone kroki idących, jakie się wyraźnie zbliżały. Przebiegłszy wschody, dochodzili korytarza przyległego do umeblowanych pokojów.

20



... Komisarz zbliżył się do trupa, leżącego na podłodze z przestreloną czaszką. (Str. 21)



BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA



Na wprost czwartego numeru kroki się zatrzymały, głosy zamilkły.

Jednocześnie dały się słyszeć uderzenia we drzwi kolbami, a po nich groźne wyrazy:

— Otworzyć!... w imieniu praw!

Randal nie ruszył się z miejsca.

Klotylda, zerwawszy się na łóżku, usiłowała objąć pamięcią, czy to jest sen straszny, czy rzeczywistość?

— Otworzyć!—powtórzył ów głos na zewnątrz—inaczej drzwi wylamiemy!...

— Nie wylamujcie, na Boga... — zabrzmiał głos Vignot'a—zrobicie mi szkodę. Mam klucz podwójny.

— Nie!... człowiek na mojem stanowisku nie idzie na galery!—wyszeptał Gontran.—Ginie, lecz z honorem!

To były jego ostatnie słowa, poczem huk dał się słyszeć, światło zabłysło, a przy jego przelotnym blasku Klotylda ujrzała stojącego z rewolwerem przyłożonym do skroni, swojego męża.

W oka mgnieniu pośród ciemności słyszeć było upadek ciężkiego ciała w pokoju, napelnionym dymem. Upadkowi temu odpowiedział krzyk nieszczęśliwej kobiety.

Vignot z wściekłością obracał klucz w zamku, lecz zarzewiałe rygle opierały się jeszcze.

Silne pchnięcie ramieniem wystarczyło do wysadzenia drzwi z zawias.

Komisarz policyi z agentami, właścicielem domu i dwunastoma żołnierzami, weszli do pokoju.

Agenci nieśli zapalone latarnie.

Komisarz zbliżył się do trupa, leżącego na podłodze z przestrzeloną czaszką, ściskającego jeszcze w rękę wypalony rewolwer, którym odebrał sobie życie.

— Czy to hrabia de Randal?—zapytał Vignot'a i agentów.

— Jest to mój były lokator—rzekł zapytany.—W książce zapisałem go jako „Pana Gontrana,“ przedstawił mi bo-

wiem papiery, uregulowane na to nazwisko. To wystarczyło, ażeby być w porządku.

— Tak, panie komisarzu—rzekł jeden z agentów—jest to rzeczywiście hrabia de Randal. Śledziliśmy go od dawna pragnąc przytrzymać. Umarł... szkoda... w tak młodym wieku.

Od chwili rozwiązania tego strasznego dramatu, spełnionego w ciągu kilku minut, Klotylda oniemiała z przerażenia i trwogi, zdawała się nic nie słyszeć, nie rozumieć, nie widzieć.

Ostatnie słowa agenta rozbudziły w niej poznanie rzeczywistości.

— Umarł...—powtarzała bezwiednie, podobna do uspiętej we śnie magnetycznym.—Umarł... ale kto umarł?

I przesunęła obiema rękami po czole, odegnać pragnąc obłąkanie, rozsypując swe bujne blond włosy, które okryły jej ramiona, jak gdyby płaszczem złocistym.

Po chwili zerwała się z posłania i padłszy na kolana obok trupa, podniosła mu głowę:

— Tak... prawda... on umarł! Gontran umarł!...—szepiała.—Boże... mój Boże, w czym on przewinił, ażeby tak umrzeć?...

A ucałowawszy czoło tego, przez którego tyle cierpiała wybuchnęła łkaniem.

— Kto jest ta kobieta?—pytał komisarz.

— Żona zabitego—rzekł Vignot.

— Pani jesteś hrabiną de Randal?—pytał łagodnie pierwszy, zwracając się ku Klotyldzie.

— Tak...—odpowiedziała przygasłym głosem.

— Córką markiza de Maucombe?

— Tak, panie.

— Sami hrabiowie i markizy...—wyszeptał Vignot.—Do czarta! miałem lokatorów z wielkiego świata!

— Chciej pani wierzyć...—zaczął komisarz, zwracając się ku nieszczęśliwej—że gotów jestem uczynić wszystko z mej strony dla złagodzenia ciężkiej twej doli. Sprawiedli-

wość zna dobrze twoje nieszczęścia, jak znała występki człowieka, którego nosisz nazwisko. Na zmarłym ciąży win wiele; sprawiedliwość wie o nich, jak wie zarówno, że stałaś się ofiarą a nie współniczką jego zbrodni, i że masz pani prawo do współczucia i poszanowania ze strony ogółu.

Pani de Randal ułożywszy z tkliwością głowę zmarłego na podłodze, powstała by odpowiedzieć na zwrócone do siebie wyrazy, gdy nagle zachwiała się, zbladła, a upadając na łóżko wydała jęk ciężki.

— Co to jest?—zawołał z trwogą kemisarz.

Vignot przystąpił ku niemu.

— Trzeba nam przyzwać panią Angot—rzekł z cicha;— jej pomoc jest tu co rychlej potrzebną.

— Śpiesz więc pan... obudź... niechaj natychmiast przybywa.

Vignot wybiegł z pośpiechem, a dosięgnąwszy pierwsze-go piętra, zaczął dzwonić z całych sił.

Jednocześnie komisarz wydał rozkaz wyniesienia samobójcy na facyatę, zmycia pozostałych po nim plam krwawych na podłodze i dostarczenia zakrytych noszów do przeniesienia ciała. Protokół spisać postanowił we własnym swym gabinecie.

W kilka minut potem ukazała się pani Angot.

Była to kobieta trzydziestoletnia, szczupła, małego wzrostu, więcej brzydka niż ładna, lecz o inteligentnym wyrazie twarzy.

Jej wąskie usta i nos kończaty, nasuwały wątpliwość co do łagodności charakteru.

W małych oczach, niezmiernie ruchliwych, przebijała chytrłość i chciwość.

Złożywszy ukłon obecnym, podbiegła do łóżka chorej, starając się przemawiać do niej najtkliwszemi słowy, poczem zwróciła się do komisarza.

— Trzeba przenieść słabą—wyrzekła—do mego mieszkania, wraz z pościelą. Ci panowie—dodała, wskazując na

obecnych agentów—dopomogą nam w tym razie. Mam przyzwoite pomieszczenie w moim zakładzie, najtroskliwszem otoczę ją staraniem.

— Dobrze...—odparł komisarz.—Fundusz na koszt, jakie dla pani przypadną, będę się starał otrzymać z Towarzystwa publicznej opieki nad biednymi matkami, a gdyby ztamtąd nic się osiągnąć nie dało, sam je zaspokoję.

Za kilka chwil Klotylda de Randal znajdowała się w mieszkaniu pani Angot.

Komisarz z agentami opuścił bulwar Batignolles.

V.

W ubogim pokoiku, wyklejonym spłowiałem obiciem, słabo oświetlonym brzaskiem wschodzącego poranku, gdzie całe umeblowanie stanowił stół i parę krzeseł drewnianych, leżała na łóżku blada, z przymkniętymi powiekami, córka markiza de Maucombe.

Obok stała kołyska, w której spoczywało niemowlę.

— Śliczna dziewczynka!...—mówiła pani Angot pochylając się ku dziecięciu.

— Ach! gdyby była lepiej umarła!...—wyszepnęła chora, cichym, złamanym głosem.

— Jakież straszne życzenie! Ucałuj pani ją raczej.

Tu pani Angot podała matce tę drobną, wątłą istotę.

Pani de Randal ucałowawszy niemowlę, podsunęła mu pierś do pokarmienia. Niestety jednak zgryzoty, jakie przebyła, wyczerpały w niej owo źródło życia. Pokarm nie ukazał się w piersi macierzyńskiej.

— Pokarmiemy je smoczkiem—mówiła kobieta.—Zaraz go przysposobię dla tego małego łakomca, który zaledwie na świat przyszedł, a już wola o pożywienie.

— Pani...—zapytała po chwili Klotylda głosem tak sła-

bym, że zaledwie dźwięk jego dosłyszeć było można—czy mogłabym panią prosić o wyświadczenie mi pewnej przysługi?

— Przysługi?—powtórzyła pani Angot—nie mogę odpowiedzieć tak lub nie, dopóki się nie dowiem, o co chodzi.

— Potrzebuję posłyszeć prawdę na zapytanie, jakie pani zadam. Jestem na śmierć skazaną... Czuję, że życie z mnie uchodzi... siły mnie opuszczają... Czuję, że mogę umrzeć lada chwila... Potrzebuję więc mieć pewność w tym względzie. A ową pewność pani mi tylko dać możesz. Powiedz mi prawdę... żyć będę lub nie?... Zaklinam!

— Ach! w jakże kłopotliwym położeniu stawiasz mnie pani...—odparła zapytana.—Czyż mogę wyrokować w tak ważnej sprawie? Któż z nas przyszłość odgadnąć jest w stanie? Widziałam chore blizkie śmierci, które jednak szczęśliwie wracały do życia.

— Tak... lecz ja do niego nie powrócę... wiesz o tem dobrze—mówiła pani de Randal.—Chciej mnie w tym względzie upewnić... Chciej mi to wyznać, nie obawiając się pogorszenia mojego zdrowia... Błagam jak o łaskę. Nie sądź pani, iż obawiam się śmierci — dodała — przeciwnie... wzywam jej i pragnę!

— Ha! skoro pani koniecznie żądasz prawdy, odsłonię ci ją. Wszystko jest możebnem, nawet i cuda, chociaż tak rzadkie w naszych czasach—odparła pani Angot—a do twojego ocalenia potrzeba by...

— Dzięki ci... — przerwała Klotylda — dzięki z głębi serca. Teraz przynajmniej mam pewność, która mi tyle była potrzebną do tego, co chcę uczynić. Potrzebuję napisać...

— Pisać?...—zawołała pani Angot—ależ to niepodobna!

— Dla czego?

— Dla tego, że pani nie będziesz miała dość siły. Nie pozwolę ci nakreślić trzech nawet wyrazów. Lecz jest na to sposób. Podyktuj mi pani, napiszę za ciebie.

— Nie! — ja potrzebuję napisać własnoręcznie... sama Podnieś mnie pani... błagam cię o to... Podsuń mi poduszki pod

ramiona... połóż kawałek tektury na kolanach... włóż mi pióro w rękę, a zobaczysz, czy ta dłoń już w pół zmartwiała, nie ożywi się siłą woli, choćby na chwilę.

— Spróbujmy... skoro tak pani żądaś koniecznie, nie jestem w stanie odmówić twej prośbie.

Tu pani Angot uniósłszy chorą, z wielkiem zdumieniem ujrzała, że drżące palce Klotyldy kreślić poczęły wyrazy mimo, iż nieregularnem pismem, wszak dość czytelnem.

— Proszę o kopertę...—wyszepnęła chora.

— Oto jest.

Pani de Randal nakreśliła adres:

„Pan wice-hrabia de Grandlieu. We własnym pałacu, na przedmieściu Św. Honoryusza.“

— Skończyłam...—wyrzekła zaledwie dosłyszczanym głosem—był czas... nie zdołałabym napisać więcej.

— Teraz, potrzeba wrzucić ten list do skrzynki pocztowej, nieprawdaż?—pytała pani Angot.

— Nie... nie!—potrzeba go odnieść na miejsce i wrócić z odpowiedzią.

— A któż zapłaci posłańca?

Ręce Klotyldy przezroczyście białe, na kołdrze spoczywały. Na jednym z palców lewej ręki błyszczała obrączka.

— Weź pani tę ślubną obrączkę i sprzedaj—wyrzekła—to, co za nią dostaniesz, wystarczy na opłacenie dwóch kursów tego człowieka.

Pani Angot zdjęła bez skrupułu tę ostatnią pamiątkę z ręki umierającej.

— Zastąpię memi pieniędzmi—odpowiedziała.—W ciągu pięciu minut posłaniec przyniesie odpowiedź.

— Która godzina?—pytała Klotylda.

— Ósma rano.

— O dziesiątej powrócić tu może. Na wszystko panią zaklinam niech się śpieszy. Tak mało chwil już mi pozostaje a trzeba aby odpowiedź przy życiu mnie zastała.

— Bądź pani spokojną... nakażę mu pośpiech, zresztą,

uwazam, że nie znajdujesz się w takim niebezpieczeństwie, jak zrazu sądziłam. Kto wie... Możesz pani powrócić jeszcze do zdrowia i życia...

Smutny uśmiech wybiegł na zbolące usta Klotyldy.

— Zajmę się teraz wysłaniem listu — mówiła pani Angot—następnie przygotuję dla maleńkiej śniadanie z koziego mleka, lecz przedtem ucałuj ją pani.

Tu, pochyliwszy się po nad łóżkiem umierającej, przytuliła do jej ust niemowlę.

— Ach! biedna droga istoto... której pierś moja karmić nie może!...—szeptała pani Randal—której rozwijania się me oczy nie będą widziały... Och!—nie tutaj to powinnaś się była urodzić... nie tu powinna umierać twa matka!

Pani Angot wyszła z dziećciem nakazując chorej spoczynek.

Klotylda opuściła na poduszki głowę, okrytą zwojami złocistych włosów, przymknęła powieki; zdawało się, że śpi i być może drzemała w rzeczy samej, lecz grube łzy, płynące z pod powiek zamkniętych po wychudłej twarzy, świadczyły, że ów sen musiał być bardzo bolesnym.

Dwie godziny tak upłynęły.

Pani Angot uchyliła ostrożnie drzwi do pokoju chorej.

Hrabina przebudziła się.

— I cóż?—zapytała.

— Posłaniec wrócił w oka mgnieniu. Pan wicehrabia... nie przypomina sobie jego nazwiska... ten do którego list pani pisałaś, był w domu. Posłaniec oddał list kamerdynerowi.

— Ależ odpowiedź... odpowiedź...—szeptała chora.

— Piśmiennej posłaniec nie otrzymał... lecz to nic nie znaczy. Kamerdyner powiedział mu, że pan wicehrabia natychmiast tutaj przybędzie.

— Dzięki niebu!—westchnęła z ulgą Klotylda.

I po raz pierwszy od wielu dni, wielu miesięcy, a może i lat wielu, radosne prawie zadowolenie zabłysło na jej twarzy.

— Przybędzie!—wyszepnęła—ach! byłam tego pewną!...

Gdybym była chciała, mogłabym z nim tak być szczęśliwą! Al moje bezrozumne młodociane marzenia, jakże was drogo opłaciłam!

Zaledwie kilka minut upłynęło, turkot nadjeżdżającego powozu dał się słyszeć przed domem Vignot'a i woźnica eleganckiego kabrioletu ujrzał ze zdumieniem wysiadającego swego pana, i zagłębiającego się w korytarz tej brudnej kamienicy.

Wice-hrabia przebiegł szybko wschody, wiodące na pierwsze piętro, gdzie spotkał wyczekującą już panią Angot.

— Proszę o wskazanie mi mieszkania pani hrabiny de Randal—rzekł w mniemaniu, iż mówi ze służącą.

— Tu panie... — odpowiedziała, wskazując. — Racz pan wejść do mnie. Pani hrabina jest jedną z mych pensyonarek. Możesz pan być przekonany, iż ją otaczam najtkliwszem staraniem. Pan jesteś zapewne osobą, do której pisała dziś rano?

— Tak... właśnie.

— Poprowadzę pana... Ta biedna chora oczekuję cię niecierpliwie. Pójdź pan... pójdź prędko.

— Racz mi pani przedewszystkiem powiedzieć, czy życie pani hrabiny znajduje się istotnie w niebezpieczeństwie?

— W niebezpieczeństwie... ach! tak..! niestety! Biedna kobieta ledwie dożyje do wieczora... Osądź pan... przy tak wątłym zdrowiu, przebycie słabości... I w jak strasznych okolicznościach!... Pan pojmujesz, co chcę powiedzieć?

— Nic nie rozumiem...

— A więc panie... jej mąż... ba! piękny mąż, którego połyca przyszła zaarrestować, zabił się tej nocy w jej oczach wystrzałem z rewolweru. Możesz pan sobie wyobrazić, w jakim stanie zdrowia znajduje się ta nieszczęśliwa!

— To straszne!

— Dziecię jest zdrowem, lecz matka zgubiona! A teraz, skoro już pan wiesz wszystko, chciej pójść za mną, upewniam, iż nie ma czasu do stracenia.

Wice-hrabia otarł nieznacznie łzę, jaka mu na policzki spłynęła, i poszedł za panią Angot, wiodącą go do pokoju Klotyldy.

VI.

Na szelest otwierających się drzwi, pani de Randal z lekka się poruszyła.

— Widzę, że pani nie śpisz...—poczęła pani Angot najśłodszym głosem, na jaki zdobyć się mogła.—Przyprowadzam osobę, z którą widzieć się pani tak gorąco pragnęłaś, pana wice-hrabiego... Nie chcąc przeszkadzać w rozmowie, odchodzę; lecz proszę nie utrudzaj się pani zbyt wiele. W obecnym stanie zdrowia bardzo oszczędzać się trzeba. Sługa pana wice-hrabiego... — dodała z ukłonem. — Gdybyś mnie zapotrzebowała, proszę zadzwonić, natychmiast przybiegnę. Idę do jednej z mych chorych, w pokoju tuż obok pani, która powiła dziś w nocy ślicznego chłopca.

Po tym nawale słów, ukłoniła się powtórnie i wyszła.

Błada twarz umierającej zapłonęła rumieńcem. Wysunęła rękę ku przybyłemu, szepcząc z cicha:

— Pośpieszyłeś na moje wezwanie... och! nie wątpiam o tem, Armandzie. Jesteś zawsze dobrym... szlachetnym! Dzięki ci, mój przyjacielu... Dzięki.. z głębi mej duszy!

Pan de Grandlieu ukląkł przy łóżku, a ująwszy podaną sobie rękę młodej męczennicy, przyłożył ją do ust z tak głębokiem poszanowaniem, jak gdyby to była ręka królowej.

— Klotyldo!... — wyjąkał drżącym od wzruszenia głosem.—Klotyldo... o droga moja!.., gdzież ja cię tu widzę? Biedne... nieszczęśliwe dziecię! Patrząc na to wszystko, serce mi omal z żalu nie pęka.

— Daremna litość...—odpowiedziała pani de Randal.—Zasłużyłam na los, jaki mnie spotkał. Szalona! odepchnęłam szczęście mając je przed sobą. Cierpiałam za własną mą wi-

nę... a mimo wszystko, jestem dziś jeszcze szczęśliwą w ostatniej życia godzinie, ponieważ mi został taki jak ty, przyjaciel... przyjaciel jeden... jedyny... Och! bo Armandzie, mam tylko ciebie na świecie, który o mnie nie zapomniałeś!

— Jesteś niesprawiedliwą, Klotyldo... zapominasz więc o swoim ojcu.

— Markiz de Maucombe wczoraj oznajmić mi kazał przez kamerdynera, że nie ma już córki...

— A! to okropne!...— wyszeptał pan de Grandlieu z gestem oburzenia.

— Miał wszelkie prawo do tego...— odparła chora— uprzedził mnie o tem... Naprzód wiedziałam, że bezrozumne moje zaślepienie zerwie wszelki stosunek pomiędzy nami... skruszy węzły rodzinne... Jasno odgadywał on przyszłość... Chciał mnie ocalić wbrew mojej woli... Zgubiłam się sama!... Ze świadomością wydrążyłam przepaść pod sobą!... Wszak on mi mówił: „Jeśli postąpisz wbrew mojej woli i zaślubisz pana de Randal, wyrzeknę się ciebie!“ Postąpiłam wbrew jego woli i dziś dla niego nie istnieję... Mógł go obwiniać?

— Działa on w swem prawie... bezwątpienia— odrzekł pan de Grandlieu— lecz nadużywać podobnego prawa, jest to okazać się bezlitosnym... okrutnym!

— Ach! ja go boleśnie obraziłam!

— Bronisz go więc teraz?

— Nie!— usprawiedliwiam go tylko... a obwiniam siebie.

Po tych słowach nastąpiło milczenie. Klotylda pierwsza je przerwała.

— Nasza rozmowa będzie długą... — wyrzekła — mam wiele do powiedzenia i prośbę do ciebie.

— Prośbę?— powtórzył wice-hrabia.— Czegokolwiek bądź zażadasz odemnie, naprzód przysięgam... spełnionem zostanie.

— Przyjmuję twą obietnicę i jestem pewna, że jej dotrzymasz. Usiądź w pobliżu mnie... o tak... w pobliżu, ponieważ mój głos jest słabym... a lękam się, by jeszcze bardziej nie osłabł. Lada chwila umrzeć mi przyjdzie...

— Umrzeć?—powtórzył pan Grandlieu—nie wierz temu Klotyldo. W twym wieku nie umiera się tak prędko. Potrzebujesz jedynie tkliwych starań do ocalenia, a któżby ci je mógł lepiej nademnie udzielić? Wycierpiałas wiele, lecz czas prób ciężkich minęły. Będziesz żyła, aby zapomnieć o owej strasznej przeszłości... Twój ojciec, przyrzekam ci to, otworzy ku tobie ramiona... powróci tobie swe serce. Owdowiałas, a twoje wdowieństwo zniszczy tę przeszłość przekłątą. Będziesz żyła, ażeby być szczęśliwą i o tem wszystkim zapomnieć. Kochałem cię niegdyś... i kocham dziś jeszcze... bardziej niż kiedy... Klotyldo! będziesz mą żoną... mą uwielbianą towarzyszką życia... Czuje, iż siłą mojej miłości zasłużę, abyś mnie ukochała. Odpowiedz, czy przyjmujesz moją propozycję?

— Zapóźno!...—wyszeptała chora—zapóźno ludzić się szczęścia nadzieją! Ach! czuję teraz, że ukochałabym cię... całą duszą ukochała! Dla ciebie jedynie uderzałoby to biedne serce złamane, które cię nieoceniło, niepoznało! Niestety jednak, ukazujesz mi ziemię obiecaną, do której przystęp jest mi wzbронionym. Pomiędzy mną a owem szczęściem staje nieprzełama przeszkoda... mogiła!... moja mogiła!...

— Nie!... ty żyć będziesz!...

— Tak... kilka godzin... przed wieczorem umrę... ja czuję to!

Wice-hrabia ukrył twarz w dłoniach i przez czas jakiś słychać było jedynie jego gorące łkanie.

Armand Roger, wice-hrabia de Grandlieu, który będzie jednym z głównych bohaterów naszej powieści, w chwili, w której go przedstawiamy czytelnikom, to jest w miesiącu październiku 1850 roku, był mężczyzną czterdziesto-pięcioletnim, skończony typ szlachecka dżentlemana. Wysokiego wzrostu, herkulesowej budowy ciała, pełen był elegancyi. Cała jego osobistość nosiła na sobie to niezatarte znamię, nazwane rasą.

Jego głowa z obliczem o rysach regularnych, pokryta

gęstym włosem złotawym, siwiejącym już miejscami, zdawała się być utworzoną do noszenia żelaznej przyłbicy naddziadów, jak również szerokie piersi i ramiona do stalowego pancerza, a silna ręka żylasta, do lancy i topora.

Zarówno, jak wszyscy prawie ludzie silnej budowy ciała, pan de Grandlieu był bardzo łagodnym, wszelako ta jego łagodność nie osłabiała w nim stałości charakteru, energii i silnej woli.

Obdarzony wspaniałą inteligencją i bardziej gruntownie obeznany z nauką nad większość ludzi wielkiegoświata, wicehrabia mógł sobie pierwszorzędną wytworzyć pozycję, bądź w armii, bądź w polityce, lub dyplomacyi. Nie posiadał wszelako takich pragnień. Zadawałniał się swem stanowiskiem wielkiego pana, mając corocznie do rozporządzenia trzysta tysięcy liwrów renty; zajmował się sportem namiętnie, oraz tem wszystkim, cokolwiekbądź odznaczyło się w literaturze i sztuce.

Złączony stosunkami szczerzej życzliwości z markizem de Maucombe, bywał codziennym gościem w jego pałacu przy bulwarze Inwalidów przed pięcioma laty, a rozkochawszy się w Klotyldzie, prosił o jej rękę.

Pan de Maucombe oceniając wartość jego charakteru, jego wysoką pozycję społeczną, wspaniały majątek hrabiego, a po nad wszystko jego przymioty serca i umysłu, pragnął gorąco tego małżeństwa. Jodynem jego marzeniem było widzieć swą jedynaczkę wice-hrabiną de Grandlieu.

Klotylda uczuwała żywą sympatię dla Armanda, żywiła dlań szczerą, trwałą przyjaźń, i być może, gdyby była miała natenczas więcej nad lat dwadzieścia, oddałaby była mu swą rękę i została jego żoną.

Istniała wszakże przeszkoda ku temu. Panna de Maucombe była jedną z tych młodych dziewcząt, które razukochawszy, nie umieją kochać powtórnie, a nieszczęściem ona już ukochała.

Markiz, od dawna owdowiały, i mimo swych lat sześć-

dziesięciu zajęty rozrywkami wielkiego świata, wprowadził weń Klotyldę, gdy ukończyła szesnasty rok życia, i dziewczę to, zaledwie wyszedłszy z dzieciństwa, znalazło się nagle osamotnionem, pośród odmetu arystokratycznych uroczystości Paryża.

Jedna z dalekich kuzynek pana de Maucombe, kobieta w podeszłym wieku, pełniła rolę opiekunki Klotyldy. Żadna wszelako z opiekunek matki zastąpić nie zdoła, nie posiadając ani przezorności, ani czujności tej pierwszej.

W patrycyuszowskich salonach przedmieścia panna de Maucombe spotykała często, a następnie każdego prawie wieczora, pewnego młodego trzydziestoletniego mężczyznę, któremu tak jego nazwisko, jako i związki rodzinne otwierały wielkoświatowe podwoje.

Był to hrabia Gontran de Randal.

Gontran odznaczał się w towarzystwach niezwykłą urodą, jak i dystynkcyą zarówno.

Mówiono, że nadwerężył majątek wszalonych hulankach młodości.

Rzeczywistość o wiele smutniej się przedstawiała. Kompletnie zrujnowany, lecz podtrzymywany przez wierzcielei rachujących na bogate ożenienie się jego, pan de Randal szukał milionowej jakiej dziedziczki, i w podobnych warunkach był gotów zaślubić nawet najbrzydszą.

Klotylda de Maucombe, młode dziewczę, jedyna córka trzymilionowego markiza, mająca prócz tego otrzymać w dniu zamąż pójścia i wiano po matce, wydała mu się być ideałem, za którym gonił.

Przeczuwając niechęć ku sobie pana de Maucombe, starał się przedewszystkiem córce przypodobać.

Doświadczonemu, jak on rycerzowi w sprawach miłości, najłatwiej było rozkochać to naiwne i romantyczne dziewczę. Udało mu się to doskonale.

Klotylda szalenie go pokochała, a skoro markiz zapytał

córkę, dla czego odmawia swej ręki wice-hrabiemu de Grandlieu, dziewczyna bez wahania odpowiedziała:

— Ponieważ kocham hrabiego de Randall...

Zgnębiony owem wyznaniem, którego strasznych następstw wtedy jeszcze nie przewidział, śledzić począł przeszłość tego wielkoświatowca, którego córka dać mu chciała za zięcia.

Najopłakańsze objaśnienia ze wszech stron napływały. Pan de Maucombe miał wkrótce w rękach dowody, że Gontran był nie tylko majątkowo zrujnowanym, ale szulerem z profesyi, rozpustnikiem, prowadzącym podwójne życie, z którego część jedną spędzał w arystokratycznych salonach, a drugą wśród ludzi najniższej kategorii, tak kobiet, jak mężczyzn.

Markiz opowiedział Klotyldzie szczegóły, jakie można było odkryć młodemu dziewczęciu, i dodał, iż jej nie zmusza, ażeby zaślubiła pana de Grandlieu, lecz obok tego zaprzysiągł, że nigdy nie udzieli swego zezwolenia na związek z Gontranem. I, aby przeciąć ten z nim stosunek, zaprzestał odtąd bywać z córką w towarzystwach.

Dziewczę milczało na to wszystko.

Znała surowy i niezłomny charakter swojego ojca. Wiedziała, że on nie ustąpi, lecz obok tego wiedziała również, że sama wytrwa w powziętem postanowieniu. W miarę jak spotwarzano hrabiego, coraz go silniej kochała i zaprzysięgła, iż bądź co bądź wyniknącby mogło, jego tylko zaślubi.

VII.

Półtrzecia roku tak upłynęło.

Klotylda żyła spokojna, zrezygnowana z pozoru, niekiedy nawet uśmiechnięta, w samotnym ojcowskim pałacu na bulwarze Inwalidów.

Jeden, jedyny z odwiedzających przybywał tu teraz każ-

dodziennie, wnosząc wraz z sobą niejaką rozrywkę w monotonna egzystencję dziewczyny.

Był nim wice-hrabia de Grandlieu.

Panna de Maucombe przyjmowała go z widocznym zadowoleniem, z siostrzaną prawie życzliwością, uważając go jak brata.

Stary markiz cieszył się tem potajemnie i powtarzał:

— Owa gwałtowna miłość dzieciństwem była, jak widzę. Wyobraźnia Klotyldy działała tu więcej niż serce. Nie myśli już o owym hrabim de Randal. Przekonywa się, że z pomiędzy wszystkich, wice-hrabia de Grandlieu najbardziej zasługuje na jej względy.

Starzec mylił się srodze.

Dziewczę zaprzysięgło pozostać wiernem swojej miłości i dotrzymała przyrzeczenia.

Ceniąc zbyt wiele swą godność osobistą, nie widywała się wcale z Gontranem, nie starała się potajemnie z nim widzieć, utrzymywała z nim jednak nieprzerwaną korespondencję za pomocą swej pokojówki.

Objaśniona co do praw swoich przez hrabiego de Randal, czekała.

Nadeszła chwila nareszcie, w której mogła działać samowolnie i rozstrzygnąć o swojej przyszłości.

W wigilię dnia, w którym ukończyć miała dwudziesty rok życia, stanąwszy przed ojcem, powiedziała mu, że czas upłyniony, a z nim wszelkie rozmyślenia, nie zmieniły jej uczuć, ani postanowienia, ale przeciwnie, wzmocniły je więcej, z kąd widząc, iż takowe w niej nigdy się nie zmieniają, prosi go po raz ostatni o zezwolenie na małżeństwo z Gontranem.

Przerażony oporem, jakiego się nie spodziewał, markiz postanowił walczyć do ostatka, mając nadzieję, że jego wola złamie opór córki.

— Powody—rzekł—jaki mi nakazywały uważać związek z hrabią de Randal, jako nieszczęście dla ciebie, istnieć nie przestały. Istnieją one dziś bardziej, niż kiedy. Tem mo-

— cniej przeto jestem przeciwny temu małżeństwu. Nie mów mi o tem... Wszelkie twoje błagania będą nadaremne. Nie zmienię mego postanowienia!

— Zapominasz, mój ojcze — odrzekła Klotylda — że od jutra pocznę być pełnoletnią, panią siebie, a tym sposobem mogącą rozrządzać swoją przyszłością.

— Jak to... wbrew mojej woli? — zapytał starzec osłupiały, słysząc podobne zuchwalstwo.

— Niestety!... tak... ojcze. Wiesz dobrze, że prawo upoważnia mnie do tego.

— Wiem o tem... Lecz obok tego wiem zarówno, iż w świecie, do którego należymy oboje, nie zdarzyło się dotąd, ażeby córka, zapominając przynależnego dla ojca poszanowania, depcząc wstyd wszelki, użyła prawa jako broni przeciw roztropności i dziecięcemu przywiązaniu. Ty sama czujesz, że to byłoby nikiemnem!...

— Możesz-li być nikiemnem to, na co prawo zezwala?

— Jest to złe prawo... świętokradzkie prawo... czyniące z dziecka zbuntowanego przestępcę przeciw własnemu ojcu! — wykrzyknął pan de Maucombe.

— Nie! jest to prawo sprawiedliwe... dobroczynne prawo! — wołała z roznamiętnieniem Klotylda. — Niepozwała ono bowiem ojcu druzgotać przyszłości i szczęścia dziecka. Tego prawa ja użyję w potrzebie!

— Ty tego nie uczynisz, Klotyldo!...

— Uczynię... jeśli mnie zmusisz do tego, mój ojcze! Do ostatecznego środka ucieknę się z boleścią, ale spokojnem sumieniem, zmuszona koniecznością, ponieważ zamknąłeś przedemną wszelkie inne drogi! Ojcze... ja ci nie grożę, ale błagam ciebie... — wołała. — Klękam u nóg twoich... Kocham hrabiego de Randal... kocham od lat tylu... kocham go nad życie. Złe go znasz... uprzedziłeś się niekorzystnie... Spotwarzono go!... Jest to człowiek prawy... honorowy... godny ciebie! Bez niego nie ma dla mnie szczęścia na ziemi!... Nie bądź okrutnym... zezwól na nasze małżeństwo... nazwij go swym synem!

— Nigdy!

— Ojczy... daj się ubłagać!...

— Nigdy!...—powtórzył starzec.

— Ach! jakże jesteś zaciętym!... Gdyby prawo nie przyszło mi z pomocą w tym razie, cóżby mi pozostało?

— Odwołaj się więc do tego prawa, jeżeli będziesz miała odwagę!...

— Muszę go znaleźć. Czekałam bez skargi, wszak wiesz... Mamże czekać jeszcze? Gdybyś mi zrobił nadzieję, jakkolwiekbyś promyk nadziei, czekałabym dalej... Ale na moje błagania odpowiadasz: „Nigdy!“

— Kłamać nie umiem... Nie spodziewaj się niczego odemnie...

— A zatem... skończone!...

— Nie! — zawołał markiz. — Dziecię zaślepione, niewdzięczne dziecko... ostatnim mym obowiązkiem jest ukazać ci przepaść, w jaką chcesz biegnąć! Hrabia de Randal... boć znam go dobrze... ten człowiek jest zdolnym do spełnienia najwyższej podłości! Widzieć ciebie jego żoną... ciebie... mą córkę? Ach! stokroć razy wolałbym cię widzieć umarłą! Wraz z nim będziesz się pogrążyła z upadku w upadek... z boleści w boleść. Będzie cię on wiódł błotnistymi drogami, aż doprowadzi do nędzy i hańby! A nie czyn sobie nadziei, ażeby ja był tam i podał ci rękę, aby cię podnieść... ocalić! Nie!... nie!... Posłuchaj Klotyldo, słów moich — mówił dalej — ostatnie to słowa!... W dniu, w którym ludzie czarno ubrani, przedstawiciele tego, jak go nazywasz, „dobroczyńnego prawa,“ przestąpią próg mego pałacu, aby zastąpić legalną formalnością zezwolenie, jakiego odmawiam, od tego to dnia, pamiętaj, nie będę miał córki, staniesz się dla mnie umarłą!

Panna de Maucombe, blada jak widmo, ale niezmienna w postanowieniu, pochyliła głowę i nie wyrzekłszy ani jednego słowa, wyszła z salonu, w którym miała miejsce powyższa rozmowa.

Z następnym rankiem była pełnoletnią i opuściwszy oj-

cowski pałac, udała się wraz z pokojówką do jednego z owych religijnych zakładów, gdzie przyjmują pensyonarki.

We trzy dni potem, dwaj notaryusze ukazali się w pałacu markiza, z wezwaniem do poddania się prawu.

Skoro odeszli, starzec przywdział żałobę... żałobę po córce! Dotrzymał przysięgi, Klotylda była dla niego umarłą.

Wkrótce po załatwieniu oznaczonych terminem formalności, ogłoszono małżeństwo pana hrabiego de Randal z panną de Maucombe, i Gontran objął zarząd majątkiem żony, nader zresztą skromnym, bo dościgającym zaledwie cyfry trzystu tysięcy franków, z tej prostej przyczyny, że matka Klotyldy, lubo pochodząca ze znakomitej rodziny, wniosła markizowi w posagu tylko tę sumę.

Resztę owej smutnej historii zamknąć możemy w krótkich wyrazach.

Pan de Maucombe był dobrym prorokiem. Spełniły się co do joty jego przewidywania.

Gontran zawiedziony w nadziejach pochwycenia kilku milionowego posagu, rzucił się w szulerkę. Odnowił pierwotne znajomości z kobietami niższego rzędu i owe trzysta tysięcy franków Klotyldy, zaledwie na lat trzy wystarczyły.

Markiz przepowiedział swej córce:

— „Będzie cię prowadził błotnistymi drogami, ze zbytku do nędzy, a z nędzy do hańby.“

Zostawszy bez żadnych środków, Randal chwycił się oszustwa; oszustwo doprowadziło go do fałszerstwa.

Widzieliśmy go zabijającego się wystrzałem z rewolweru, w wynajętym pokoju przy ulicy Batignolles, dla uniknięcia galer.

Umierająca opowiedziała wice-hrabiemu de Grandlieu szczegóły, dotąd mu nieznanne.

— Widzisz, Armandzie—kończyła—Bóg ciężko mnie ukarał, lecz sprawiedliwie. Gdybyż jednak gniew Jego mnie tylko dosięgnął! Gdyby ta niewinna drobna istota, która na świat przyszła, nie odcierpiała za winy matki!... Wszak nie-

gdys tkliwie mnie kochałeś? — dodała gasnącym głosem. — Przenies na moją córkę to uczucie, jakie dla mnie zachowałeś. Przed zgonem pragnę me dziecko oddać w twoje ręce. Przrzeknij, że kochać ją będziesz.. że ją otoczysz opieką... że będziesz czuwał nad nią... a umrę spokojna!.. O! tak... spokojna, prawie szczęśliwa! Przrzekasz mi to uczynić?

Pan de Grandlieu pochwycił rękę chorej i przycisnął ją do ust.

— Klotyldo!—zawołał—twoje dziecko nie pozostanie sierotą. Przysięgam ci... będę ojcem dla niej!

— Dziękuję, mój przyjacielu!..—szepnęła pani de Randal—spodziewałam się tego po tobie. Teraz pozostaje mi tylko pojednać się z Bogiem. Niechaj ten Stwórca, który mnie przyjmie wkrótce na swoje łono, błogosławi cię i wynagrodzi! Poszukaj księdza, przyprowadź go z sobą... Pozostaw mnie z nim... a gdy odejdzie, powróć tu do mnie. Myśl o zakończeniu życia w samotności napełnia mnie trwogą... Pragnę, ażebyś był tu w pobliżu i zamknął mi powieki, gdy dusza ujdzie z mego ciała...

Armand z przytłumionem łkaniem wyszedł z pokoju, by spełnić ostatnią wolę Klotyldy.

Słyszeliśmy mówiącą panią Angot o jednej ze swych pensyonarek, która poprzedniej nocy powiła pięknego chłopca.

Zajmijmy się obecnie tą panią.

Wieczorem w dniu, w którym widzieliśmy hrabiego de Randal, wychodzącego z pokoju na bulwar Batignolles, do którego miał wrócić dla odebrania sobie życia, służąca pani Angot weszła do niej z zawiadomieniem, iż „ktoś“ widzieć się z nią pragnie.

— Co to znaczy „ktoś!”—zawołała niecierpliwie pierwsza.—Nie możesz się jaśniej wyrażać? Jestże to mężczyzna czy kobieta?

— Mężczyzna.

— Człowiek ubogi, czy pan?

— Pan... i nawet pan bardzo piękny, wspaniale ubrany.

— Trzeba było mi to od razu powiedzieć. Proś tego pięknego pana do salonu i powiedz, że za chwilę przybędę.

Ów salon pani Angot, był to zwykły pokój bez obicia, zapełniony meblami, poskupowanymi w składach starzyzny. Na środku stał stół okrągły, nakryty ciemno zieloną serwetą. Przy oknach białe muslinowe firanki. Nad kominkiem zegar pod kloszem, dwa wazoniki ze sztucznymi kwiatami i dwa lichtarze posrebrzane z różowymi świecami.

Parę obrazków na ścianie dopełniało całości.

Pani Angot poprawiwszy przed zwierciadłem ubranie, pospieszyła na spotkanie owego „pięknego pana,” oczekującego w salonie.

VIII.

Przybyły zasługiwał niezaprzeczenie na ową nazwę, nadaną sobie uprzejmie przez służącą pani Angot.

Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, kształtnej postaci, elegancki i dystyngowany. Miał lat około trzydziestu pięciu, śniada jednak cera jego twarzy, czarne włosy i broda, znacznie go starszym czyniły.

Duże ciemno błękitne oczy i orli nos, nadawały jego obliczu wyraz dumnej wyniosłości.

Z pod wąskich ust, na których bezustannie błąkał się sarkastyczny uśmiech, widniały dwa rzędy zębów olśniewającej białości. Całość jego ubrania odznaczała się dobrym gustem i skromnością.

Oczekując w salonie, mierzył pogardliwym wzrokiem umeblowanie, jakim właścicielka tyle się pyszniła.

Pani Angot ukazała się nareszeie, a oceniwszy za pierwszym rzutem oka wyższe stanowisko znajdującej się przed sobą osobistości, złożyła ukłon głęboki, na który obecny grzesznym, lubo mniej kornym, odpowiedział powitaniem.

— Czy mam przyjemność mówić z panią Angot? — zapytał.

— Tak, panie... z nią samą; wychowanicą fakultetu medycznego w Paryżu, znaną zaszczytnie z licznej klienteli.

— Pewna dobrze mi znana osoba, zaleciła mi panią.

— Wdzięczną jej jestem nieskończenie... — odpowiedziała. — Czy nie mogłabym wiedzieć nazwiska pomienionej osoby?

— Wybacz panie... pragnie ona pozostać nieznaną...

— Nie nalegam... szanuję bezimiennosc, jaką moje klientki otaczać się lubią. Milczenie stało się u mnie prawem; jest ono zresztą mym obowiązkiem, którego dotąd nie przekroczyłam. Dyskrecya przedewszystkiem, panie...

— Powiadomiono mnie też o tej dobrej stronie pani charakteru, i dla tego to przybyłem—rzekł nieznanomy.

— Będę się starała zadość uczynić położonemu we mnie zaufaniu.

— Liczę na to. Pani przyjmujesz pensyonarki? — zapytał po chwili.

— Tak, panie. Otaczam je najtroskliwszą opieką, i nie nadużyję wyrażenia mówiąc: prawdziwie macierzyńskim staraniem.

— Masz panie przyzwoite pokoje?

— Bardziej, niż przyzwoite... Eleganckie, wygodne, mogące konkurować z pierwszorzędnymi tego rodzaju zakładami w Paryżu.

— Radbym je zobaczyć?

— Proszę... chciej pan pójść ze mną.

Tu pani Angot z dumą wprowadziła przybyłego do ga-

binetu, podobnego temu, który powyżej opisaliśmy, i z rozjaśnionem obliczem oczekiwała na pochwały.

— Ach! jakże to nędzne!...—zawołał.

— Widocznie pan jesteś zbyt wymagającym...—szepnęła, z niechęcią zaciskając usta.

— Bynajmniej... Dla mnie poprzestałbym na tem. Osoba jednak, którą chcę pani powierzyć, nawykła do zbytku i wygody, uważałyby mogła za nieodpowiednie dla siebie podobne schronienie. A gdy zamierzam sownie panią wynagrodzić, mam prawo, jak się zdaje, być wymagającym.

Na wyrazy: „sownie wynagrodzić,“ oczy kobiety chciwością zabłysły.

— Ach!—zawołała—poznaję z kim mam do czynienia... Ażeby przyjąć proponowaną mi klientkę, do wszelkich ofiar jestem gotową. Oddam nawet swój własny pokój do jej rozporządzenia. Pokażę go panu, a jestem pewną, że ci się podoba.

Pokój pani Angot był tak umeblowanym jak jej salon. Nie widział tam smaku ani bogactwa, lecz w braku czegoś lepszego i na tem poprzestać było można.

— Jakże pan znajduje ten gabinet?—zapytała.

— Przyjąłbym go w ostatnim razie. Warunki pani?

— Życzysz pan zapłacić jednorazowo?

— Wszystko mi jedno, jeżeli to jest dla pani wygodnem...

— A zatem.. pięćset franków.

— Przystaję.

Pani Angot zacisnęła usta w milczeniu.

— Czemuż—pomyślała—nie zażądałam dwa razy tyle, zapłaciłby mnie niezawodnie. — A zwróciwszy się ku przybyłemu:

— Kiedyż pan przyprowadzisz mi tę osobę?—zapytała.

— Prawdopodobnie jutro wieczorem, pomiędzy szóstą a ósmą.

— Wszystko będzie gotowem na jej przyjęcie.

— Rzecz jasna...—odrzekł przybyły—iż w jakichkolwiek bądź okolicznościach, gdyby traf dozwolił pani spotkać pomienioną osobę lub mnie samego, zostaniemy na zawsze nie znanymi dla pani.

— Ma się rozumieć! Skoro która z klientek mój dom opuści, nie znam jej wcale. Jest to niewzruszoną zasadą mego postępowania.

— Ułożone więc... Do jutra, pani.

— Przepraszam... jedno słowo... jedno króciutkie słowo. Nieznajomy zatrzymał się w progu.

— Przybywające tu do mnie klientki—mówiła pani Angot—płacą mi zwykle naprzód, zaraz po zawartej umowie, połowę przynajmniej ugodzonej sumy. Jest to warunek ogólnie przezemnie przyjęty.

— Warunek, świadczący o wielkiej przezorności pani—odrzekł nieznajomy z ironicznym uśmiechem. — Zgadzam się na to, i otóż nie połowę, ale wszystko gotów jestem zapłacić.

To mówiąc, dobył z pugilaesu bilet pięciuset frankowy i wręczył go pani Angot.

— Mamże napisać pokwitowanie?—zapytała, chwytając chciwie ów papier.

— Nie ma potrzeby... ufam pani.

To powiedziawszy, wyszedł, ukłoniwszy się z lekka.

Pani Angot odprowadziła go aż do wschodów z bezustannymi pokłonami, gdy był na dole, kłaniała się jeszcze.

— Pięćset franków! — wołała rozpromieniona, wróciwszy do swego pokoju.—Pięćset franków!... i to jednorazowo... Ha! ha! nie o lada sprawę, jak widzę, tu chodzi...

Roześmiała się zadowolona i schowała starannie ów bilet.

Nazajutrz wieczorem, podczas gdy Klotylda de Randal wracała pieszo z pałacu markiza, przemoknięta, z sił wyczerpana, umierająca prawie, dwukonny fiakr zatrzymał się przed domem Vignot'a, na bulwarze Batignolles.

Pani Angot, czatująca w oknie od godziny, poznała owe-

go nieznanego, który podawszy rękę wysiadającej z fiakra kobiecie, wszedł wraz z nią w głąb domu.

Jednocześnie jakaś postać mężka, uczepiona w tyle powozu, zeskoczyła zeń, ukrywając się po za fiakrem.

— Doroto!—wołała na służącą pani Angot — pozapalał światło w moim pokoju, różnieć ogień na kominku, a żywo... bo nadjechały osoby, na które oczekuję.

I pochwywszy lampę, wybiegła z nią na wschody.

— Gdzie mnie prowadzisz, Robertcie?—szepiała kobieta, idąca wraz z towarzyszem na górę.—Boże... jak ja się lękam... o Boże!...

— Uspokój się, Henryko—mówił do niej z cicha.—Mieszkanie wprawdzie nie jest zbyt okazałe, tu jednak bezpieczniejsze znajdziesz schronienie niż gdziekolwiekbyś indziej. Lecz tst... usłyszeć nas mogą.

— Oczekuję na panią... — odezwała się pani Angot. — Przygotowałam wszystko na jej przyjęcie, znajdziesz tu pani wszelkie wygody. Na dworze jest zimno... nieprawdaż? W pokoju jednak dla pani przeznaczonym jest bardzo ciepło; pali się na kominku od rana.

Przybyła, postępując w milczeniu, wsparta na rękę mężczyzny nazwanego Robertem, weszła wraz z nim do pokoju, gdzie usiadłszy przed płonącym ogniskiem, ogrzewała przy nim zziębłe swe drobne nóżęta.

Gęsta koronkowa woalka twarz jej zakrywała.

Właścicielka zakładu, przypatrując się ciekawie przybyłej, dostrzegła tylko, że jej klientka była osobą średniego wzrostu, wątłej kompleksji.

— Radabym pomówić z panią...—zaczęła po chwili.—Może pan—dodała zwracając się do Roberta—raczy nas obie same na parę minut pozostawić.

Posłuszny wygłoszonemu żądaniu, mężczyzna wyszedł z pokoju.

Henryka odrzuciła woalkę.

Pani Angot cofnęła się zdumiona.

IX.

Spodziewała się ujrzeć przed sobą kobietę, a nagle znalazła się w obec młodego dziewczęcia, prawie jeszcze dziecka.

Henryka miała zaledwie lat siedmnaście, a wydawała się być młodszą jeszcze z przyczyny delikatnych rysów twarzy i jasno blond włosów.

Trudno byłoby odnaleźć postać bardziej uroczą nad piękne to dziewczę, z wyrazem nieokreślonej łagodności w lazurowym spojrzeniu i wdziękiem, pociągającym w całym obliczu.

— Ho! ho!—pomyślała pani Angot—ów pan Robert znalazłby się w nielada kłopotcie, gdyby policya wdała się w tę sprawę. Lecz to mnie nie obchodzi, pełnię mój obowiązek, jestem w porządku.

Po ukończonej rozmowie pomiędzy dwiema kobietami, Robert zapukał do drzwi i wszedł za udzielonem sobie pozwoleniem.

— Moje drogie dziecię...—rzekł, przystępując do Henryki—powierzam cię opiece tej pani. Możesz jej ufać w zupełności. Bądź dobrej myśli... A teraz żegnam cię... czyli raczej do widzenia.

— Odchodzisz...—szepnęła z niepokojem.

— Muszę... Wszak wiesz, że moja obecność jest tam nieodwołalnie potrzebną. Zatrwożonoby się, nie widząc mnie, jak zwykle, każdego wieczora. Wszak przedewszystkiem podejrzeń unikać nam należy. Skoro tylko będę mógł, powrócę tu, może nawet dziś jeszcze...

— Masz słusność... — odpowiedziała Henryka — Na wiele zważać potrzeba. Idź więc, gdy konieczność cię wzywa... Pamiętaj jednak, że mogę tu umrzeć, opuszczona, sama, zdala od ciebie... co byłoby dla mnie smutnem... bardzo smutnem!

Robert, pochyciwszy obie ręce dziewczyny, przycisnął

je do ust, okrywając pocałunkami, co świadczyło bądź o jego głębokiem, prawdziwym uczuciu, bądź wielkim talencie aktor-
skim, i szepnął jej z cicha:

— Nie obawiaj się, droga... nie zagraża ci żadne nie-
bezpieczeństwo. Żyć będziesz, ażeby być kochaną, szczęśliwą!

I dalej prowadził tyradę podobnej treści, nie szczędząc
słów i wyrażen banalnych, jakie widocznie nie płynęły mu
z serca.

Henryka, zadowolona tem, uspokoiła się, uśmiechnęła
nawet.

Złożywszy ostatni pocałunek na jej czole, Robert odda-
lił się, dając znak pani Angot, by wyszła za nim.

— Upewniasz mnie więc pani—zapytał—iż o osobę po-
zostawioną jej opiece mogę być spokojnym?

Zapytana starała się go upewnić w jak najtkliwszych
wyrazach.

— Pani lubisz, jak się zdaje pieniądze?—zagadnął.

— Któżby ich nie lubił? dziwne zapytanie.

— Wręczyłem pani dwadzieścia pięć luidorów...

— Według ugody... Chciałam panu dać pokwitowanie
i obecnie dać je gotowam.

— Nie o to mi chodzi. Chciałaż byś pani zarobić więcej?
W miejsce pięciuset franków otrzymać tysiąc?

— Nie odmawia się podobnej propozycji.

— A więc... dam je pani w ciągu dni czterech... Uwa-
żasz pani, w ciągu dni czterech... jeżeli w pomienionym zakre-
sie czasu ta młoda osoba będzie w stanie opuścić dom pani.

— Rzecz to przytrudna nieco do spełnienia... — odrze-
kła pani Angot.—Skoro jednakże panu tak wiele na tem za-
leży i chcesz mnie za to chojnie wynagrodzić, będę się starała
zadość uczynić pańskiemu żądaniu. Da się to zrobić, mam
nadzieję.

Po otrzymaniu potwierdzającej odpowiedzi, Robert wy-
szedł na bulwar, a przywoławszy fiakra, wsiadł, polecając je-
chać woźnicy na ulicę Ville-l'Eveque pod numer wskazany.

Pałac, przed którym się zatrzymali, był bardzo stary i obszerny; wznosił się on pomiędzy dziedzińcem a ogrodem. Podobnie wspaniałe wielkopańskie rezydencje w czasach dzisiejszych, rzadko dostrzedz się dają.

Wysoka cena gruntów w Paryżu uniemożliwia wznoszenie takich budowli. Pałac, wartujący dwa miliony, musiałby przynosić sto tysięcy franków dochodu. Jakiegoż potrzeba kapitału na zbytek tego rodzaju? Najbogatsi nawet uważają podobnie bezprocentową budowlę jako szaleństwo, i mieszkania naszych pradziadów z ich ogromnemi jak halle przysionkami i olbrzymimi wschodami, znikają jedne po drugich.

Robert zadzwonił do bocznych drzwi, umieszczonych przy bramie, a za otwarciem ich, wszedł w rozległy dziedziniec, słabo oświetlony lampą, rzucającą blask z mieszkania odźwiernego, i mosiężną latarnią, zawieszoną w przysionku.

Ów pałac, zbudowany za Ludwika XIII, składał się z rozległego trzypiętrowego korpusu i dwóch mniej wysokich piętrowych boków, tworzących pawilony.

Przybyły, którego odźwierny niskim powitał ukłonem, przeszedłszy dziedziniec, zaczął wstępować na wschody.

W chwili, gdy wchodził w przysionek, stary służący, rozbudzony z drzemki, zerwał się szybko i z poufałością właściwą starym sługom:

— A! panie hrabio—zawołał—otóż przybywasz nareszcie. Pan d'Auberive oczekuje cię niecierpliwie. Bardziej jest dziś cierpiącym niż zwykle... Niespokojny, rozirytowany, gniewa się bezustannie. Po trzykroć dzwonił już na mnie, aby zapytać, czyli pan hrabia nie powrócił. Nie mało ztąd ucierpiałem.

— Mimo to wszystko, drzemałeś spokojnie, jak widzę, mój dobry Józefie—rzekł Robert, z właściwym sobie ironicznym uśmiechem.

— Przeciwnie! myli się pan hrabia... nie spałem — odparł służący—chwilowo tylko oczy zamknąłem.

— Mniejsza o to... twój wiek upoważnia cię do spoczynku. Idę do pana d'Auberive, a ty śpij dalej.

To mówiąc, Robert zwrócił się na lewo przysionka, otworzył drzwi, minął przedpokój, następnie salon, wspaniale gobelinami przystrojony, którego plafon w kształcie kopuły, po królewsku zdobny freskami, świadczył o pracy jednego z najslawniejszych malarzów, nieśmiertelnego Le Suer'a, minął drugi mniejszy salon, również bogato przybrany i wszedł do sypialni, oświetlonej lampą i szeroko płonącym na kominku ogniskiem.

Przed owym gorejącym stosem ognia siedział, a raczej leżał, starzec na szeslongu, we flanelowy czerwony szlafrok odziany.

Przez zielony abażur lampy, stojącej na stoliku, zarzuconym książkami i dziennikami, padające światło oświecało część wyższą postaci starca, uwydatniając przepyszną jego głowę wraz z bladym obliczem, otoczonym jedwabistymi włosami, śnieżnej białości. Długie jego wąsy były również białymi.

Wszystko jaśniało białością w owej poważnej twarzy, z wyjątkiem błękitnych oczu i brwi, jak heban czarnych, tworzących dziwną sprzeczność z całością.

Rysownik odszkicowałby z zachwytem tę piękną głowę starca, odbijającą się w pełnym blasku, jak portret Rembrandta w ciemno-zielonym świetle lampy, podczas gdy reszta przedmiotów, znajdujących się w pokoju, tonęła wśród cieni, odznaczając jedynie fałdy jego purpurowego szlafroka, tak pąsowego, jak suknia kardynała.

Na szelest otwierających się drzwi, starzec z trudnością obrócił głowę, jak gdyby najmniejsze poruszenie boleść mu sprawiało.

Głęboka bruzda, oznajmująca gniew i niecierpliwość, uwydatniła się na jego czole, między czarnymi brwiami. Zniknęła jednak, gdy dostrzegł wchodzącego. Uśmiech wybiegł mu na usta. Uniósł z trudnością swą lewą rękę (prawą albo-

wiem miał od dawna bezwładną) i podawszy ją przybyłemu, wyjąknął z wolna, niewyraźnie:

— Ha! „lepiej późno niż wcale.“ Witaj kochany hrabio! gdybyś wiedział, jak niecierpliwie na ciebie oczekiwałem! jak oczekiwałem!...

X.

Robert, ująwszy drżącą rękę starca, uściskał ją z poszanowaniem.

— Wiem, panie...—rzekł—ile nabawiłem cię niepokoju; gdyby to odemnie zależało, nie poważyłbym się nigdy przedłużyć twego oczekiwania. Poznawszy powody mego opóźnienia, osądzisz mnie, jestem pewno mniej winnym, niż się nim wydaję z pozoru. Pomówmy przedewszystkiem o panie Henryce.

— Tak... tak... o mojej córce, mów mi... mów o niej...—wyjąknął starzec z rozpromienionem głęboką tkliwością obliczem.

— Wywiązałem się z misyi, jaką mi pan powierzyć raczyłeś—mówił Robert dalej. — Panna Henryka wraz ze swą pokojówką odjechały do Orleanu pociągiem, wychodzącym o piątej minut dwadzieścia. Umieściłem je w przedziale, dla dam przeznaczonym i nie opuściłem aż z chwilą wyruszenia w drogę pociągu.

Pan d'Aubeurive, spojrzawszy na zegar, stojący nad kominkiem, wyszepnął:

— W pół do jedenastej.

— A zatem panna Henryka od dawna na miejsce przybyła—wyrzekł młodzieniec—i bez wątpienia w ciągu dwóch dni odbierzesz pan list od niej z wiadomością o hrabinie de Nanerey.

— Ach! moja biedna siostra... już jej nie zobaczę!

— Dla czego? zkąd to powątpiewanie...

— W jej.. i moim wieku — mówił swym chrypliwym i jakby złamanym głosem starzec — po rozłączeniu trwającym przez lat dziesięć, zbliżenie się jest niepodobnem. Spotkamy się tam... chyba w niebiosach, i to niezadługo.

— Zkąd te smutne myśli? — Proszę... odpędź je pan zdala.

— Płyną one pomimowolnie. Jakaż, bo sam powiedz, moja egzystencja? Gdyby moja ukochana Henryka nie przywiązywała mnie do życia, prosiłbym Boga, wierząc mój przyjacielu, aby mnie co rychlej powołał do siebie. Lecz nie zajmujmy się mną... Powiedz mi raczej o sobie. Czekałem na wiadomość o jej odjeździe. Miałeś powrócić na obiad, coś cię zatrzymało?

— Wypadek nieprzewidziany.

— Jak to... czyżby miało cię spotkać coś złego? — pytał starzec z obawą.

— Tak jest... niestety.

— Ależ nie żadne niebezpieczeństwo?

— Rzecz najzwyczajniejsza w świecie! Omal nie przypłaciłem życiem mojego roztargnienia. Idąc ze stacyi do fiakra, nie spostrzegłem nadjeżdżającego szybko powozu, którego dyszel uderzywszy we mnie, powalił mnie na ziemię.

— Wielki Boże!

— Uderzenie było bardzo silne. Straciłem przytomność, omdlałem jak kobieta. Przeniesiono mnie do najbliższej apteki, gdzie jeden z farmaceutów miał wiele trudu, zanim mnie przywrócił do życia. Otworzyłem oczy nareszcie... nie byłem zraniony, czułem wszelako wielkie osłabienie, jakie nie pozwoliło mi przybyć tu prędko, jak tego pragnąłem. Oto przyczyna mego opóźnienia.

— A ja byłem tak niesprawiedliwym.. Obwinałem cię o niedbałość!... — wołał pan d'Auberive. — Gdybyś też został zabitym?! Drzę na samą myśl niebezpieczeństwa, jakie ci zagrażało!

— Żałowałbyś mnie pan... nieprawdaż? — zapytał Robert z uśmiechem.— Czegóż mógłbym sobie życzyć więcej!...

— Czujesz się jednak dobrze teraz... zupełnie dobrze?

— Tak dobrze, jak gdyby mi się nic nie przytrafiło...

— Potrzebujesz zapewne spoczynku?

— Bynajmniej... na dowód czego gotów jestem panu przeczytać głośno dzienniki, jak każdego wieczora.

To mówiąc wziął ze stolika gazety.

— Nie... nie!—wołał starzec—nie dzisiaj. Gotów jesteś dla mnie się poświęcić, wiem dobrze, lecz ja nie przyjmę takiej ofiary. Idź do swoich pokojów, mój hrabio, proszę cię o to. Nie uspokoję się dopóki mnie nie powiadomią, żeś się położył i zasnął.

— Senby nie przyszedł—odrzekł młody człowiek z uśmiechem—gdybym nie wypełnił, jak zwykle, mego obowiązku lektora.

— Nalegasz zatem koniecznie?

— Bezwarunkowo... Widzisz pan, role się obecnie zmieniły, ja rządzę dziś w pańskim pałacu i pańskim pokoju.

— Ustępuję więc i słucham, lecz tylko przez pół godziny, ani minuty więcej. Główne wiadomości... fakta najbardziej interesujące, oto wszystko. Reszta na jutro niech pozostanie.

Robert rozwinął jeden z dzienników, wieczorowe jednak pisma nie zawierały z dnia ubiegłego wiele ciekawych szczegółów. Przebiegał je kolejno, głośno czytając.

Po upływie kwadransa, słuchający z głową opartą na poręczy szeslongu zasypiał głęboko.

Lektor głos zniżył, ażeby nagłą przerwą nie obudzić śpiącego; poczem wyszedł na palcach, przymknąwszy drzwi z cicha. W przysionku obudził starego kamerdynera, rozkazując pójść do pana i położyć go w łóżko.

Oprócz wielkiej mosiężnej latarni, jaką gaszono nad rannem, płonąła w przysionku lampa i świeca.

Wziąwszy ostatnią, Robert wszedł na schody, pokryte

suknem purpurowem i korytarzem, biegnącym kręto przez pałacową galeryę, udał się do pawilonu.

Apartament, wyłącznie dla niego przeznaczony, mieścił się na pierwszym piętrze. Zawierał on przedpokój, salon, gabinet pracy, sypialnię i garderobę.

Mieszkanie to, choć mniej wspaniałe od powyżej przez nas opisanego, było jednak bogato i z dobrym gustem umeblowane. Wszystkie sprzęty były wykwintnie rzeźbione. Obrazy i przedmioty sztuki czyniły zeń prawdziwe muzeum.

Robert, rozebrawszy się spieszo, rzucił się na łóżko, nie dla zaśnięcia jednakże, lecz aby nazajutrz znaleźć ślady, że się położył i spał.

Przez parę godzin leżał tak nieruchomy, z głową opartą na rękę, wzrokiem w dal utkwionym, rozmyślając, a raczej marząc w czuwaniu.

Marzenia te jego, jak wnosić było można, przedstawiały mu widocznie jakieś urocze obrazy, mirażę, jakim poddawał się z upodobaniem, jakiś bowiem odblask wewnętrznej myśli rozpromieniał widocznie jego twarz, zazwyczaj nieco ponurą, uśmiech nie miał zwykłego sarkastycznego wyrazu, a spojrzenie ogniem płonęło.

Nagle podniósł się i wyszeptał:

— Tak... przebyłem wielką przestrzeń drogi... jestem z siebie zadowolonym. Wiem, iż zanim przybędę do celu, potrzeba mi będzie złamać niejedną przeszkodę, zwalczyłem jednak najbardziej niebezpieczne. Nie zabraknie mi nadal odwagi. Będę szedł bezustannie dalej... wciąż dalej!

Być uprawomocnionym panem, wyłącznym panem tego książęcego pałacu, o! jak to będzie wielkiem... jak pięknem... to właśnie, co mi wskazuje przeznaczenie.

Tu podniósł się z łóżka, przywdział ubranie, wsunął w kieszeń mały rewolwer i wyszedł, lecz inną drogą przez boczne wschody, od strony garderoby. Miał w ręku dwa klucze.

Jednym z nich otworzył drzwi, wychodzące na dziedzi-

niec. Zamek i zawiasy obficie oliwą napuszczone, otwarły się bez hałasu.

Drugi klucz posłużył mu do otwarcia furtki, znajdującej się obok mieszkania odźwiernego, którego nie przebudziwszy, znalazł się na ulicy Ville l'Eveque.

Było to około drugiej nad ranem.

W bogatszych częściach miasta spotyka się przez całą noc kursujące stare, wyszłe z użycia powozy, uprężone w wychudłe szkapy, a kierowane przez półsennych woźniców.

Ci maruderzy wloką się zwolna, na los szczęścia, bez naprzód ułożonego planu, w nadziei spotkania jakiegoś opóźnionego przechodnia, którego ich buda zawiózniesz do domu, sowitą im za ten kurs przyniesie zapłatę.

Robert liczył na spotkanie jednego z takich nocnych ekwipażów i nie zawiódł się w tym razie.

Za sto sous dostawiono go na jedną z ulic, łączących się z bulwarem Batignolles.

Wysiadłszy, szedł wzdłuż murów, ściskając w ręku rewolwer na wypadek jakiej napaści, i zwrócił się w stronę mieszkania pani Angot.

Dosięgnąwszy pomienionego domu, z którego okien drugiego piętra żywe światło padało na ulicę, zagłębił się w korytarz, gdy nagle jakaś postać, wyskakując ku niemu z ciemności, szepnęła:

— Nie wchodź tu... ostrzegam!

Robert, zdumiony tem niespodziewanem zjawiskiem, cofnął się, a wycelowawszy rewolwer, zawołał:

— Z drogi!... bo strzelę!

— Ha! ha! — zaśmiał się ów głos — mówisz jak głupiec. Odkądże to strzela się do ludzi, którzy nas życzliwie przestrzegają? Zkąd u czarta wzięłeś się tu, panie Robercie?

— Znasz mnie więc? — wyszepnął pierwszy z osłupieniem.

— Po trosze... mój miły. Nie poznajesz mnie więc po głosie? To dziwna!

— Kto jesteś?

— Jestem Sariol... Ha! ha! sam... we własnej osobie.

XI.

— Sariol!—powtórzył Robert, uderzając z gniewem nogą o ziemię.—Zkąd ty tu?

— Na bulwar Batignolles, zdaje się, każdemu przyjsć wolno.

— Opuściłeś więc poleczone ci stanowisko?

— Jak widzisz.

— Lecz wszystko natenczas stracone!

— Nic nie stracone... upewniam. Mam inną myśl... wszelkie środki ostrożności zostały naprzód przedsięwziętemi przezemnie i dobrze skombinowanemi. Bądź o to spokojnym.

— Jakiż powód znaglił cię do przybycia w to miejsce?

— Chciałem pomówić z tobą, ot! wszystko.

— Nie mogłaż być odłożoną ta rozmowa?

— Zdaje się, że nie... skoro przyszedłem. Jest to dla ciebie szczęśliwy zbieg okoliczności, inaczej albowiem wpadłbyś po samą głowę w gniazdo os, z którego trudno byłoby ci się wydobyć.

— Co to ma znaczyć?... Dla czego przed chwilą ostrzeżałeś mnie, abym nie wchodził?

— Dla tego, że policya jest w tym domu.

— Policya?—powtórzył Robert zmieszany.

— Tak, mój przyjacielu... Komisarz... agenci... żołnierze... w całym komplecie. Uspokój się jednak, mój mistrzu, ciebie to nie dotyczy bynajmniej: Chodzi tu o pewną osobistość, którą pochwycić pragnęli, a która rozsadziwszy sobie czaszkę wystrzałem, z kłopotu się wydobyła. Wiemy wszelako obadwa, jakie w podobnych wypadkach zachodzą okoliczności. Na schodach straż rozstawiona, komisarz nadmiernie ciekawy, zwraca uwagę na przybywających, a skoro nie wy-

glądasz na mieszkańca podobnej nory, zażądałby niewątpliwie od ciebie wyjaśnienia powodów twojej nocnej wizyty. Zakłopotaloby cię to troszeczkę... ponieważ prawdy wyznać nie można, he? Cóż... panie Robercie?

— Masz słuszną, Sariol'u—rzekł zapytany — oddales mi ważną przysługę.

— Tak sędzę. Nie wejdiesz zatem do tego domu, dopóki go nie opuści całe to wrogie nam grono. Zresztą, nic tu nie nagli. Przybywasz po wiadomość, mogę ci ją na świeżo udzielić. Matka i dziecko znajdują się w dobrym stanie zdrowia.

— Co mówisz? — zawołał Robert, drgnąwszy pomimo woli;—matka i dziecko?

— Ależ tak.. Czatuje tu od dawna. Dla roztargnienia starałem się o wszystkim powiadomić. Rozmawiałem ze słuchającą pani Angot. O północy, zostałeś ojcem pięknego chłopca. Masz spadkobiercę, który jeżeli we wszystkim będzie tobie podobnym, świetna przyszłość go czeka. Bądź więc obecnie spokojnym i poświęć mi jaki kwadrans czasu na rozmowę, której potrzebuję nieodmiennie.

— Chodzi więc o rzecz ważną, poufną?

— Ma się rozumieć.

— Rozmawiać na bulwarze, byłoby dla mnie niewłaściwym.

— I dla mnie zarówno. W nocy, na otwartym powietrzu, można wygłaszać tylko bez znaczenia wyrazy. Jest to zdanie wielkiego mędrca i moje.

— Gdzież się więc udamy?

— Nie troszcz się;—rzekł Sariol.—Znam pewne miejsce, nader przyzwoite w pobliżu.

— Lecz o tej godzinie wszędzie zamknięte?..

— Nie zamykają drzwi przed dzielnymi chłopcami, od których spodziewają się zarobku. Pójdź za mną, mistrzu, zobaczysz.

Robert poszedł za tą nową dla nas osobistością.

Po kilku minutach przybyli na róg sąsiedniej uliczki puste, nie zabudowanej. Jeden, jedyny dom wązki a wysoki wznosił się na jej całej przestrzeni. Drzwi i okiennice w nim były zamknięte. Na zewnątrz żadnego światła, żadnego szmeru. Po prawej i lewej stronie domu znajdowały się puste place, ogrodzone deskami.

Sariol pomimo panujących ciemności, uniósł dwie deski z tego zagrodzenia, oparte na kołkach, a znane dobrze odwieżdżającym to miejsce, wylamując otwór, przez który przepuściwszy Roberta, sam przezeń przeszedł. Następnie ustawił deski, a zbliżywszy się do tylnej części domu, zapukał czterokrotnie w równych przestankach do drzwi, które natychmiast otworzono.

— Tu jest bezpieczeństwo wszelkie—wyszeptał!—komisarz nie nadejdzie dla spisywania protokołów.

I wszedł wraz z towarzyszem do wielkiej szynkownianej sali, oświetlonej kinkietami, przybitymi do ściany, których blade światło zaledwie dostrzedz się dawało, pośród tytoniowego dymu, napelniającego gęstą mgłą tę izbę.

Około dwudziestu mężczyzn podejrzaney powierzchowności i kilka takichże kobiet, pijąc, grali w karty i w domino, cicho, bez hałasu.

Śmiano się w milczeniu, mówiono zniżonym głosem, jakby w pokoju chorego. Wszelka ostrożność była zachowywaną, aby nie zostać dosłyszczanym na zewnątrz.

Elegancki ubiór Roberta, zwróciwszy uwagę obecnych, wzbudził w nich podejrzenie. Owi pijacy i gracze, nędznie odziani, uważali go w pierwszej chwili jako nie należącego do ich sfery, a może nawet jako przebranego agenta; spostrzegłszy jednak, że przybył w towarzystwie zwykłego tu gościa, nie zajmowali już się nim wcale.

— Co podać panom?—pytała właścicielka zakładu, witając Sariola uściśnieniem ręki.

— Potrzebuję porozmawiać z tym panem — odrzekł — proszę o oddzielny gabinet.

— Dobrze... a obok tego?

— Podaj nam pani białego i czerwonego wina, likierów, talerz wędliny, chleba, biszkoptów, sałatę, cygara wyborowych gatunków, jabłka i śliwki. Ten pan—dodał wskazując na Roberta—ma kieszonkę dobrze zaopatrzoną; on płaci.

W dwie minuty później obaj przybyli siedzieli naprzeciw siebie w izbie, nazwanej szumnie gabinetem, do której światło dochodziło z sali przez wybite w ścianie oszklone okienko. Wystarczało spuścić na to okienko wyściełaną płócienną zasłonę, aby zostać szczelnie zamkniętym.

Kopcząca świeca oświetlała stół drewniany, zastawiony potrawami, dysponowanymi przez Sariola, za które Robert miał płacić.

Sariol, którego dotąd jeszcze nie znamy, był wysokim, tęgim, około trzydziestoletnim mężczyzną, dość przystojnym z pozoru, lecz jednoczącym w swojej osobie ów prawdziwy typ paryzkiego bandyty, bardziej zepsutego od galernika, a chytrze jak stary dyplomata.

Jego twarz blada, ołowianej cery, wyrażała bystrość i szyderstwo zarazem. Sine kontury widniały pod jego żywo, z bezczelnością patrzącymi oczyma; jasnoblond włosy, mocno wypomadowane, przylegały mu do skroni.

Kapciuch jedwabiem haftowany (podarek miłosny zapewne), zawieszony był na butonierce jego wypłowiałego palto. Lakierowany daszek jego aksamitnej czapki, spuszczał mu się głęboko nad czołem; krótką glibianą fajkę trzymał w ustach bezustannie.

Pomieniony wstęp do naszej powieści, obejmuje epokę od 1850 roku. Gdyby niektórzy z naszych czytelników, wiedzeni ciekawością, zechcieli zajrzeć na jeden z owych podrogałkowych balików, znaleźliby tam dziś jeszcze wierną fotografię Sariola, co przekonywa, że ów typ kwitnący naówczas, dotąd nie zaginął.

Wyżej wymieniona osobistość, odkorkowywała zwolna butelki białego i czerwonego wina. Pokosztowawszy je, cmo-

knął językiem zadowolony, napełnił po brzegi cztery szklanki, dwie dla swego towarzysza i dwie dla siebie, i wyrzekł tonem jowialnym:

— Jest dobre... No! za twoje zdrowie... a raczej za zdrowie nas obu.

Robert zerwał się żywo.

— Co znaczy ta poufałość?—zapytał.

— Ha!... ha!... poufałość...—powtórzył Sariol, wspierając się plecami na krzesło—pozwól-że mi się naśmiać, mój kochany! Na honor... jesteś pociesznym!...

— Zdaje mi się... — zaczął Robert ze wzrastającym podrażnieniem.

— Zdaje ci się, że zapominam o przynależnym dla ciebie szacunku, nieprawdaż?—dokończył Sariol.—Ależ do czarta! tracisz pamięć widocznie i obecną swą sytuację bierzesz na seryo... Patrzysz na mnie z wyżyn swojej wielkości... traktujesz mnie jak nędzarza, którego się uszczęśliwia rzuceniem mu kości do ogryzienia... niżej nawet trochę niż współnika, coś.. nakształt maszyny, którą w ruch się wprawia za naciśnięciem guzika. Bardzo to piękne, lecz niedługotrwałe. Będziemy się starali to zmienić.

— Nierozumiem!—zawołał Robert niecierpliwie.

— Zrozumiesz... zrozumiesz! bądź spokojnym i pozwól mi mówić, ponieważ dla tego tu przybyliśmy.

— Lecz...

— O! żadnego lecz... bo inaczej nie trafimy do ładu. Żądam od ciebie tylko pięciu minut, dla jasnego postawienia kwestyi... Później mi odpowiesz, gdy zechcesz. Przedewszystkiem więc wyobrażasz sobie, że ja nie widzę dalej po nad koniec swego nosa. Mylisz się mój dobry i grubo się mylisz! Nie należę do tych, którzy wyzyskiwać się dają. Wolę sam raczej ciągnąć korzyści i postanowiłem rozpocząć to co ry-chlej...

— Któż ciebie wyzyskuje? Służysz mi, zapłaciłem ci za to.

— Bardzo mizernie.

— To trzeba było nie przyjąć.

— Dla czego? nie takim głupi. Wziąłem luidory jako zaliczkę, rachunek później uregulujemy,

— Rościsz więc pretensye?

— I to ogromne! Trzymam w ręku twą przeszłość i przyszłość. Gdyś się zgłosił do mnie po raz ostatni, zrozumiałem, że wraz z tobą fortuna do mnie przybywa. Chciałeś mnie na sznurku prowadzić!... Ha! ha!... śledziłem... szpiegowałem... pytałem. Jednem słowem, wiem wszystko!

XII.

— Wiesz wszystko?... — powtórzył Robert, wpatrując się bacznie w mówiącego.

— Od A do Z, tak jest mój drogi. Sądziłeś, iż będę ci bezinteresownie dopomagał w twoich kręćactwach? Nie... takim idyotą nie jestem. Upewniałeś mnie, że tu chodziło o zwykłą miłosną sprawkę, o rozwiązanie maleńkiej intrygi, o wykradzenie ukochanej, w czem dopomódz ci miałem. Moja rola łatwą była do wykonania. Należało mi trzymać pod strażą w towarzystwie Limassou, w domku umyślnie wynajętym do tego, jakąś kobiecinę, która, jak utrzymywałeś, miała być ni-by ciotką czy babką przedmiotu twojej miłości. Zapłaciłeś mi za to sto talarów. Nie mając grosza w kieszeni, przyjąłem chętnie tę propozycję, bom czułem, że grunt mi się chwieje pod stopami. Nie ufałeś mi jednak... ja tobie wzajem nie ufałem. Chodziłem jak cień za tobą, nie będąc widzianym. Użyłem polewę wypłaconej mi kwoty na zasięganie od ludzi różnych wiadomości i o wszystkim się dowiedziałem. Teraz nie potrzebuję nic więcej... Znam nawet nazwisko twojej kochanki. A! chcemy się wcisnąć w arystokratyczne sfery, mój chłopcze... Przybieramy pozory ucziwych ludzi... Staramy się uczynić niezbędnem i to w najkrótszym czasie, małżeństwo

z milionową dziedziczką... Brawo! gruba to sprawa... Winszuję! Prowadziłeś ją ręką doświadczonego mistrza... Jesteś przezornym, lecz nadto skąpym i samolubnym, chojniejszym być trzeba tam, gdzie w grę wchodzi miliony. A zatem zysk na połowę, mój towarzyszu! Zostaniesz wkrótce panem wielkiego majątku... bardzo to pięknie, lecz pomyśl jednocześnie o nim i dla mnie zarówno. Jasne to mniemam i kategoryczne.

Wygłosiwszy ów monolog z widocznym zadowoleniem, Sariol umilkł zdyszany, aby wychylić szklanę wina.

— Skończyłeś?—zapytał Robert wzruszając ramionami.

— Zdaje się...

— A zatem powiem ci, mój biedny Sariolu, że jesteś szalonym, nie chcąc powiedzieć, żeś głupim.

— Tak sądzisz?...

— Niezaprzeczenie... Owe miliony, z których połowę żądasz dla siebie, zależą od małżeństwa, które jedynie dać mi je może, nieprawdaż?

— Tak jest.

— Małżeństwo to zawarłem jeszcze nie zostało...

— Tak... ale przyjdzie do skutku prędzej, czy później.

— Kto wie? Przyszłość nie od nas zależy... A nawet w przypuszczeniu, że to się spełni kiedyś, ów dzień jest może bardzo dalekim!

— Jakaż przeszkoda mogłaby istnieć w tym razie?

— Potrzeba czekać na zgon ojca...

— Dla czego?

— Ponieważ za życia nie dałby swego zezwolenia.

— Lecz ułożyłeś sprawę w ten sposób, że zmusić go możesz?

— Mówię ci, że nie zezwoli... nigdy nie zezwoli — rozumiesz?

— Nawet gdyby dowiedział się o prawdzie?

— Wtedy to właśnie byłby najbardziej niewzruszonym.

— Czy podobna?... Poręczasz mi to słowem honoru?

— Jakiż cel miałbym w tem kłamstwie? Małżeństwo nie jest rzeczą, z którąby ukryć się można. Gdyby zapowie-

dzi zostały ogłoszonymi dziś z rana, wiedziałbyś o nich przed wieczorem.

— Jest nieco prawdy w tem, co mi mówisz... Ha! skoro czekać trzeba koniecznie, będę czekał, lecz pod pewnymi warunkami...

— Warunki... z twojej strony?... Żartujesz!

— Nie żartuję. Przedewszystkiem posiadam twoją tajemnicę, a sekret w zręcznych rękach, staje się miną złota pierwszego gatunku. Trzeba się schylić tylko dla czerpania bogactw. Byłem zawsze dobrym... mam tkliwe serce... nie chcę ci sprawiać przykrości i zgadzam się na eksploataowanie tej żyły obecnie, tylko w pewnych częściach; nieprzypadałoby mi bowiem do gustu jedzenie suchego chleba przy zapachu twojej pieczeni. Mam próżną kieszeń, a ty masz ją wypchaną banknotami. Należy zaprowadzić równowagę... Mam słuszość, wszak prawda?

— Miałbyś ją może... gdybym był rzeczywiście bogatym, lecz na nieszczęście, nim nie jestem.

— Zgoda... nie jesteś milionerem, lecz pobierasz rentę... Och! te renty... szczęśliwi ludzie!... Być pewnym, że z rana zje się śniadanie, a obiad w południe... Ach! jak to przyjemne! Jest to mojem marzeniem, które ty urzeczywistnisz!

Robert otworzył usta, chcąc odpowiedzieć, przerwał mu Sariol:

— Nie trwóż się...—wyrzekł—moje warunki będą przystępnymi, nie pokrzywdzę cię wiele. Zadowolnię się do dalszego uporządkowania tej sprawy, dwustoma tysiącami franków miesięcznie.

Robert z zachmurzonym wzrokiem i zmarszczonymi brwiami rozmyślał przez chwilę, nagle twarz jego rozjaśniła się.

— Zgoda!—odpowiedział—będziesz miał te pieniądze!

— Nie będę ukrywał przed tobą—mówił dalej Sariol—że radbym coś dostać teraz, na rachunek pierwszego miesiąca. Towarysz podał mu bilet dwustufrankowy.

— Wspaniałomyślny przyjacielu! — wykrzyknął Sariol, chowając z pośpiechem banknot do kieszeni; a pochwyciwszy szklankę napełnioną winem:

— Niechaj to wino trucizną dla mnie stanie! — zawołał—gdybym miał ci się przენiewierzyć. Jestem odtąd duszą i ciałem tobie oddany. Otóż więc sprawa uregulowana. Teraz-niejszość nam sprzyja, pomówmy przeto o przyszłości!

— Jak to o przyszłości?... Śmiałżebyś stawiać mi jeszcze inne wymagania?

— Ależ do pioruna!... za cóżbyś mnie uważał, mój do bry kolego, gdybym poprzestał na tych dwustu tysiącach franków miesięcznie wtedy, gdy ty będziesz miał miliony? Powiedziałbyś sobie, że m głupiec, nieprawdaż? a ja tego nie ścierpię. Zostać oszukany, idyotą... Nie... nigdy! Pozwolę ci iść naprzód, dalej... wesprę cię nawet mojem ramieniem, gdyby tego była potrzeba, potrzebuję mieć jednak jakieś zapewnienie z twej strony.

— Nie ufasz mi zatem?

— Zostawmy te głupstwa!

— A gdybym ci przyrzekł?

— Ha! ha! ha! obietnice... przyrzeczenia... wróble na dachu, mój bracie—zaśmiał się Sariol.

— Czegóż więc żądasz nareszcie?

— Małego aktu, nakreślonego pięknem twem pismem, mniej więcej tej treści:

„Jestem dłużny mojemu przyjacielowi Sariolowi, za oddane sobie przezeń wiadome usługi, okrągłą sumę trzysta tysięcy franków, jaką zobowiązuję się wypłacić mu nieodwołalnie nazajutrz po zawarciu przezemnie małżeństwa z panną Henryką d'Auberive.“

Robert wzruszył ramionami.

— Podobny akt—wyrzekł—nieposiadałby żadnej wartości.

— W obec handlowego trybunału... to prawda — od-

parł Sariol. — We wszelkim jednak innym wypadku, nie zaprotestujesz go, jestem pewny, i zapłacisz mi co do grosza.

— Tak sądzisz?

— Jestem tego pewnym, ponieważ ów akt będzie podpisanym *wszystkiemi* twojemi imionami i nazwiskami, tak prawdziwemi, jak i przybranemi... Rozumiesz mnie hrabio Robercie de Loc-Earn? Rozumiesz Robercie Saulnier?..

Robert zbladł jak ściana, zacisnął usta, ponury blask, tryskający mu z oczu, oznajmiał wręcz w nim burzę.

— A gdybym odmówił napisania takiego aktu? — zapytał nagle drżącym z gniewu głosem.

— Nie odmówisz... nie... — odpowiedział Sariol z ironicznym uśmiechem.

— Lecz cóżbyś wtedy uczynił?

— Na co zapytywać, skoro odpowiedź znasz dobrze. Wystarczyłoby jedno słowo z mej strony dla zburzenia wszystkich twych planów.

— Nie wierzonoby tobie!..

— Spróbujmy!

— Łotrze... nikczemniku!.. — wyszepnął Robert.

— Pfe! jakież prostacze wyrazy.. — zawołał Sariol, śmiejąc się głośno. Co to pomoże, na co je rzucać daremnie? Bądź lepiej uprzejmym i uczyn tę drobnostkę, której żądam, skoro nie możesz w inny sposób wywikłać się z tego.

— A! pochwyciłeś mnie więc i trzymasz?..

— Jak ptaka w klatce... nieprawdaż? Z tą różnicą, że ptaki śpiewają same z siebie, gdy przyjdzie im chęć do tego, a ja zagnalam cię i śpiewać ci każę. Przyznaj, czyliż źle mówię?

Robert siedział w milczeniu.

— Zrobisz czego żądam... wszak prawda?

— Muszę... zagnalony koniecznością.

— Bravo! porozumienie zwykle następuje między uczciwymi ludźmi. Pogodzić się... jak to przyjemne! A jeszcze przyjemniejsze mieć piętnaście tysięcy franków renty!

Uszczęśliwisz swojego przyjaciela, możesz się tem pochlubić No... a teraz uściśnienie ręki.

— Niepotrzebne.

— Gniewasz się? lecz to przeminie. Co znaczy sto tysięcy talarów dla człowieka, który pochwyti miliony? Powiniennem był żądać dwa razy tyle... wszak rzekło się słowo, skończona. Sporządzimy ów akt co rychlej, nie odkładając, na stempowym papierze, jak przynależy, a zanim to nastąpi, pragnę ci wyświadczyć małą przysługę.

Robert spojrział nieufnie na mówiącego.

— Prawdziwą przysługę... — mówił dalej Sariol — za którą nic nie żądam. Mogę dostarczyć mamkę wyborową dla twego spadkobiercy. Jest to żona pewnego rybaka z wyspy Saint-Denis, mego przyjaciela. Ma lat dwadzieścia, zdrowa i świeża, jak pączek róży. Malec będzie karmiony jak książę! Powinieneś dbać o niego, bo przezeń tylko na matkę wpływ mieć możesz. Zaprowadzę cię do tych rybaków, gdy zechcesz.

— Odlóżmy to na później.

— Jak ci się podoba.

Powyższa rozmowa, prowadzona pomiędzy dwoma mężczyznami, siedzącymi za stołem w tej knajpie, ukończyła się nareszcie. Mówiąc wiele, Sariol jadł i pił z apetytem. Butelki wypróżnione zostały. Wszystkie potrawy ze stołu zniknęły.

Po zapłaceniu rachunku, Robert wraz z towarzyszem szedł ku bulwarowi Batignolles tą samą drogą, jaką przybyli.

W pobliżu domu, zamieszkałego przez panią Angot, dwaj owi nocni awanturnicy przeszli w poprzek ulicę, ażeby się znaleźć naprzeciw wspomnianego budynku.

Światło przyćmionej lampy słabo połyskiwało przez okno pokoju pierwszego piętra, gdzie spoczywała Henryka.

Na drugim piętrze było zupełnie ciemno.

Głębokie milczenie otaczało dom cały.

— No! teraz sędzę, nie mamy się czego obawiać... *pan hrabia* może wejść śmiało — rzekł Sariol z komicznym pokło-

nem.—Ja wracam na moje stanowisko, ażeby uwolnić Limassona, który się nudzi na straży przy starej. Jutro przybędę tu, ażeby pomówić z tobą o mamce. Tak dobrej sposobności pomijać nie należy.

— Zobaczę...—rzekł krótko Robert.

Sariol odszedł, a jego towarzysz śledził go wzrokiem, dopóki nie zniknął w ciemnościach, następnie wchodząc w głąb korytarza, wyszeptał:

— Ten błazen wie za zbyt wiele... mógłby mi nieszczęście sprowadzić.

XIII.

Z wyż przytoczonej rozmowy Sariola z Robertem czytelnicy dowiedzieli się, że ową młodą dziewczyną, przebywającą w mieszkaniu pani Angot, była Henryka d'Auberive.

Wyjaśnić nam pozostaje skutkiem jakiego zbiegu szatańsko powikłanych okoliczności to nieszczęśliwe siedmnaścieletnie dziewczę zostało na zawsze zgubionem.

Ów siwowłosy starzec, którego widzieliśmy śpiącym na szeslongu, w pobliżu gorejącego na kominku ogniska, we wspólnym przybranym pokoju własnego pałacu przy ulicy Ville l'Eveque, nazywał się Zygmunt, Jan, Ireneusz d'Auberive.

Bretończyk z pochodzenia, kolosalnie bogaty, zapalony rojalista, pan d'Auberive, brał czynny udział w ostatnich zamieszkach w Wandei.

Chlubił się, iż był jednym z bohaterów, walczących w zamku Penissière.

Ożeniony powtórnie w pięćdziesiątym piątym roku życia, bezdzietny w pierwszym małżeństwie, został wdowcem po raz drugi, gdy jego Henryka na świat przyszła.

Od lat dziesięciu nie opuszczał wcale Paryża.

Gwałtowny reumatyzm, w połączeniu z napadami podagry, zmuszał go do pozostawania w mieszkaniu.

Atak paraliżu pozbawił go władzy w prawej ręce i utrudnił wymowę, nadając jego wyrazom ów dźwięk chropawy, złamany, o jakim wspominaliśmy.

Trudno wyobrazić sobie coś bardziej smutnego nad życie tego człowieka, krzepkiego jeszcze mimo sędziwego wieku, owego starca tak niegdyś czynnego, który zgębiony obecnie nieuleczalną chorobą, nie mógł poruszyć się z miejsca bez pomocy swego kamerdynera; starca, patrzącego na upływający dzień po dniu w ponurem milczeniu, w przytłaczającej jednostajności, jedynie w towarzystwie swej córki i małej liczbie sług dawnych.

Drażniony cierpieniem, źle wpływającym na jego usposobienie, pan d'Auberive nikogo nie przyjmował u siebie. Z dawnych jego przyjaciół, współczesnych mu ludzi, bardzo mała garstka pozostała. Ci, którzy żyli, nie chcąc się narażać na odmowę, skutkiem złego stanu zdrowia chorego, zaprzestali go odwiedzać.

Pan d'Auberive uskarżał się niejednokrotnie, że o nim zapomniano. Nie mogło być jednak inaczej.

Biedna Henryka, jak kwiat pozbawiony słońca i ożywczego powietrza, wzrastała przy starcu kochającym ją nad wyraz, któremu wszelako egoistyczna jego ojcowska miłość nie nasunęła myśli, ażeby temu dziecięciu dostarczyć rozrywek, niezbędnych po umysłowej pracy, jakiej to dziewczę się oddawało, przygotowując lekcye sobie zadane przez licznie przybywających do pałacu nauczycieli.

Łagodna i posłuszna, uczyła się cierpliwie tego, czego jej się uczyć kazano, obojętnie wszelako i bez zapału. Brak jej było rywalizacji, współubiegania się z koleżankami, tego potężnego motoru w rozbudzaniu inteligencji. Uczyla się machinalnie, bez upodobania, oddając się wyłącznie staraniom około swego małego ogródka, jaki pośród parku dla niej przeznaczono.

I to ją wreszcie znudziło.

— Dla kogo—mówiła sobie—pielegnować róże, które ja jedna tylko podziwiam i cieszę się niemi? Żyjąc zdala od świata, wychodziła jedynie w niedzielę, na mszę do pobliskiego kościoła, wraz z pokojówką, starą, zacną kobietą, całkiem sobie oddaną, lecz jako bywa o nader ciasnem umysłowem pojęciu.

Podczas to owych chwil zwykłej nieobecności swej ciotki, jeśli te nieco się przedłużały, pan d'Auberive stawał się niespokojnym, podrażnionym, wytwarzał sobie jakieś urojone obawy, które znikwały dopiero wtedy, gdy Henryka się ukazała i przybiegłszy ku niemu z pieczęcią, pochyliła do pocałunków swe czoło.

Z rozpoczęciem piętnastej wiosny życia, widoczna zaszła zmiana w zachowaniu się dziewczęcia.

Przesiadywała długie godziny w wielkiej bibliotecznej sali, gdzie odnalazłszy klucz od jednej z szaf z książkami, szperać w takowych poczęła.

Półki z góry do dołu napelnione były bogato oprawnemi w skórę tomami. Chwyciwszy pierwszą lepszą, jaka jej się nasunęła pod rękę, uniosła ją do swego pokoju.

Nazajutrz odkryła w szafie skarb nowy, cały przedział zapełniony romansami.

O! stokroć lepiej byłoby dla niej, gdyby była weszła w głąb izby, napelnionej wyziewami trucizn zabijających, ich woń albowiem ostrzegłaby ją może o grożącym niebezpieczeństwie. Zresztą trujące substancje zabijają ciało, gdy niektóre książki na zawsze duszę kalają.

Ów przedział w szafie bibliotecznej zawierał w sobie zbiór najwyuzdańszych romansów, słowem to wszystko cokolwiekbądź zgubnego wydał wiek XVIII i początek XIX stulecia.

Oprócz utworów Crébillon'a (syna), Diderot'a, Louret'a i innych, znajdowało się tam mnóstwo dzieł w tym rodzaju.

Dziewczę rzuciło się namiętnie do tej trującej strawy, pochłaniając chciwie te płody drażniącej zmysły literatury.

Nieszczęściem nikt nad nią nie czuwał, nikt nie badał, czem ona się zajmuje.

I w owym dziecinnym pokoiku, w którym dotąd Henryka spokojnie, błogo zasypiała, lampa świeciła teraz przez większą połowę nocy przy spożywaniu owej moralnej trucizny.

To pewna, iż dziewczę wiele tych rzeczy nierozumiało, iż wiele pozostało tu ciemnych, nierozjaśnionych myśli dla jej młodocianego pojęcia, domyślała się jednak więcej, niż było potrzeba, a tym sposobem kaziała dziewczę czystość swej duszy, drażniła wyobraźnię, zdrowie jednocześnie nadwątlała.

Pewnego dnia niespodziewany wypadek sprowadził zmianę w jednostajnym życiu pana d'Auberive i jego córki.

Henryka znajdowała się przy swoim ojcu, gdy Józef, ów siedmziesięcioletni kamerdyner, wszedł do pokoju niosąc na srebrnej tacy list, zamknięty szeroką pieczęcią lakową, z wyciśniętą na niej hrabiowską koroną i podał go panu d'Auberive.

— Przeczytaj mi ten list...— rzekł starzec do córki.
Dziewczę poczęło czytać głośno, co następuje:

Panie!

„Syn jednego z twych towarzyszków broni, który legł „śmiercią chwalebną walcząc przy twoim boku, w potyczce „pod Pénissière, ma zaszczyt prosić o dozwoleństwo mu złożenia „uszanowania panu, jako jednemu z ówczesnych bohaterów.

„Jeżeli pan zrobisz dla mnie wyjątek od przyjętych „przez siebie zwyczajów i przyjąć mnie raczysz, uczynisz „mnie szczęśliwym nad wyraz, za co dozgonnie wdzięcznym „pozostanę.

„Najuniżeńszy z pomiędzy sług twoich

„*Hrabia Robert de Loc-Earn.*“

— Syn hrabiego de Loc-Earn!... Syn mego starego przyjaciela, towarzysza broni... Ach! przyjmę go... przyjmę z otwartymi rękoma—wołał gorączkowo pan d'Auberive, gdy Henryka skończyła czytanie.

Kamerdyner stał przy drzwiach, czekając.

— Kto ten list przyniósł? — zapytał starzec, zwracając się do służącego.

— Jakiś młody mężczyzna, brunet, bardzo przyzwoity z pozoru.

— Gdzie on jest?

— Czeką w przysionku.

Pan d'Auberive rzucił się gniewnie, o ile jego sparaliżowanie na to mu pozwoliło.

— W przysionku!...—powtórzył—jak mogłeś, ty stary szaleńcze, pozwolić, by hrabia de Loc-Earn tam czekał?

— Nie wiedziałem...—wyjąknął Józef zmieszany.

— Są rzeczy, które odgadywać należy... Ludzie w twym wieku nie powinni popełniać takich błędów. Idź do hrabiego Loc-Earn, wytłomacz się, przeproś go najuniżeniej... i wprowadź tu... wprowadź natychmiast!

Kamerdyner wyszedł z pośpiechem.

— Mamże pozostać tu, ojcze?—zapytała Henryka.

— Owszem... proszę cię o to. Sądzę, że będzie ci przyjemnie poznać syna mego starego przyjaciela.

— Przyjemnie, w rzeczy samej... wszystko jest dla mnie przyjemnem, co może mi sprawiać jakąkolwiek rozrywkę — z cicha odpowiedziało dziewczę.

Jednocześnie drzwi się otwarły i stary sługa wygłosił:

— Pan hrabia de Loc-Earn!

Przybyły, którego czytelnicy dobrze już znają, podszedł najswobodniej do pana d'Auberive, a złożywszy mu ukłon głębokoki, zwrócił się, pochylając głowę przed Henryką.

— A! panie hrabio, którego nazwisko przywodzi mi na pamięć tyle drogich wspomnień, witaj nam, witaj!... — wołał starzec. — Uściśnij mą lewą rękę, jest to ręka przyjaciela.

Przeklęty paraliż nie pozwala mi podać ci prawej, tej którą twój ojciec ścisnął tak często. Biedny Tristan!... zdaje mi się, że widzę go jeszcze! Jesteś do niego podobnym!... też same rysy twarzy... tak! Wiele mi go przypominasz!

— Wszyscy mi to przyznają...—rzekł Robert, ściskając z poszanowaniem lewą rękę starca.—W mego to ojca imieniu, jako i własnem mem, panie, składam podziękę za tak serdeczne przyjęcie. Wierzaj, iż wdzięcznym ci pozostanę, o! bardziej wdzięcznym, niż to wyrazić zdołam słowami.

— Jeżeli który z nas winien wdzięczność drugiemu—odrzekł pan d'Auberive—w takim razie ja jestem twoim dłużnikiem. Jakże ci mam dziękować, żeś nawiedzić chciał starca, o którym świat cały zapomniał. Dla czego jednak wcześniej nie powziąłeś tego pięknego zamiaru?

— Myślałem o tem niejednokrotnie, myślałem od dawna—rzekł Robert—i pragnąłem z całej duszy...

— Odwiedzić mnie? a jednak nie uczyniłeś tego?

— Nie znajdowałem powodu, któryby mógł usprawiedliwić mą śmiałość.

— A obecnie znalazłeś go?

— Tak, panie.

— Jakiż to... radbym wiedzieć?

— Natychmiast opowiem.

XIV.

— Prosząc pana o zaszczyt przyjęcia mnie w jego domu—rzekł Robert po chwili milczenia, podczas którego rozmyślać się zdawał—powyższe moje żądanie mogło byłoby być mylnie zrozumianem. Mogłeś pan łatwo udzielić mi odmowę w sposób upokarzający mą miłość własną, moją ambicję, a przyznając, że jestem dumnym...

— Jestże to wadą?—przerwał pan d'Auberive.—Gdyby nią było, jest to w każdym razie wada dusz wielkich. Wytło-

macz mi jednak jaśniej—dodał po chwili—dla czego i z jakiej przyczyny mógłbym fałszywie zrozumieć to postąpienie tak naturalne i proste z twojej strony.

— Przechodziłem w mem życiu bardzo ciężkie chwile— rzekł Robert—walczyłem z nadludzkimi trudnościami. Kto wie zatem, czyli ujrzawszy mnie przybywającego do siebie w jednej z owych prób ciężkich, nie nasunęłaby się panu myśl, że w imieniu mojego ojca, twego przyjaciela i towarzysza broni, uciekam się do pana o pomoc...

— A gdyby tak było rzeczywiście—zawołał żywo starzec—nie miałebym prawa do twojej ufności... jak ty zarówno do pomocy z mej strony?

— Powiedziałem, panie, że jestem dumnym i że od niko- go nigdy niczym nie przyjął..

— Dla czego?

— Zubożały szlachcic może i powinien pracować na własne swe wyżywienie. Nie wyciąga on ręki po jałmużnę, choćby ta pod najdelikatniejszym pozorem udzieloną mu być miała. A gdyby nawet kiedy brakowało mu chleba, nie chce, ażeby o tem świat wiedział..

— Brakowało ci zatem chleba? — zawołał z trwogą pan d' Auverive.

— Tak... i nieraz panie...

— I nie przyszedłeś do mnie? Ach! to źle... to okrutnie—mówił żywo starzec.—Twoja pycha złą była doradczynią w tym razie. Czyżes pomyślał, jakim ciężarem obarczasz moje sumienie? Twój ojciec, gdyśmy przebywali w Wandei, na kilka dni przed bohaterską potyczką, w której zginąć mu przyszło, pożyczył mi pewną niewielką kwotę pieniędzy. Gdy poległ i mnie po przegranej bitwie potrzeba było co rychlej opuścić Francję, aby uniknąć wyroku śmierci. Lata upływały zanim wróciłem, a powróciwszy, zapomniałem zupełnie o zaciągniętej pożyczce. Byłem dłużnikiem ojca, którego syn głód cierpiał... Jakaż to dla mnie boleść... jakie wyrzuty sumienia!

I ty to wywołałeś je, panie hrabio... Wierzaj, iż nie łatwo mi tobie przebaczyć to przyjdzie.

— A czego bardziej nie przebaczysz mi pan może—odparł Robert ze śmiechem—to żem stał się powodem maleńkiego kłamstwa, podejsia, jakie twe wielkie szlachetne serce podyktowało ci w tej chwili.

— Kłamstwa? — powtórzył pan d'Auberive z lekkim zmieszaniem, jakiego ukryć nie zdołał. — Kłamstwa, podejsia... co mówisz?

— Mówię— rzekł Robert — iż hrabia de Loc-Earn, mój ojciec, o czym panu wiadomo zapewne, nie posiadał majątku i utrzymywał się jedynie ze swojej szczupłej oficerskiej pensyi, a tym sposobem nie mógł panu pożyczać najmniejszej nawet kwoty pieniężnej. Pozwól mi pan dodać prócz tego, iż gdybyś był rzeczywiście jego dłużnikiem, niezapomniałbyś o zaciągniętej pożyczce, szukałbyś wszędzie syna hrabiego Loc-Earn, którego zresztą nietrudno było odnaleźć i wypłaciłbyś ten dług od dawna. Wszak prawda, panie? Niepodobna ci zaprzeczyć mym słowom?

— A jednak...— wyszeptał starzec.

— Nie nalegaj pan, proszę...— przerwał Robert.— Jakkolwiek bądź delikatnym i wzruszającym jest pozór twojego dobrodziejstwa, odmówiłbym stanowczo przyjęcia.

— Te więc trudności, z jakimi walczyłeś, już dziś nie istnieją? — pytał pan d'Auberive.

— Znalazłem chwilowo sposób do uchronienia się od nich. Ponieważ jednak czynisz mi pan zaszczyt interesowania się mną, należy mi choć wkrótkości przedstawić ci mą przeszłość. Pozwolisz mi pan to uczynić?

— Nietylko pozwolę, lecz proszę o to.

— Gdym stracił ojca, byłem bardzo młodym, dzieckiem jeszcze prawie— zaczął Robert.— Jeden z naszych krewnych, człowiek bogaty, bezzenny, umieścił mnie w kolegium w Rennes, gdzie otrzymałem gruntowne wychowanie. Miał on zamiar, nie wątpię, zapewnić mi przyszłość, zmarł jednak nagle

podczas polowania, bez testamentu, skutkiem czego najbliżsi spadkobiercy zabrali majątek.

Ukończyłem szkoły z odznaczeniem i przeszedłem na naukę prawa, gdy właśnie śmierć tego krewnego pozostawiła mnie bez środków na dalsze kształcenie się. Potrzeba było pod grozą śmierci głodowej wydobyć jakąbądź korzyść z tej kupy nauk, nagromadzonych w mym mózgu.

Nie było to łatwem, zaiste! Z radością przyjąłem obowiązki nadzorca w kolegium, które opuściłem jako wychowaniec.

Tak, panie! Hrabia de Loc-Earn stał się owym „pionkiem,” tą nieszczęśliwą istotą, w której uczniowie widzą coś mniej nad służącego, biedaka pogardzanego, wroga dla nich, obrzucanego upokorzeniem i obelgami.

Achl panie, jakież to życie było dla mnie, który, jak powiedziałem, jestem tak dumny!

Zbroilem się w odwagę i cierpliwość przeciw pogardzie i szyderstwu! Stałem się głuchym i ślepy, aby nie widzieć, nie słyszeć!...

Przez cały ciąg dnia pracowałem, w nocy pracowałem również, zaprzysiągłem sobie albowiem, że siłą własnej mej pracy, zdobędę sobie wyższe stanowisko, zostanę jednym z tych ludzi, głośnych nauką i uznaniem w świecie. Niestety jednak... zbyt wiele na siebie liczyłem.

Po upływie roku, zachorowałem tak niebezpiecznie, że przez kilka tygodni walczyłem pomiędzy życiem a śmiercią. Gdy po długiej rekonwalescencji wyzdrowiał nareszcie, dowiedziałem się, że moje miejsce w kolegium zostało przez kogo innego zajęte!

A! była to śmierć w innej formie, kto wie, czy nie straszniejsza nad wszystko! Choroba oszczędziła mi życie... brak chleba, niestety, mógł zabić!

— Ha! — wyszepnął pan d'Auberive drżącym ze wzruszenia głosem — i mnie nie przyszło zapytać ni razu, co się dzieje z synem mojego przyjaciela? Czy żyje on?... Czy jest

szczęśliwym? A jednak Bóg mi dał serce, przechowujące żywo drogiej przeszłości wspomnienia. Dla czego to serce nie przemówiło natenczas. Co się z niem działo?

Henryka nieruchoma, w milczeniu słuchając opowiadania, łzy ocierała.

Robert ciągnął dalej historję, ułożoną przez siebie z nieporównaną zręcznością; dramatyzował najdrobniejsze fakty, najmniejsze szczegóły, aby opowiadaniem tem wzruszyć serca i wstrząsnąć niemi do głębi.

Opowiadał, jak dzięki piękności swojego pisma, znalazł zajęcie przy notaryuszu, z którego to jednak szczupłego dochodu, zaledwie mógł żyć.

Opowiadał, w jaki sposób straciwszy wszelkie złudzenia, widząc rozpierzchającemi się swoje nadzieje, zachował jedną tylko ambicyę uratowania na zewnątrz pozorów, właściwych człowiekowi z wyższej sfery, do której należał; przy niedostatcznym pożywieniu, przepędzaniu nocy na przepisywaniu papierów, ażeby kupić sobie ubiór skromny, lecz świadczący o dobrym guście i pewnej elegancyi.

— Przynajmniej to, mocą niesłychanych trudów osiągnąłem—mówił dalej—czego mi się wyrzec niepodobna było. W chwili, w której się ujrzałem ubranym jak dżentlemen, zdawało mi się, iż blask słoneczny rozświetlił ubogą mą egzystencyę, wróciła mi odwaga do walki z uciskającym mnie losem.

„I otóż mimo to wszystko żyłem, jeżeli podobną mękę życiem nazwać można. Nadeszło jednak znużenie i zniechęcenie. Głos jakiś nieznanym szeptem mi coraz wyraźniej, że spoczynek w objęciach śmierci byłby dla mnie rozkoszą po tytu daremnych wysiłkach, i byłbym bezwątpienia pograżył się chętnie w głębię mogiły, gdy rozległy się wieści po Europie o olbrzymich bogactwach szybko, lubo nie bez niebezpieczeństw zdobywanych w Australii.

„Światło zabłysło nagle przedemną. Powiedziałem sobie, że ów zły los nie może prześladować bezprzestannie człowieka

o czystem sumieniu, mającego prawo wznieść czoło w górę. Zacząłem silnie wierzyć, że moja gwiazda przyćmiona pod naszym pochmurnem niebem, zaświeci mi żywszym blaskiem na firmamentach tych odległych krajów. Byłóż to złudzeniem? sam nie wiem, lecz miałem ufność niezłomną, że tam zdobędę majątek, że wrócę bogatym!

„Podtrzymywany tą wiarą, elektryzowany owym mirażem, z równym zapałem rzuciłem się do pracy, pozbawiając najkonieczniejszych potrzeb, aby coś zebrać na kosztą podróży i pierwsze chwile pobytu w krainie złota.

„I otóż posiadam tę sumę, Bóg jeden wie tylko, za jaką cenę mozołów, bezsennych nocy, umniejszania sobie pokarmów... Mam wolną wolę działania, jaką zdobyłem sam, własną pracą, bez niczyjej pomocy, mogę iść teraz, dokąd przeznaczenie mnie wzywa.

„Jeżeli mi się powiedzie, wrócę milionerem... ród Loc-Earn'ów odzyska swoją dawną świetność... A gdy upadnę, Francya nie ujrzy już więcej swego wydziedziczzonego syna... Zostanie w każdym razie rewolwer i ładunek do niego z prochu i kuli.

„W końcu odjeżdżam, przedtem jednak postanowiłem przedstawić się panu, dla którego chowam najgłębszy szacunek... panu, który byłeś przyjacielem mojego ojca, a którego wspomnienie pójdzie wraz zemną tam, po za góry i morza, na drugą stronę półkuli.

-- Raczyłeś mnie pan przyjąć tak dobrotliwie — mówił dalej — iż to ośmiela mnie do żądania od ciebie jedynej przysługi, jaką człowiek z mojemi zasadami może przyjąć bez zarumienienia. Potrzebuję protekcyjnego listu do pewnej znakomitej osobistości przy konsulacie francuzkim w Australii... Proszę więc o pańską wysoką rekomendację, która dla mnie stanowić będzie niezmiernie wiele, ale ponieważ taki dowód zaufania łatwo udzielonym być nie może, pragnę przedstawić panu dokumenta, które go przekonają o mej nieskazitelnej uczciwości.

Tu Robert, dobywszy z kieszeni portfel, położył go na stoliku obok pana d'Auberive.

— Znajdują się tu—rzekł—obok aktu mojego urodzenia i inne papiery, stwierdzające tożsamość mojej osoby oraz chlubne świadectwa zarządzającego kolegium w Rennes i notaryusza, u którego pracowałem. Wszystkie podpisy są legalizowanemi! O! hrabia de Loc-Earn lubi być w porządku...—dodał z ironicznym uśmiechem—ma on dobre świadectwa, jak służący, szukający obowiązku. Pozostawię panu te dowody, raczysz je pan przejrzeć w wolnej chwili i pozwolić, abym się zgłosił nazajutrz tak po nie, jako i po list, o który prosiłem.

— Nietylko jutro, ale każdego dnia, o każdej porze, będziesz przezemnie najmilej widzianym gościem, kochany hrabio—odparł żywo pan d'Auberive—dla czego jednak mam przeglądać te papiery—dodał.—Widząc cię i słysząc opowiadającego, czyż można wątpić o tobie? Zabierz tę tekę, proszę cię o to.

Robert, powstawszy, potrząsnął głową przecząco.

— Jutro zabiorę ją...—odrzekł—a teraz składam moje uszanowanie i żegnam!...

Tu ukloniwszy się tak panu d'Auberive, jak i Henryce, wyszedł, przeprowadzony przez starego kamerdynera aż do pałacowej bramy.

Stary sługa chciał tym sposobem nagrodzić winę, jaką popełnił pomimowolnie, dając oczekiwać w przysionku hrabiemu de Loc-Earn.

XV.

Wzruszony odwiedzinami syna swego starego przyjaciela i towarzysza broni w pamiętnej wandejskiej epopei, rozrówniony świeżo usłyszanem opowiadaniem, tak pełnem wzniosłej szlachetności, pan d'Auberive, poleciwszy Henryce utworzyć tekę, zaczął przeglądać umieszczone w niej papiery.

Każdy z owych dowodów świadczył o wzorowym charakterze tego młodego człowieka i nieskażonej jego moralności.

— Na honor!... to zdumiewające... do niewierzenia piękne!...—wołał starzec.—Ten chłopiec widocznie nie należy do dzisiejszego pokolenia! Gdyby zechciał się być nagiąć do zwyczajów swojej epoki, gdyby był mniej dumnym i mniej uczciwym, gdyby był zechciał posługiwać się podłością i intrygą, zwalczyłby wznoszące się przed sobą przeszkody, wy dostał się na pierwszorzędne stanowisko i nie potrzebował w wędrówce po za ocean szukać lepszego losu. O! lekkomyślny ty świecie, pośród którego żyjemy—wołał z oburzeniem starzec—świecie zaślepiiony, niesprawiedliwy, samolubny, czyż nigdy nie ocenisz i nie nagrodzisz tych wielkich cnót i dzielnych charakterów, istniejących w ukryciu!

Pomieniona filozoficzna uwaga nie uspokoiła jednak pana d'Auberive.

Bardziej niż zwykle zdenerwowany, spędził noc bezsenne. Podniecony jego umysł pracował nad wytworzeniem wielkiego projektu. Aby wszelako ów projekt urzeczywistnić było można, potrzeba było do tego zezwolenia Roberta.

Duma, jaką objawił w opowiadaniu i silna wola młodego człowieka, zdawały się niweczyć wszelkie nadzieje w tym celu.

— Jak mu to przedstawić, aby nie trafić na odmowę z jego strony?—zapytywał pan d'Auberive sam siebie.—W jaki sposób nakłonić go, ażeby się zgodził na moje uwagi? Jeżeli mi się to nie uda, wszystko stracone! Skoro odpowie przecząco, niepodobna mi go będzie przekonać. Poznałem go dobrze. Nie mógłbym poznać lepiej, żyjąc z nim nawet przez czas długi. Łatwiej byłoby zgiąć sztabę żelazną, niżli nakłonić tego człowieka.

Po owej nocy bezsennej nadszedł spokojniejszy poranek.

Około godziny drugiej w południe, stary kamerdyner otworzył drzwi sypialni starca oznajmując:

— Pan hrabia de Loc-Earn!

— Moje drogie dziecię—rzekł pan d'Auberive, po uści-

śnieniu ręki młodego człowieka — od wczoraj myślę o tobie... myślę bezustannie... Czy wiesz, że sprowadziłeś mi noc bezsenność?

— Ach! — zawołał Robert — jakąż mi przykrość to sprawia!... Racz pan wybaczyć tę pomimowolną winę z mej strony. Jestem przekonany, iż wywołane przezemnie wspomnienia przeszłości sen panu odebrały.

— Nie! nie to... — odrzekł pan d'Auberive. — Niepokoi mnie twój wyjazd, twoje projekta i nadzieje zdobycia majątku.

— Być może, iż jaka trudność zachodzi z pańskiej strony w udzieleniu mi listu protekcyjnego, o który prosiłem? — pytał Robert. — Gdyby tak było, cofam to niedyskrytne moje żądanie.

— Przeciwnie... jestem gotów dać ci go bezwzględnie, gdybyś trwał w swoim zamiarze. Przyczyną jednak, wzniecającą moje obawy, jest twa podróż za ocean.

— Jak to, panie?

— Nieszczęściem, nie mogę dzielić twojej ufności, udzielonej mi wczoraj. Liczysz na świetne rezultaty, jakie wydają mi się być wątpliwymi... Niebezpiecznym jest ten twój zamiar, a skutek jego niepewnym. Marzenia o krainach złota, bądź co bądź są tylko złudnymi obrazami! Między szczęśliwymi awanturnikami, którym traf w pomoc przychodzi, iluż z nich bezpowrotnie ginie? Gdybyżeś ty miał znaleźć się w ich liczbie!...

— Zdaje mi się, że panu powiedziałem, co postanowiłem uczynić w razie niepowodzenia.

— Tak... powiedziałeś, że się zabijesz!...

— Jest to rozwiązanie nader logiczne i proste tego długiego dramatu. Spoczynek po trudach... na jaki, przyznasz pan, iż zasłużyłem...

— Sądzisz więc, iż mogę zaaprobować owo ponure rozwiązanie bez trwogi i głębokiego smutku? Jesteś synem mego ukochanego przyjaciela, a z chwilą, gdy cię poznałem, po-

zyskałeś mój szacunek, moją głęboką sympatyę i prawdziwie ojcowskie przywiązanie.

— Ach!—zawołał z uniesieniem Robert—tych słów tak mi drogich, nie zapomnę nigdy... nigdy w życiu! Będą one żyły w mem sercu, dopóki to serce bić nie przestanie. Zdwoję one siłę, jakiej tam będę potrzebował dla złamania wielu, bardzo wielu przeszkód. Będę walczył, wierzaj mi pan, całą potęgą mego istnienia, a jeśli padnę zwyciężony, świadczyć to będzie, iż nikt już w świecie na mojem miejscu nie zdołałby być zwycięzcą!

— Krótko przetnijmy tę kwestyę...—rzekł starzec—stawiasz na hazard swe życie...

— Tak... lecz czyliż mogę uczynić inaczej? Opowiedziałem panu wszystko... Znasz wszelkie szczegóły mej egzystencji. Dążę ku jednemu z horyzontów, jaki się otwiera przedemną!...

— Nie! nie ten jeden tylko...—odparł pan d'Auberive—gdybyś zechciał, mógłbyś nie jechać.

Robert potrząsnął głową.

— Wegetować na nowol...—wyrzekł po chwili.—Rozpocząć walkę codzienną z odradzającymi się bezprzestannie potrzebami życia! Schylić głowę pod jarzmo bezskutecznej pracy... szamotać się, wiedząc naprzód o bitwie przegranej i o nędzy bez wyjścia!.. Nie, panie!... mam dosyć tego! Wolałbym stokroć razy umrzeć... i nie zawaham się przed śmiercią w takim razie, przysięgam!

— Powiedziałem, że mógłbyś nie jechać... — powtórzył starzec.

Robert wzrok utkwił w mówiącego.

— Nie bez przyczyny pan mi to mówisz.. — rzekł po krótkiej chwili.—Nie żartowałbyś ze mnie, ukazując mi jakąś złudną nadzieję. Znaszże pan jaki uczciwy sposób zarobienia w Paryżu tyle, ile potrzeba, ażeby żyć, a nie męczyć się w niedostatku?

— Znam taki sposób...

— Jakiż to? Przedstawiony przez pana synowi hrabiego de Loc-Earn, godzien być musi przyjęcia.

— Jest nim... upewniam — odrzekł pan d'Auberive, zmieszany nieco w miarę zbliżania się rozstrzygającej chwili. — Przyjmując mą propozycję, dokonasz pięknego, szlachetnego czynu, ponieważ osłodziś ostatnie lata nad grobem stojącego starca.

— O pana więc chodzi?—zapytał żywo Robert.

— Tak... i otóż ci wszystko wyjaśnię. Moja ręka prawa jest sparaliżowaną... pisać nie mogę. Wzrok osłabiony mgłą się pokrywa, gdy czytam nieco dłużej, a czytać lubię. Po-dwójna owa bezwładność znagła mnie do zaniedbywania czę-stokroć nader ważnych moich interesów. Rozległe moje posiad-łości pozostają w ręku intendenta i rządców, bez kontroli. Taki stan rzeczy może nietylko nadweryżyć mój majątek, ale uprawnia nadużycia i marnotrawstwo. Gdyby mi Bóg dał był syna, on zająłby się tem, czem ja się zająć nie mogę... Byłby moim sekretarzem i lektorem, czuwałby nad zarządem dóbr moich; odbierałby dochody, porozumiewał się z bankiera-mi i giełdowymi agentami, umieszczałby moje kapitały, słowem, stałby się mą prawą ręką, moją myślą, wolą, drugim mną nareszcie. Chciałżebyś, panie hrabio, być dla mnie tem, czemby był ów syn? O! proszę cię.. zaklinam!...—dodał drżą-cym ze wzruszenia głosem—nie odmawiaj mi tego!

Robert wstał, a ujawszy rękę pana d'Auberive, uściskał ją w swych dłoniach.

— Dla czego miałbym odmówić? — zawołał z pozorem głębokiego uczucia wdzięczności — to co mi pan ofiarować raczysz, jest dowodem wysokiego zaufania z twej strony, godnego ciebie i mnie zarazem. Przyjmuję twoją propozycję!...

— A! nie uwierzysz, ile mnie to uszczęśliwia!...—zawo-łał starzec z uniesieniem. —Otóż zostałeś naszym dzieckiem, naszym domownikiem! Zdaje mi się, że odnalazł twój ojca, mego ukochanego Tristana... który mi w tobie odżyje. Nie rozłączymy się już z sobą... Zamieszkaś w jednym z pa-

łacowych pawilonów, będziesz zupełnie jak u siebie, niezależnym zupełnie. Służba będzie ci posłuszną, jak mnie samemu. Wydam rozkaz, ażeby ci natychmiast apartamenta przygotowano. Pragnę, ażebyś tu już dziś nocował.

— Nic nie nagli...—rzekł Robert z uśmiechem.

— Wybacz ten mój pośpiech... drogi mój chłopcze, lecz radbym, ażebyś się co rychlej do nas już przeniósł. Niestety! nie będę mógł widzieć twego urzędzenia się, przeklęty paraliż nie pozwala mi się ruszyć z miejsca. Gdyby nie to, byłbym jeszcze rzeźkim, mimo lat moich siedmdziesięciu i gotów byłbym bić się, jak niegdyś, w naszej Wandei!

Oczy starca ogniem błyszczały, żywy rumieniec okrył twarz jego bladą, okoloną siwemi włosami. Nagły ból przypomniiał mu, że przekroczył wyjątkowy spokój nakazany sobie przez lekarza,

— Mój stary kamerdyner—wyrzekł po chwili—zaprowadzi cię do nowego mieszkania. Mam dobrą pamięć... wiem, że jest ono w wyższym stylu umeblowanem, sądzę, iż ci się podoba. Gdyby przeciwnie być miało, wydaj rozkaz tapicero wi, ażeby meble zmienił co prędzej.

— Ach! jak pan jesteś dobrym... — rzekł Robert z oddźwiękiem uczucia—pańska wszelako troskliwość jest zbytęczną, upewniam. Mnie wszędzie dobrze... Poznawszy życie moje, pan wiesz, iż nie nawykłem do zbytków.

— Potrzeba do nich nawyknąć... — zawołał starzec. — Bogactwo i okazałość właściwemi są dla hrabiego Loc-Earn. Pochodzisz z rodu wielkich panów... nie zapominaj o tem, mój chłopcze.

— Z rodu upadłego, Niestety!...—odparł młody człowiek z westchnieniem.

— Tak jest... chwilowo... skutkiem braku pieniędzy... Lecz co to znaczy? Nie majątek nadaje szlachectwo. Gdyby je kupić było można, iluż znam ludzi, którzyby zań wszystko oddali!... A ponieważ weszlśmy na temat tego nędznego krusz-

cu, jak go nazywają poeci, pomówmy o cyfrze wynagrodzenia, jakie pozwolisz mi sobie ofiarować.

— Ależ to niepotrzebne...

— Jakto niepotrzebne?—zapytał pan d'Auberive.

— Bo jakakolwiekby była ta suma, wiem naprzód, iż przewyższy ona wszelkie moje oczekiwania... — rzekł Robert.

— Powiedz mi...—ciągnął starzec dalej, jak gdyby nie słysząc słów mówiącego—powiedz otwarcie, czyli stałą pensję wynoszącą dwanaście tysięcy franków, uważać będziesz za dostateczną dla siebie?

— Ach! to za wiele!

— Prócz tego, dwa od sta, z dochodów moich posiadłości w Maine i Anjou, które mi przynoszą dwieście tysięcy liwrów rocznej renty. Dochody te powiększysz, jestem tego pewny.

— Lecz, panie...

— Ani słował... Skończone... — przerwał pan d'Auberive.—Otwórz tę szufladę... proszę cię... i wyjm z niej sześć biletów bankowych po tysiąc franków każdy.

— Oto są... Gdzież je mam położyć?

— Schowaj je do swojej kieszeni... jest to zaliczka na rok przyszły.

— Nie, panie... nie! Togo ja przyjąć nie mogę...

— Odmawiasz? Dobrze... rzucę je w ogień!...

I byłby to niebawem uczynił, czego niedopuszczony Robert, przyjął je, rzecz naturalna.

Tegoż samego jeszcze wieczora, zajął wspaniały pawilon w pałacu, z tytułem lektora i ogólnego plenipotenta pana d'Auberive.

XVI.

Co było rzeczywistością, a co fałszem w opowiadaniu Roberta, w owej historii, tak prawdopodobnej i popartej niezaprzeczonemi dowodami?

Rozwińmy krótko to zapytanie.

Młody sekretarz pana d'Auberive, jako główna osobistość, przewodnia niejako sprężyna wielkiego paryskiego dramatu, z którego wstęp przedstawiamy naszym czytelnikom, winien być dokładnie przez nich poznanym.

Pospieszamy zatem odszkuć jego przeszłość w krótkim pobieżnym zarysie.

Robert na podstawie rzeczywistych faktów wznosił całymi gmachami kłamstw i zmyśleń.

Był on w rzeczy samej synem hrabiego de Loc-Earn, poległego w bitwie pod Penissière.

Po chlubnym ukończeniu nauk w kolegium w Rennes pełnił istotnie tamże przez kilka miesięcy obowiązki korepetytora i szkolnego nadzorca, niezadługo jednak wydalonym został za pewnego rodzaju dość ważne wykroczenie przeciw rygorowi szkolnemu. Pracując następnie u notaryuszów, nie mógł się i tam utrzymać.

Różnorodne wieści, nie przynoszące zaszczytu jego charakterowi, krążyły o nim poczęły.

Po każdym wydaleniu z zajmowanego stanowiska, zmieniał miejsce pobytu, przenosząc się z miasta do miasta, gdzie w skutek chwalebnych szkolnych jego świadectw, łatwo mu było znaleźć zajęcie.

Spieszmy dodać, że wyćwiczony mistrzowsko w sztuce naśladowania najbardziej nieczytelnego pisma i fałszowania podpisów, tworzył sam sobie różne służbowe dowody, spełnione pochwałami, a ztąd nadające mu prawo przed innemi, do otrzymania miejsca.

Niedługo jednak trwało złudzenie pracodawców. Ze wsząd po krótkim czasie starano się go pozbyć jak najprędzej i przez lat kilka przenosząc się tak bezustannie, wiódną nędzną swą egzystencją.

Obdarzony z natury wysoką inteligencją, użytą nie- szczęściem przezeń na posługę niskich żądź i namiętności, jakie kiełkowały w tym człowieku od lat młodocianych, czując, iż z dniem każdym coraz mu ciężiej przebywać w dusznej atmosferze prowincjonalnej, gdzie najbardziej nawet zręczni awanturnicy nie znajdują dla siebie właściwego pola do działania, postanowił opuścić owe zakąty.

Czytając z upodobaniem „Gazetę sądową,“ śledził w niej pilnie szczegóły postępowania tych „rycerzy przemysłu,“ postanowiwszy nie tylko pójść w ich ślady, ale unikać szkopułów, o jakie najbardziej z nich zręczni potknęli się, zginawszy w tak zwanej „szóstej Izbie.“

Marzył on o wielkiej scenie wśród świata, godnej siebie, a tym wielkim dla niego teatrem mógł być jedynie Paryż. Chciał jednak przedstawić się tam świetnie, olśnić głupich za pierwszym ukazaniem się, wiedząc dobrze, że tylko tym sposobem wstęp do dalszego rozwinięcia swych planów mógł sobie utrować.

Myśl o przybyciu do Paryża jak nędzarz, źle ubranym, bez grosza w kieszeni, w powykrzywianem obuwiu, wstrętem go napawała.

Na to wszystko potrzeba było pieniędzy, i to pokaźnej sumy, a nie kilku luidorów, zabranych z kasy pryncypała.

Zkąd wziąć tę sumę?... Gdzie ją odnaleźć bez narażenia się na niebezpieczeństwo schwymania przy spełnionem przekroczeniu?

Okoliczności przysły mu z pomocą.

Pewne, nader ważne dowody, zachowane w tece notariusza, u którego Robert pracował, mogły rozciąć węzeł nader zawilego procesu. Powyższe papiery, przedstawione na

posiedzeniu sądowem, stanowiły o przyznaniu jednej ze stron procesujących się milionowego majątku.

Jeden ze skarżących był uczciwym człowiekiem, drugi, roszczący najniesłuszniej prawa do pomienionej fortuny, znany był z niezbyt skrupulatnego sumienia.

Do niego to Robert udał się pewnego wieczora.

— Jestem pomocnikiem pana Duval, notaryusza w tem mieście—rzekł wchodząc.—Przykro mi, iż przybywam ze smutną wiadomością, obowiązek wszelako nakazuje mi uprzedzić pana, że pańskie pretensye w wiadomym procesie nie mają żadnych widoków powodzenia. Przegrasz go pan nieodwołalnie, a to jedynie z przyczyny istniejącego pokwitowania, wydane-go niegdyś przez pańskiego ojca, a przekonywającego, że odebrał on tę sumę, o którą pan się ponownie upomina.

— Fałsz! — zawołał pierwszy, nie bez pewnej jednak widocznej obawy—kwit, o którym pan mówisz, istnieć nie może.. nigdy on nie był wydany!

— Upewniam, że się pan mylisz.. Owo pokwitowanie istnieje.. mam je w swem ręku i przyszedłem tu umyślnie, aby zapytać, ile pan za nie ofiarować mi możesz?

— Tysiąc talarów...

— Żegnam... — odparł Loc-Earn, zwracając się do drzwi.

— Zaczekajże pan, do czarta!—zawołał pierwszy—czemu się tak spieszysz? Porozumieć się możemy... Ileż zań żądasz ostatecznie?

— Dwadzieścia tysięcy franków.

— To za wiele... za wiele...

— Żegnam pana...—powtórzył Robert, kładąc rękę na kłamce.

— Jedno słowo...

— To nadaremne... Cyfra, oznaczona przezemnie, wydaje się panu za wielką. Zatem odchodzę... Nie nawykłem się targować.

— Pozostać proszę...

— Zgadzasz się pan więc?

— Zgadzam... Kiedyż mi pan dostarczysz to pokwitowanie?

— Skoro pieniądze mi wyliczonemi zostaną. Masz pan u siebie tę sumę?

— Mam.

— Proszę więc o nią... Kwit mam w kieszeni.

W parę minut później nastąpiła wymiana drogoceńnego dowodu za dwadzieścia biletów bankowych.

— Zważ pan i na to—rzekł Robert, wsuwając pieniądze paczkę do kieszeni—że nie krępuję pana tajemnicą. Odpowiedzialni oba zarówno jesteśmy i pewni siebie, co rzadko się zdarza!

We dwa dni potem, w chwili oddawania papierów adwokatowi, broniącemu sprawy, pan Duval spostrzegł z przerażeniem brak owego tak ważnego dokumentu. Zaginąć on nie mógł... a za tem został skradzionym. Przez kogo jednak... przez kogo?

Po najstaranniejszem a bezskutecznem poszukiwaniu, notaryusz, mając wszystkich w podejrzeniu, wydalil swój cały personel, pozostawiwszy tylko jednego, od dawna już pracującego u siebie pomocnika.

Zadowolony z rozwiązania, jakiego pragnął, Robert wyjechał do Paryża; przewidując wszelako, iż może tam zostać śledzonym, porzucił swe dawne prawdziwe nazwisko, a przybrał pseudonim de Saulnier, zniknął wśród tłumów.

Po upływie kilku miesięcy, gdy sądził, iż niebezpieczeństwo minęło, wy dobył się z cienia i rzucił się zapamiętale w zgiełk rozkoszy i łotrostw, okrytych wielkoświatowemi pozorami.

Nie chcemy opowiadać szczegółowo zręcznej Odyssei tego awanturnika, zajmującego pierwsze miejsce pośród najniższych warstw ludności Paryża, tego przyjaciela „rycerzy przemysłu“ z owej epoki, przebywającego między przedstawicielami występku i zbrodni, w knajpach najbardziej brudnych, podej-

rzanych, gdzie się spotyka takich Sariolów i gdzie pośród tego plugawego otoczenia wyróżniał się on swoją dystygowaną postacią i salonowem zachowaniem się.

Były chwile, w których u Roberta złoto brzęczało w kieszeniach, jak również takie, w których zostawały one często kroć przerażająco pustemi. Mimo to wszystko kierował zręcznie swą barką wśród drogi życia, i starał się w dobrych stosunkach zostawać z policją.

Rzecz nie do uwierzenia, iż ów bandyta nie był ni razu, przez nią zapytywanym o jakiegokolwiek bądź legitymacyjne papiery. Zatluszczone ławki poprawczego sądu nie znały go wcale.

Nadeszła wszak chwila, w której zmienił się ów los pomyślny. Wmieszany w haniebną sprawę oszustwa i szantażu wynalazł wprawdzie sposób wymknienia się mającym go przyaresztować agentom, mimo to jednak został zaocznie skazanym pod przybranem swoim nazwiskiem, na trzy lata więzienia.

— Ha! bruk Paryża staje się niebezpiecznym dla Roberta Saulnier—rzekł. Trzeba ażeby w jego miejsce hrabia de Loc-Earn ukazał się co rychlej, trzeba ażeby wszedł w koła wyższego świata, a nadewszystko, ażeby się oparł na jakimś punkcie silnym i trwałym!.

Podobny rezultat w jego położeniu mógł się jedynie dać osiągnąć za pomocą wielkich wysiłków.

Począł więc szperać w swej bujnej wyobraźni, która mu wskazywała odnalezienie jakich nowych zręcznych, a śmiałych planów, pozwalających korzystnie wyzyskać czyste, chwalebne ojcowskie nazwisko, które było dlań obecnie jedyną deską zbawienia.

Przyszła mu myśl przeszukania w dziennikach spisu szlachty, wmięszanej w ostatnie niegdyś zamieszki w Wandei. Odczytywał ze szczególną uwagą to wszystko, co odnosiło się do bitwy pod Penissière, gdzie jego ojciec śmierć znalazł.

W następstwie tego, całe dnie i tygodnie przepędzał w wielkiej czytelni Palais-Royal, jaka być może dotąd istnieje

je, zawierającej niezrównane zbiory dzienników i broszur z owej epoki, z których czerpał, zbierał i notował bezprze-stannie.

W chwili, gdy nazwisko pana d'Auberive wpadło mu po raz pierwszy przed oczy, drgnął pomimowolnie, jakies odlegle, niewyraźne wspomnienie zabłysło w jego pamięci. Przypomi-nał sobie, że nazwisko d'Auberive słyszał niejednokrotnie wymawianem w dziecięcych chwilach swego życia, i że nosząca je osobistość była nie tylko towarzyszem broni, lecz przyjacie-lem hrabiego Loc-Earn.

Pamięć, uparcie badana, stała się posłuszną nareszcie. Mgły się rozpierzchły, powątpiewanie zmieniło się w pe-wność.

Widocznie tu był ów punkt oparcia, którego odszukiwał Robert. Czy jednak pan d'Auberive żył jeszcze?

Almanach Bottin'a odpowiedział twierdząco na to zapy-tanie, załączając adres owej osobistości.

Robert począł zasięgać bliższych objaśnień.

Wszystkie okazały się być zadawalniającymi.

Bogacz, kaleka, żyjący w odosobnieniu, ów stary do-wódcą wandejski, chował gorące uwielbienie dla dawnych swych wspomnień. Zresztą nie zapomina się łatwo o towa-rzyszu młodości, człowieku złączonym z sobą uczuciem szcze-rej przyjaźni, którego się widziało ginącego przy swoim boku od zabójczej kuli.

Przybyć do pana d'Auberive i zostać przezeń przyję-tym, nie było rzeczą trudną dla noszącego nazwisko Loc-Earn, częste wszelako podejścia i zdrady, jakich starcy w ciągu swo-jego życia stają się ofiarami, podejrzliwymi ich czynią.

W jaki więc sposób zyskać od razu zaufanie tego czło-wieka? Jak nim zawładnąć, otoczyć go niewidzialną siecią, a tak zarzuconą zręcznie, aby najmniejszy cień powątpiewania nie naruszył jej równowagi?

Jakiegoż nieporównanie podstępnego użyć manewru, ja-

kiego arcydzieła dyplomacyi, ażeby kazać sobie wszystko ofiarować, udając pozór odmowy?

Robert począł przemyśliwać nad tem, pracował, a rezultatem tej pracy było odegranie przezeń znanej nam komedyi.

Widzieliśmy go grającego na owej scenie z talentem pierwszorzędnego aktora, owoc tej jego pracy przewyższył oczekiwania.

XVII.

Cel, do którego dążył Robert Loc-Earn, wkradając się w dom starca milionera, naprzód był jasno przez tego awanturnika nakreślonym. Chodziło mu przedewszystkiem o zdobycie zaufania pana d'Auberive.

— Młodemu, jak ja, mężczyźnie, z wyższemi aspiracyami — mówił — nie godzi się poprzestać na przywłaszczeniu jakiejś części z majątku gospodarza domu, gdy przez śmiały hazard można pochwyć miliony!

I zaczął przemyśliwać nad zręcznym zadziergnięciem intrygi, której rezultaty w razie powodzenia mogłyby zadowolnić najbardziej ambitnego człowieka.

Jedynym środkiem do tego było zaślubienie Henryki, córki pana d'Auberive, a tem samem wyłącznej dziedziczki pięciomilionowej fortuny.

— Wyjawić swoje zamiary, prosić o jej rękę, byłoby szaleństwem, powtarzał Robert, starzec za życia nigdyby na to nie zezwolił!

Ów niegdyś dowódca wandejski, kochał swą córkę nad wszystko na świecie, skoroby zatem chodziło o przyszłość tego dziewczęcia, nie udzieliłby wyroku w ważnej tyle sprawie tak lekkomyślnie, jak to uczynił, wpuszczając w swój dom hrabiego Loc-Earna.

Można niekiedy za popędem uczuć szlachetnych posunąć

ufność do zaslepienia, inna rzecz wszelako, gdy chodzi o wybór zięcia. Wywiązuje się wtedy potrzeba zbadania przeszłości tego człowieka, a wiemy, że Robert miał ważne powody do unikania wszelkich śledztw i dochodzeń w tym rodzaju. Wystarczyłby tu jeden list, wysłany przez pana d'Auberive do którego z podpisanych na owych szumnobrzmiących świadectwach, ażeby prawda zabłysła.

Czekać więc było potrzeba.

Stan zdrowia starca wskazywał, że żyć on długo nie może. Paraliż czynił postępy z dnia na dzień i lada chwila spodziewać się należało nagłej katastrofy.

Robert więc uzbroidł się w roztropność i cierpliwość, te dwa potężne motory dobrze prowadzonych planów.

Postanowił przedewszystkiem rozbudzić miłość dla siebie w sercu Henryki i uczynić to małżeństwo niezbędnem o tyle, ażeby to dziewczę, zostawszy po zgonie ojca wyłączną panią swych działań, nie mogło myśleć o żadnym innym związku.

Pragnąc zasłużyć na nazwę prawdziwego dżentlemana, ów łotr niebezpieczny czytywał wiele, usiłując za pomocą lektury osiąść świadomość zwyczajów arystokratycznych świata, którego drzwi dotąd dla niego zamknięte, mogłyby się kiedyś z tryumfem przed nim otworzyć.

Umiał prawie na pamięć dzieło „Czarny i Czerwony“ i przyznawał z zarożumieniem, iż jest równie pięknym jak ów bohater romansu Stendhala, oraz że panna d'Auberive, dziewczę o prostem, czystem sercu, żyjące w odosobnieniu, pozbawione wszelkich rozrywek, stanie się łatwiejszą dlań zdobyczą do uwiedzenia, po nad inne, rzucone w zgłęb światła, otoczone pochlebstwami.

Z chwilą zamieszkania w pałacu zaczął studyować, badać Henrykę, a dostrzegłszy w niej jakiś rodzaj smętnej zadumy, przyrzekł sobie wysledzić przyczynę.

Za pomocą bezustannego podglądania, przekonał się, że lampa w pokoju Henryki płonie przez całe noce, prawie aż do świtu.

Co mogło robić to dziewczę w tak długie, późne godziny?

Badając i śledząc dalej, odnalazł tajemnicę.

Była nią szafa z książkami w bibliotecznej sali.

Podważywszy drzwi tej szafy, zaczął przeglądać książki i stwierdził z radością, że zawierały one najszkodliwiej demoralizujące romanse, pochłaniane chętnie przez Henrykę, a tem samem pracujące dla niego lepiej nad wszelkie inne podstępne działania.

Owa zabójcza, trująca literatura mogła podniecić w rzeczy samej romansową wyobraźnię, właściwą wszystkim córkom Ewy i rozwinać namiętność w dziewczęciu, podczas, gdy rówieśnice w jej latach nie wiedzą nawet o istnieniu jakich namiętności.

Poparty ową pewnością, Loc-Earn osnuł plan i rozpoczął ogień rotowy, z najwyższą jednak przezornością kryjąc jednocześnie baterye.

Wiemy, iż posiadał pierwszorzędnny talent aktorski.

Obecnie przeszedł sam siebie, grając z niedoścignionym artyzmem, z nieporównaną naturalnością, z godnem podziwu stopniowaniem uczuć i smutków rolę człowieka szalenie zakochanego, usiłującego ukryć swą miłość, a pozwalającego jej wybuchać na krótko niekiedy, jak gdyby wbrew własnej wiedzy i woli.

Po półrocznych takich manewrach, Henryka, podniecana bezustannem czytaniem owych książek, na zabój się rozkochała w ojcowskim sekretarzu.

Błądła i czerwieniała na przemiany, skoro wszedł Robert, a gdy mówił do niej, czuła, jak każdy wyraz wygłoszony jego dźwięcznym głosem, odbijał się w jej sercu, jakby najmiłsza harmonia.

Robert oddany całkowicie „swojej roli“, udawał głęboką melancholię i roztargnienie.

Dnia pewnego, w obec dziewczęcia, oznajmił panu d'Auberive, wśród mnóstwa omijań i dających do myślenia półsłó-

wek, iż powziął zamiar opuszczenia Paryża i Francyi, że wraca do dawniejszego projektu udania się do Australii dla zdobycia majątku.

Henryka, siedząc obok ojca, który nie mógł jej widzieć, zbladła jak posąg i omal nie zemdląła.

Widocznie skoro Robert myślał o podróży, nie kochał jej wcale.

— Wyjeżdżasz?—zawołał starzec z bolesnym zdumieniem—chcesz mnie opuścić?... Nie czujesz się więc być pośród nas szczęśliwym? Może ci kto przykrość tu sprawia?

— Byłbym niewdzięcznym — odrzekł Loc-Earn — gdybym nie ocenił należycie świadczonych mi przez pana dobrodziejstw, na jakie niezasłużyłem. Wszyscy za pańskim przykładem, są w jego domu dla mnie najprzychylniejszymi. Winiem być szczęśliwym... czuję to dobrze... ale widocznie nie jestem stworzonym do cichego spokojnego życia... Potrzebuję ruchu, zgiełku i niebezpieczeństw... Dla tego to odjechać mi wypadnie, pomimo głębokiego smutku, jaki mi sprawi to rozłączenie. Wyjadę z sercem złamanem, ale posłuszny niepokonanej konieczności.

— A ja?... czyż pomyślałeś, co się zemną stanie natenczas?—wyszeptał pan d'Auberive.—Czyż sądzisz, że mi ła-two teraz bez ciebie obyć się przyjdzie? Że w moim wieku można tak lekko bez narażenia zdrowia i życia zrywać zwią-ski przyjaźni, które jedyny powab stanowią dla starca, bli-skiego grobu? Stałeś mi się niezbędnym potrzebny. Ludzie w sędziwym wieku bywają samolubami; to prawda, przyzna-ję, starość wszelako służy im za usprawiedliwienie w tym ra-zie. Młodym przeto, mającym jak ty szlachetne serca, należy dać dowód zapomnienia o sobie... Poświęć się dla mnie... proszę cię... Nie skracaj wyjazdem tej małej liczby dni, jakie do życia mi pozostają... Uczynisz to, Robercie, wszak prawda? Zaniechasz owej podróży... przyrzecz mi... nieodmów!...

Loc-Earn, ująwszy rękę pana d'Auberive, uściskał ją w swojej, z oznaką głębokiego poszanowania.

— Będę posłusznym... — rzekł z widocznym wzruszeniem.— Będę się starał nim być... Jeżeli ta ofiara nie przewyższy sił moich, spełnię ją... przyrzekam.

I wyszedł z pokoju, a Henryka dostrzegłszy, jak przyłożył chustkę do oczów, widocznie, pomyślała, aby obetrzeć, lub ukryć łzy pod nią.

W godzinę później służący pobiegli za sprowadzeniem doktora. Gwałtowne wzruszenie spowodowało u pana d'Auberive atak mózgowy, który szczęściem przytłumiony w porę, nie wywołał złych następstw.

Nazajutrz Henryka znalazła nad kominkiem w swoim pokoju list bez adresu.

Drżącą ręką rozdarła kopertę, a domysłając się od kogo pochodził, w pół nieprzytomna ze wzruszenia i trwogi, z palającą głową, dziwnym szumem w uszach, czytała:

„Czyś pani odgadła... czyś zrozumiała?..

„Sądziś może, że jestem niewdzięcznym, albo szalonym? Szalonym... tak... to prawdopodobne... lecz nigdy niewdzięcznym!

„Jeżeli chciałem odjechać, to dla tego, że cię kocham... tak! kocham do utraty zmysłów!

„Pragnąłem się oddalić, a opuszczając ten dom błogosławiony, unieść wraz z sobą moją tajemnicę. Powinienem był wytrwać w powziętem postanowieniu. Prośby pana d'Auberive odjęły mi odwagę. Dowiedz się pani zatem o całej prawdzie. Ty teraz... ty tylko rozstrzygniesz o moim losie, jaki składam w twe ręce.

„Jeżeli wyznanie mojej dla ciebie miłości, mimo że niczego tu dla siebie spodziewać się nie mogę, wywoła twój gniew, albo urazę, wystarczy jeden wyraz, jeden twój gest, pani, bym to zrozumiał.

„Za chwilę później już mnie tu nie będzie, uniknę pożegnania, by niem nie zasmucać tego czcigodnego starca. Oskarżać on będzie mnie może, on, tak szlachetny i wielki, o nie-

wdzięczność za wyświadczone dobrodziejstwa... oskarżać o niekzemne odepchnięcie ręki, jaką mi podał tak wspaniało-myślnie...

„Nie chciej bronić mnie pani, proszę cię o to, do czego bowiem posłużyłoby mogła ta obrona? Wystarczy mi własne twoje przekonanie, wystarczy pewność, iż nie uznajesz mnie być winnym.

„Czy mam pozostać... czy jechać? odpowiedz!...“

.
.

Po kilkakroć razy Henryka odczytywała ów list, nadzwyczaj zwięźle skreślony; list, obok którego najgorętsze wyznania miłości w „Nowej Heloizie,“ wydawały się jej blade, bez znaczenia słowami. Powtarzała półgłosem każdy wiersz, każdy wyraz, każdą sylabę i odnajdowała w nich jak gdyby akordy jakiejś niebiańskiej muzyki, podobnej chórowi cherubinów.

— Kocha mnie... kocha!—powtarzała rozpromieniona.— Nie omyliłam się... Jest to więc prawdą... Robert mnie kocha...

Długi czas ubiegł zanim zdołała się uspokoić. Wreszcie gorączkowe to wzruszenie minęło. Twarz, omyta zimną wodą, przybrała zwykłą matową błądź, na której przed chwilą silnie pałały rumieńce. Przygasł blask jej spojrzenia.

Wyszła z pokoju chwiejnym krokiem i zeszedłszy ze schodów, zwróciła się w stronę ojcowskiego gabinetu.

W salonie, poprzedzającym ów pokój, spotkała Roberta. Przechodził on właśnie i złożywszy jej ukłon, chciał ją wyminać w milczeniu.

Henryka zatrzymała się, a przyciskając ręką silnie bijące serce, wyszepnęła z cicha:

— Zostań, pan!..

— Pozostaną...— rzekł krótko Loc-Earn, pochylając czoło z pokłonem, i wyszedł z salonu.

Zostawszy samą, panna d'Auberive padła chwiejąca się na pobliskie krzesło. Znalazła siłę na wymówienie tych paru wyrazów, obecnie przestraszała ją jej decyzja, utrzymać się jednak na nogach nie była w stanie.

— Biedna dziewczyna... — mówił Robert z uśmiechem Mefista, wchodząc do swego mieszkania. — Drżała jak liść, pełna trwogi i obawy. Teraz jest moja!

XVIII.

Apartament panny d'Auberive, położony na pierwszym piętrze korpusu pałacowego, składał się z przedpokoju, małego salonu, sypialni i obszernego gabinetu, w rodzaju garderoby, do której prowadziły boczne wschody, mające łączność z mieszkaniem Urszuli, starej pokojówki, będącej na usługach dziewczęcia.

Sypialnia Henryki z wykwintnym gustem i bogactwem była przybraną.

Dębowe rzeźbienia ścian, wykonane przez słynnych artystów ośmnastego stulecia, ozdobione były czterema arcydziełami.

Głowa Madonny Guido Rénie'go, krajobraz Claude Lorrain'a, scena wewnętrzna Greuze'go i pastel Rosalb'y, jaśniały w wgłębieniach.

Blado-żółtawe firanki z chińskiego atlasu, haftowane w przeróżne fantastyczne ptaki, motyle i kwiaty barwiste, przysłaniały białe łóżko i zwieszały się nad oknami.

Fotele medalionowe i mała kanapka w stylu Ludwika XVI-go, biała tak jak i łóżko, pokryte były jedwabnym blado-błękitnym adamaszkiem, na tle którego haft ręczny przedstawiał niektóre sceny z bajek La Fontaina.

Na pułeczce po nad kominkiem, udrapowanej atlasem,

takim jak franki, stał zegar ze złoceniem i rzeźbami z tej samej epoki, jak reszta umeblowania.

Cztery figurki, allegorycznie ugrupowane w około miniaturowej świątyni, uosabiały cztery pory roku: wiosnę, lato, jesień i zimę.

Dziecię, umieszczone na szczycie zegara, a pochylone ku cyferblatowi, końcem płonącej pochodni wskazywało godzinę.

Wielki kobierzec, zasypany bukietami bzu, niezapominajek i bławatków, pokrywał posadzkę.

Pewnego wieczora, w pół roku blisko po wprowadzeniu się Loc-Earna do pałacu pana d'Auberive, Henryka około dziesiątej, jak zwykle, wyszedłszy od ojca, wróciła do swego mieszkania.

Zmieniwszy ubranie, poleciła odejść Urszuli.

Na błękitny jedwabny penioar rozpuściła sploty swych jasnoblonde włosów i usiadła naprzeciw płonącego na kominku ogniska, z oczyma w płomień utkwionemi, rękoma wspartemi na kolanach, zatopiona w głębokiem dumaniu.

O spoczynku nie myślała wcale.

Z chwilą, gdy zawładnęło nią owe nowe, potężne uczucie, nie odwiedzała już bibliotecznej sali. Na co bowiem karmić się książkowemi urojeniami, napawać fantastycznemi obrazami miłości, gdy jej urzeczywistnienie miała przed sobą?

Wolała w owych samotnych godzinach przeziierać karty własnego romansu, ukrytego w głębi serca.

Dumając tak przez czas długi wśród ciszy, dziewczyna nagle zadrżała, podniosła głowę i zwróciła wzrok ku drzwiom. Jakiś szmer lekki dobiegł ją z pobliza.

Ów szmer dał się słyszeć od strony garderoby, do której drzwi były uchylone. Zdawało się, jak gdyby ktoś z lekka otwierał szafę, napełnioną sukniemi.

— Czy to ty, Urszulo?—zapytała, sądząc, że pokojówka wróciła.

Żadnej odpowiedzi na to zapytanie nie nastąpiło.

1893

1307

— Przywidzenie... widocznie!—rzekła sama do siebie; i pogrążyła się w dumaniu.

Po upływie kilku minut tenże sam szelest dał się słyszeć, lecz znacznie wyraźniej.

Nie ulegało wątpliwości. Coś niezwykłego działo się w gabinecie.

Panna d'Auberive zerwała się zatrwożona, wołając:

— Kto tam?—odpowiedzieć proszę!.

I, jednocześnie zbliżywszy się do kominka, pochwyciła za sznur od dzwonka, aby obudzić pokojówkę i przywołać ją co rychlej.

Za nim to zdołała uczynić we drzwiach od garderoby ukazał się Robert Loc-Earn, a nakazując gestem błagalnym milczenie dziewczęciu, wyszepnął z cicha:

— To ja, pani... Na imię nieba nieprzywołuj nikogo!

— Pan?—powtórzyła Henryka, cofając się zdumiona; pan... w moim pokoju, podczas nocy?

— Zkąd... w jakim celu pan tutaj przychodzisz?

Gdyby jej przyszło w porę zastanowienie się, nie wygłaszała by była owych banalnych wyrazów.

Obecność młodego człowieka o północy, w mieszkaniu kochanej przezeń kobiety, dawała odpowiedź na to zapytanie.

Bywają jednak w naszym życiu chwile, gdzie rozważa i przytomność umysłu działać przestają.

Widząc się samą o tak późnej godzinie w obec tego którego kochała, o którym na kilka minut przed tem marzyła, nieroztropne a romansowe to dziewczę stało się nagle dzieckiem trwożliwym, zmieszanem.

— Henryko... wyszepnął Robert, po raz pierwszy używając tego imienia w rozmowie z panną d'Auberive; Henryko... wiesz ile cię kocham...

Wszak upoważniłaś mnie ku temu. Rozkazując mi zaniechać projektu podróży, pozwoliłaś tem samem wierzyć w twą miłość!.

— Tak... odpowiedziało dziewczę, zakrywając rękoma twarz, zarumienioną tem wyznaniem. Niepozwalałam jednak mówić panu o tem... Zabraniam najmocniej powtarzania mi podobnych rzeczy, i jeszcze wśród nocy... tu... w moim pokoju... do którego wkradłeś się przez jakiś podstęp niewytłomaczony... niegodny ciebie, i mnie ubliżający zarazem!

— Potrzebuję z tobą pomówić nieodwołalnie, rzekł Loc-Earn, a gdybyś mnie wysłuchać nie zechciała, biedne me serce pęknie pod nadmiarem boleści.

— Wysłuchać jestem gotową... odpowiedziała, lecz jutro... nie teraz.

— Czemu nie teraz?

— Dziwna... jak możesz pytać mnie oto... Twoja obecność, wszak sądzę dobrze pan wiedzieć powinieś, jest dla mnie zniewagą!

— Ach! ukochana... podobne słowo jak boli, jak rani, jak ono jest niesprawiedliwem! Czyż się znieważa kiedykolwiek uwielbianą istotę? A ja czczę ciebie... uwielbiam! Ów pokój jest dla mnie świątynią, w której pragnę przykleknąć dla głębszego uczczenia mojego bóstwa!

— Milcz pan... i oddal się proszę!

— Radbym być posłusznym, lecz brak mi ku temu odwagi...

— Boże... mój Boże!... wołała Henryka, chcesz mnie więc skompromitować, chcesz mnie zgubić?

— W jaki sposób? Nikt nie wie o mojej tu obecności. Urszula śpi... wszyscy służący udali się również na spoczynek.

— Co to znaczy... Własne sumienie, godność na osobista, niepozwalają mi słuchać cię tu... wśród nocy. Jutro, przyrzekam... jutro pomówię z tobą, panie Robercie.

— Jutro, jak dzisiaj, jak wczoraj, nie nadarzy się już więcej taka sposobność pomówienia z tobą sam na sam!...

— Ja ją wytworzę gdy będzie trzeba; odrzekła panna d'Auberive. Lecz oddal się pan... odejdz natychmiast... ja chcę!.. żądam tego!

— Wypędzasz mnie więc!.. zawołał Loc-Earn z gestem rozpaczny. Ach! o ileż lepszym byłoby, o ile mniej okrutnym, gdybym skoro złożył me serce u stóp twoich, gdy mój los oddał w twe ręce, gdy napisał: „*Czy mam pozostać czy odjechać?*“ gdybyś była odpowiedziała: „*Wyjeżdżaj.*“ Byłbym cierpiał bezwątpienia, tak... o wiele więcej, mniej jednak, niż cierpię w tej chwili. Jeśli mnie pozostawiasz mojemu przeznaczeniu, nie wypędzaj mnie przynajmniej!

To mówiąc przyłożył rękę do oczu jak gdyby dla otarcia łzy, która wcale się nie ukazała.

— Mylnie pan sądzisz... nie mam zamiaru sprawiać ci przykrości,—odpowiedziała Henryka,—jeśli to czynię, czynię zmuszona koniecznością wbrew może własnej chęci i woli. Wszak pan sam widzisz, że się lękam... drzę cała!

— Lękasz się... mnie? powtórzył Robert z oddźwiękiem goryczy. Wątpisz więc o moim dla ciebie szacunku... o mej uczciwości... honorze?.. Ach to cios ostatni... lecz za zbyt srogi! Wszystko więc pomiędzy nami skończone!.. Żegnaj panią... żegnaj na zawsze!.. To mówiąc, złożył ukłon pannie d'Auberive i zwrócił się ku drzwiom.

Silne postanowienie widniało na obliczu tego nikczemnego komedjanta.

— Dokąd pan idziesz?.. Co zamýślasz uczynić?.. pytała Henryka jak pół obłąkana z trwogi i zmieszania.

— Wszak pani wiesz dobrze...

— Opuszczasz nasz pałac?

— Tak... i rozstaję się z życiem!..

Na tę odpowiedź, wywołującą dziś śmiech nawet w melodramatach, biedne to dziewczę zaledwie siłą woli powstrzymać zdołało okrzyk przerażenia wybiegły jej na usta.

— Samobójstwo!.. wyjąknęła; chcesz umrzeć?!

— Tak... odparł Robert, bo i cóż robiłbym teraz na świe-

cie, gdy ta, którą kocham nad wszystko obrzuca mnie pogardą!

— Ja... obrzucam pana pogardą? szepnęło wśród łkania nieszczęśliwe dziewczę. Lecz czyż ja powiedziałam, że panem pogardzam?

— Więcej, niż powiedziałaś mi, pani, dowiodłaś mi tego. Pogarda kobiety którą się kocha... o! to zbyt wiele... to zabija!

— Cóż mam uczynić, ażeby przekonać pana, żeś mnie niezrozumiał... ażeby dowieść że cię szanuję, poważam...

— Trzeba,—odparł nikczemnik,—dowieść, że pokładasz we mnie to zaufanie, jakie mi przed chwilą odebrałaś. Trzeba zbliżyć się ku mnie, podać mi obie rączki, spojrzeć na mnie z uśmiechem, i wysłuchać bez obawy słów moich. Lecz tego nie uczynisz, pani... Wytrwasz w swoim, postanowieniu, porzucisz mnie na pastwę losu!.. Niepozostaje mi nic przeto jak cię pożegnać na wieki!

— Zostań!.. zawołała żywo panna d'Auberive; usiądź tu przy mnie... oto moja ręka. Mów... Ufam ci w zupełności.

— Dzięki! ukochana... zawołał z uśmiechem szatańskiego zadowolenia, obejmując ją w objęcia i okrywając pocałunkami. Jesteś aniołem... Po raz drugi wracasz mi życie!

XIX.

Od owego wieczoru Henryka zmieniła się do niepoznania. Głęboki, niepokonany smutek opanował tę młodą nieszczęśliwą istotę. Przypominała sobie owe sceny miłosne, tak barwnie i żywo przedstawiane w odczytywanych przez nią nocami romansach, porównywała je z własnymi wspomnieniami, wywołującemi u niej obecnie wstręt i zniechęcenie do życia.

Wszystkie jej młodociane złudzenia, jak liście z drzewa,

wstrząsanego burzą, opadały, zaścielając grunt w około niej smutnemi zwiędłemi barwami.

Nazajutrz po owym wieczorze, w którym Loc-Earn przestąpił próg jej pokoju, Henryka, wszedłszy do ojcowskiego gabinetu, podała ojcu czoło do pocałunku drżąca, pobladła.

Zdawało się jej, iż na tem czole starzec dopatrzy zbrukanie i że w miejscu słów tkliwej pieśczoły, rzuci na występłą córkę przekleństwo.

— Nie, dłużej nam tak żyć niepodobna... mówiła znalazłszy się sam na sam z Robertem. Błąd, jaki popełniłam, obciąża nas oboje... Dla mnie samej jest on zbyt wielkim ciężarem. Przygniata mnie ta atmosfera ukrywania, kłamstwa, i obłudy. Raz skończyć z tem trzeba!

— Skończyć... w jaki sposób? pytał obojętnie.

— Miejmy odwagę rzucić się razem do kolan mojego ojca, i jeżeli nie wszystko mu wyznać, to powiedziec przynajmniej że się kochamy. On jest dobrym... pełen ojcowskiego do mnie przywiązania... wybaczy nam... a co więcej zezwoli na nasze małżeństwo. Zostanę twą żoną, Robercie; kapłan, połączwszy nasze ręce w obec Boga pełnego miłosierdzia, uprawni mą miłość dla ciebie... Kochać cię będę mogła bez zarumienienia. Uczynimy to, nieprawdaż?—Zrobimy wkrótce... dziś... zaraz... nieodkładając.

— Nie! odrzekł Loc-Earn, nie uczynimy tego!..

— Jakto, odmawiasz wraz zemną błagania o przebaczenie mojego ojca? wyszepnęła z żalem Henryka.

— Odmawiam, ponieważ konieczność tak każe.

— Dla czego, z jakiej przyczyny?

— Z przyczyny, iż ty jesteś bogatą, a ja ubogim.

— Jakąż przeszkodę stanowić to może?

— Staje przeszkodą w obec mojego honoru, którego pan d'Auberive nie dostrzegłszy w mojej dla ciebie miłości, posądzić mnie gotów o jakieś nikczemne wyrachowanie, o jakąś niską i podłą spekulację z mej strony. Bo i czemuż w istocie tu jestem pod dachem twojego ojca? Przyjacielem?.. być

może... lecz jednocześnie sekretarzem, jego podwładnym, rozdajem usługi, obdarzonego zaufaniem któremu powierzono do spełnienia obowiązków. Wszelkie pozory mogłyby nasunąć myśl twemu ojcu, że nadużył owego zaufania, a uwiódłszy kilka miljonową spadkobierczynię, przychodzi następnie prosić o jej rękę. Nie! nigdy... dodał, z gestem oburzenia, ty sama wiesz dobrze o ile ubliżającą dla mnie byłaby myśl podobna. Pan d'Auberive mógłby sądzić, że dla pochwycenia pieniędzy ułożyłem plan cały. Nie mogę więc uczynić, czego żądasz.

— Nigdy nie przypuścił by on tej myśli... zawołała Henryka, tak... nigdy!..

— Przeciwnie... odparł Robert, wierzyłby w to... i miał by wszelkie prawo ku temu.

— Ależ on cię szanuje, poważa...

— Jego szacunek zmienił by się dla mnie w pogardę... a ja bym nie zniósł pogardy!... Honor, przed wszystkim honor!..

— Mówisz o swoim honorze, odpowiedziała z goryczą, a cóżes z moim uczynił?

— Twój jest zabezpieczonym, ponieważ nikt nie wie o istnieniu naszej tajemnicy.

— Powiedziałam ci, że kłamstw nie znoszę... nienawidzę!

— Milczenie nie jest kłamstwem...

— Zachowaj więc owo milczenie, jeżeli ci się podoba, ja mówić będę!

— Nawet gdybym cię błagał o zachowanie tajemnicy?

— Nawet i w takim razie!..

— A gdybym ci mówić zabronił?

— Nie usłucham.

— Czyń więc, co ci się podoba!.. zawołał gniewnie Loc-Earn, masz wolną wolę, lecz i ja mam swoją. Aby się uchronić przed tak haniebnym posądzeniem jeden sposób mi pozostaje. W chwili gdy pan d'Auberive dowie się, że jest two-

im kochankiem, rozsadzę sobie czaszkę wystrzałem z rewolweru. W obec mojego trupa zmuszonym będzie przyznać, iż cię prawdziwie kochałem, ciebie jedynie... a nie twój majątek, i, że jeżeli popełniłem winę, odkupuję ją zadośćuczynieniem!

Henryka pochyliła głowę w milczeniu. Uczuła się być zwyciężoną. Robert zatrzymował raz jeszcze. W obec tak wysokiego pojęcia honoru i osobistej godności, wzrastało dla niego jej uwielbienie. Mimo to od owej chwili córka pana d'Auberive starała się unikać Loc-Earn'a zamykając się przed nim starannie w swoim pokoju.

Mało to obchodziło tego nędznika.

Osiągnął cel zamierzony, uniemożliwiając małżeństwo Henryki z kimkolwiek bądź innym.

Obecnie wypadało mu czekać eierpliwie na bliską śmierć starca. W chwilę po owym zgonie, nakaże on milczenie swym honorowym skrupułem i zostanie szczęśliwym małżonkiem miljonerki, o co mu głównie chodziło,

W kilka miesięcy po wyż opisanej scenie, Henryka, unikająca dotąd spotkania się z Robertem, zbliżyła się doń, gdy przechodził przez salon, wracając od pana d'Auberive, i wyszepnęła z cicha:

— Przyjdź do mnie dziś wieczorem, potrzebuję widzieć się z tobą.

— Przyjdę... rzekł Loc-Earn.

— Co to jest!.. dla czego ona mnie wzywa? zapytywał sam siebie, patrząc za odchodzącą. Ma to być jakiś kaprys, czy nowe z jej strony żądanie prześlągania ojca? Ha! zobaczymy. I o wskazanej godzinie udał się do niej, cicho stąpając po schodach, wysłanych kobiercem.

— Ukochana moja!.. wyszepnął wszedłszy, chciał ująć jej rękę.

Panna d'Auberive szybko ją cofnęła.

Na jej bladym, jak papier obliczu, znać było łez ślady, zaczerwienione i nabrzękle powieki świadczyły o płaczu nieszczęśliwej.

— Jesteś cierpiącą pytał Loc-Earn, spojrzawszy na nią. Co ci jest?

— Ach! ty mnie pytasz... zawołała z rozpaczą; jestem zgubioną... na wieki zgubioną!

— Nic nie rozumiem, nie wiem o co chodzi... Dla czego mówisz że jesteś zgubioną?

— Dla tego odparła ze łkaniem, że Bóg w swojej sprawiedliwości rzucił przekleństwo na naszą występłą miłość! Nie mogę nawet obecnie uciec się do owego kłamliwego milczenia, jakie mi nakazałeś i ukryć hańby, jaka wkrótce dla wszystkich wiadomą zostanie!

Nędznik zrozumiał, i zbladł. Zdawało mu się, iż otrzymał jakieś nagłe uderzenie w głowę, jeden z tych ciosów, które na kilka sekund odbierają przytomność.

Skoro odkryją jego występek, będzie wypędzonym z pod tego domostwa z piętnem zniewagi, jak się wypędza złodzieja, albo zbrodniarza.

Wiedział, że pan d'Auberive nie zawacha się ani chwili, będąc przekonany, iż nie ocaliłby honoru swej córki, oddając ją nikczemnemu przestępcy, człowiekowi bez prawa, wiary i sumienia, zdolnemu nadużyć w tak haniebnym sposobie ojcowskiego zaufania i nieświadomości dziewczęcia!

Łotr ten ujrzał nagle ruinę rozpadającą się w około siebie. Trwało to jednak krótką tylko chwilę, poczem odzyskał w prędcę zwykłą przytomność umysłu. Czyliż to położenie było bez wyjścia? Czy nie można było w jakikolwiek bądź sposób na nie zaradzić, i zachować dziecię, w którym by znalazł broń przeciw Henryce w razie śmierci pana d'Auberive?

Wszystkie te myśli krzyżowały się szybko w jego mózgu jedno po drugim.

— I cóż?—zapytała przerażona milczeniem Loc-Earn'a; teraz wiesz wszystko!.. Czyż każesz mi jeszcze zachowywać tajemnicę?—Czy odważysz się mówić mi dalej o narażeniu swego honoru?.. Każesz mi milczeć dalej, grożąc że się zabijesz?..

— Zabić się... odrzekł, nie!.. teraz nie mam prawa pozba-
wiać się życia. Śmierć moja uczyniła by to dziecię sierotą...
żyć będę.

— Zatem zgadzasz się na moją propozycję prześlągnięcia
wspólnie mego ojca,—pytała Henryka,—uczyniwszy to jak
najprędzej... dodała, patrząc w Roberta z niepokojem.

— Niel teraz tem więcej nie, niż kiedykolwiek!..

— Ach! czy ja śnię?.. jęknęła, przykładając rękę do czo-
ła, czyż źle zrozumiałam?..

— Każesz mi więc milczeć... jeszcze milczeć dalej?

— Trzeba... odparł Loc-Earn... trzeba nieodwołalnie.

— Ależ dla czego?—Mów!.. mów?!

— Dla tego ażeby popelniony błąd nie stał się zbrodnią...
słyszysz mnie, Henryko, ażebyś nie była morderczynią włas-
nego ojca!

Błada, złodowaciała z przerażenia córka pana d'Aube-
rive nagle się cofnęła, jak gdyby ujrzawszy straszne widmo
przed sobą.

— Rozpocznij owo wyznanie... mówił nielitościwie ów
nędznik dalej,—za nim je ukończysz, twój ojciec, zabity temi
słowy padnie martwy u stóp twoich!

Henryka, wydawszy jęk głuchy, osunęła się bezprzy-
tomna na kobierzec.

XX.

Po odzyskaniu zmysłów, uczuła się być złamaną na du-
szy i ciele. Niezdolną była myśleć, ni wesprzeć się na wła-
snej swej woli. Po gorączkowem wzburzeniu, nastąpiło ogól-
ne u niej na wszystko zubożenie.

— Tak!—wyszepnęła, wyznanie tej hańby mogło by za-
bić mego biednego ojca... milczeć więc trzeba... Tobie to
wszystko oddaję—dodała, zwracając się do Roberta, ty mnie

zgubiłeś.. ocal mnie teraz, jeśli możebnem jest jeszcze ocalenie!..

I odtąd w niemej rezygnacyj poddała się swemu smutnemu losowi.

Inaczej było z Robertem. Umysł jego pracował bezustannie nad odszukaniem sposobu do zwyczajkiego wyjścia z tej tak zawilej sytuacji.. Trudność ta zdawała się być niedopokonania.

Przebiegły ów łotr wszelako i na to środek odnalazł.

Pan d'Auberive miał siostrę, hrabinę de Nancrey, wdowę, bezdzietną, i bardzo bogatą, starszą nieco wiekiem od siebie, a tem samem żyjącą w osamotnieniu na wsi, w okolicach Orleanu, który to majątek miała kiedyś oddziedziczyć Henryka.

Pani de Nancrey cierpiąca od lat wielu, większą część życia przepędzała w łóżku, lub na szeslongu, nieopuszczając mieszkania.

Kochała bardzo swą siostrzenicę, znając ją kiedyś dzieckiem, a następnie młodą panią z fotografii.

Henryka pisywała do ciotki niekiedy, a szczególnie w dzień nowego roku, i w dniu jej imienin.

Pani de Nancrey odpowiadała krótkim listem, kończącym się zwykle temi słowy:

„Uściskaj odemnie twojego ojca. Pragnęłabym bardzo „ucałować was i widzieć przed zgonem; czyli to jednak nastąpić będzie mogło przy mojem cierpieniu?“

Robert wykradł z pokoju Henryki jeden z takich listów, na którego szerokiej lakowej pieczęci widniał podwójny herb d'Auberive, i Nancrey'ów, a odcisnąwszy tę pieczęć na wosku, zaczął studjować pismo hrabiny.

Naśladowanie jej dużych liter, drżącą ręką kreślonych, było drobnostką dla tak wprawnego fałszerza.

Potrzeba mu teraz było trzech pomocników do ułożonego

planu, lecz potrzebował zarazem, ażeby nie wiedzieli oni o celu, do jakiego użytemi zostaną, ani o ważności tegoż.

Obmyśliwszy starannie szczegóły, przywdział pewnego wieczora swe stare zużyte ubranie, włożył zniszczony miękki kapelusz, owiązał szyję czerwoną chustką fularową, i postanowił udać się do owych knajp najniższego rzędu, w których niegdyś przebywał pod nazwiskiem Roberta Saulnier.

W roku 1850, bulwar du Temple noszący również nazwę „Bulwaru zbrodni,“ zapewne z przyczyny licznie tu popełnianych kradzieży z włamaniem, wykradania testamentów, podstawiania [dzieci, różnego rodzaju fałszerstw, podpalań, i zabójstw, wydarzających się prawie codziennie od siódmej wieczorem do północy, i przyległa doń ulica Fossès-du-Temple, były zapełnione temi podejrzanemi kawiarniami i szynkowniami, jakie policja tolerowała, by w nich w danej chwili urządzić sobie „Pułapki.“

Pośród tych jaskiń dla wszelakich hultai gdzie policyjni agenci często zarzucali siatki dla łowienia płazów w mętnej wodzie, szynk pod „Świętym kłosem“ zasłużył sobie na niezaginione wspomnienie.

Tu Robert wszedł teraz.

Sariol, siedzący za stołem, zwrócił jego uwagę.

Widział tego łotra kiedyś czynnym w pewnej podejrzanej sprawie. Wiedział, że jest on zręcznym odważnym, bez skrupułów. Trudno byłoby mu odnaleźć kogoś przydatniejszego.

Bez wachania więc podszedł, a uderzając go po ramieniu dał mu się poznać, zapłacił za obfitą wieszczę, i opowiedział, iż chodzi mu o pomoc w porwaniu kochanki, za co ofiaruje trzysta franków, jeżeli wspomniona osobistość zechce przez kilka dni trzymać pod strażą przeszkadzającą w tym zamiarze pewną starą kobietę.

Sariol, jak wiemy, przyjął tę propozycję, domyślając się wszelako jakiejś ukrytej tajemnicy, śledził mniemanego Rober-

ta Saulnier, gdy ten wyszedłszy ze wspomnianej nory poszedł za dalszem poszukiwaniem.

Zwiedził kolejno kilka podobnych zakładów przy ulicy Foseés-du-Temple, i w czwartym dopiero napotkał to, czego szukał, to jest dwóch łotrów, gotowych do wszystkiego za kilka talarów.

Pierwszy z nich nazwiskiem Limassou, miał czuwać na straży z Sariolem na przemiany.

Rola trzeciego była mniej ważną. Należało mu służyć za stangreta w dostarczonym przez Roberta powozie. Był on woźnicą fiakrowym, i nazywał się Bijou.

Zadowolony z pomyślnego ukończenia interesu Loc-Earn powrócił na ulicę Ville l'Eveque.

Zaledwie minął dziedziniec, Sariol zadzwonił do pałacowej bramy, a wszedłszy zapytał odźwiernego:

— Ow pan, który przyjechał przed chwilą powozem, kazał mi uwiadomić zamieszkałego tu swego przyjaciela, pana Christophe, ażeby tenże nie oczekiwał na niego, lecz raczej przyszedł widzieć się z nim o północy u Tortoniego.

— Pomyliłeś się, młodzieńcze,— odparł odźwierny, nie mieszka tu żaden pan Christophe.

— A jakże się nazywa ten, który tu wszedł przed chwilą?

— Jest to hrabia Loc-Earn, przyjaciel i sekretarz pana d'Auberive, właściciela pałacu.

— Hę, skoro tak... będę się pytał w sąsiednim domu, rzekł Sariol, dostałem czterdzieści sous za fatygę muszę go odnaleźć. Wybacz pan, panie odźwierny że cię trudziłem. Dobranoc.

Wyszedłszy na ulicę, łotr zatarł ręce z radością! Dowiedział się o czem chciał wiedzieć.

— Trafiłem na ślad... wyszepnął. Ha! ha! przyjacielu, Robercie Saulnier, zostałeś teraz panem hrabią!... Przysięgłbym, że chcesz uwieść bogatą dziedziczkę i pochwyć grube pieniądze... Jeżeli tak... podział na dwie równe części, przeznaczny szlacheicul...

Nazajutrz po południu, Robert, wynajawszy kabriolet, udał się drogą, przecinającą szeroką równinę Montrouge, ponnurą, pustą, z powykopywanemi głęboko dla wybierania kamieni jamami.

Na trzy kilometry przed fortyfikacjami spostrzegł ubogi domek, stojący przy drodze, od której dzielił go tylko ogródek, okolony płotem cierniowym. Stara podarta bielizna suszyła się na gałęziach śliwkowego drzewa.

Wynędziała, szczupła kobieta, mająca obok siebie brudne płaczące dziecko, zbierała szczaw w trawie zarosniętego chwastem ogrodu.

Nad drzwiami domku widniał napis na tabliczce: „Dom do sprzedania.“ Tynk u tego domu poodpadał kawałkami, połamana rynna blaszana zaledwie się trzymała u dachu. Zewsząd widniała tu nędza, zbliżanie się ku ruinie, całemi były jedynie tylko okiennice na dole przy dwóch oknach i przy trzech na pierwszym piętrze.

Nie dziwno, iż zabezpieczano się tu o ile można.

Sąsiedztwo powykopywanych dołów w kamieniołomach nie dawało tej okolicy pewnego schronienia. Robert, rozkazawszy przystanąć woźnicy, wysiadł i wszedł do ogródka, zapytując znajdującą się tam kobietę:

— Ten dom jest pani własnością?

— Tak, panie.

— Masz pani zamiar go sprzedać?

— Muszę to uczynić. Po śmierci mojego męża ja z dzieckiem niemamy żyć z czego. Gdybym znalazła nabywcę, ułożylibyśmy się o cenę.

— Ileż pani żądasz za to domostwo?

— Pięć tysięcy franków.

— W ostatnim razie czy nie wynająłabyś go, pani?

— Bardzo chętnie.

— Z umeblowaniem?

— Gdyby ktoś życzył... Wszak meble nie są nowemi.

— A natenczas ile byś pani żądała?

— Pięćset franków rocznie...

— Wynajmę zatem dom pani ze wszystkim, co się w nim teraz znajduje, nadmienając, że nie na rok, lecz tylko na dwa tygodnie. Dam pani za te dwa tygodnie całe półroczne wynagrodzenie, to jest dwieście pięćdziesiąt franków, i z góry zapłacę.

Kobieta, oszołomiona tak świetną propozycją, patrzyła na przybyłego z osłupieniem.

— Z warunkiem jednak, dodał, iż potrzebuję ażeby ten dom od jutra był mi oddanym.

— O! dziś nawet... dziś, jeśli pan zechcesz, zawołała. Na te dwa tygodnie przeniosę się do mojej siostry, w Sceaux zamieszkałej.

— Wejźmy więc do pokoju, rzekł Robert, wyliczę pieniądze, a pani mi dasz pokwitowanie.

— I klucze... dodała.

W kilka minut później, interes był ukończonym i sekretarz pana d'Auberive wracał do Paryża.

XXI.

Loc-Earn spał dobrze tej nocy. Wszystko układało się pomyślnie według jego życzenia i mógł być pewnym teraz, że ułożony plan szczęśliwie do końca przeprowadzi.

Nazajutrz udał się na bulwar Batignolles, gdzie miał wiadomą nam już z panią Angot rozmowę.

W dzień później, przywieziono do pałacu pana d'Auberive list z Orleanu, z wielką lakową pieczęcią, i wyciśniętym na niej podwójnym herbem.

— List od mojej siostry!... zawołał starzec. Otwórz kopertę Henryko i czytaj co prędzej. Zdaje mi się że jej pismo nieco się zmieniło, dodał, spoglądając, litery są regularniejsze, niż zwykle... Zły to znak...

Dziewczę wiedziało, co ów list zawierał. Zmuszoną

była stać się współniczką kłamstwa, to też niepewną ręką rozerwała kopertę, a głos jej drżał, gdy czytała, co następuje:

„Drogi mój bracie—“

„Bóg mnie przyzywa do siebie. Dni mego życia już policzone, a może nawet godziny. Pielęgnujący mnie doktor nie ukrywa tego przedemną. Nie zobaczymy się już więcej, mimo wzajemnego naszego przywiązania, gdyż tobie zarówno „jest niepodobnem przybyć do mnie, jak i mnie przyjechać do ciebie.

„W tym liście, jaki zapewne ostatni odbierzesz, kreślony „mą ręką, załączam prośbę o uczynienie pewnej ofiary z twej „strony, i mam nadzieję, że mi nie odmówisz.

„Pragnę przed zgonem widzieć i uścisnąć Henrykę. Miej „odwagę rozdzielić się z nią na czas krótki. Niech przyjeżdża „zamknąć mi powieki... Niech przyjeżdża... a niechaj się „spieszyl—Żegnaj cię drogi mój bracie a raczej „do widzenia“ tam... w górzel!

„kochająca cię siostra

„Hrabina de Nancrey.“

Pan d'Auberive słuchał czytania ze spuszczoną głową. Lewą ręką otarł dwie łzy, spływające mu na policzki i gdy Henryka skończyła wyszepnął:

— Biedna siostra!... wiedziałem... wiedziałem od dawna że jej nie zobaczę, a mimo to serce mi się ściska, gdy o niej wspomnę. Ma słuszność pisząc: „Do widzenia... tam... w górzel... ponieważ chwila jest bliską, gdzie i ja z nią się połączę!..

— Henryko... drogie me dziecko, dodał zwracając się ku córce, po raz pierwszy w życiu rozłączyć się nam z sobą przyjdzie. Jestem pewien że i ty również nie chciałaś się

sprzeciwiać ostatniej woli swej ciotki... Odjedziesz dziś wieczorem...

— Dobrze, mój ojciec... odpowiedziała.

— Twa nieobecność nie potrwa długo zapewne,—mówił dalej pan d'Auberive; pisze biedna ma siostra iż dni jej są policzone. Wystarczy ci więc zabranie nieco bielizny i ubrania. Ileż czasu potrzebowałabyś na przygotowanie zawiniątka?

— Godzina będzie dostateczną...

— Urszula towarzyszyć ci będzie. Chciałbym, aby Józef również pojechał wraz z tobą, wszak jest on mi tu potrzebnym, niemogę się obejść bez niego. Powiadom Urszulę, ażeby się przygotowała do wyjazdu.

— Dobrze, mój ojciec.

— Rezekaż jednocześnie Józefowi, ażeby prosił o przyście do mnie Roberta. Potrzebuję z nim się porozumieć względem niektórych szczegółów tego wyjazdu. Żyjąc przez lat tyle w zupełnym od świata odłączeniu nic nie wiem, co się dzieje na zewnątrz, a skutkiem mego kalectwa, w niczem dopomóż ci nie jestem w stanie.

— Poślę natychmiast Józefa, odpowiedziała córka pana d'Auberive, i wyszła z pokoju.

W kilka minut później ukazał się Loc-Earn.

— Czy wiesz, co nastąpiło? zawołał starzec, podając mu rękę.

Robert przecząco potrząsnął głową.

— Moja córka odjeżdża...

— Jakto?—zapytał sekretarz z gestem zdumienia.

— Otrzymaliśmy bardzo smutną wiadomość... Moja siostra, hrabina de Nancrey, jest umierającą. Pragnie co rychlej widzieć Henrykę... Jedzie więc, ażeby zamknąć oczy swej ciotce.

— Dziś jedzie? zapytał Robert.

— Tak... dziś, wieczorem.

— Może pan życzysz, ażebym towarzyszył jego córce?

— Właśnie chciałem cię prosić, ażebyś ją odwiózł na stację drogi żelaznej; w dalszej podróży Urszula towarzyszyć jej będzie.

— Jestem na pańskie rozkazy!

— Trzeba się starać zabezpieczyć obie kobiety od wszelkiego nieprzyjemnego towarzystwa w podróży—mówił dalej starzec. Gdyby potrzeba było wynająć oddzielny wagon, uczyn to proszę. Nic tu nie znaczy kwestya pieniężna.

— Byłby to zbyt cenny wydatek. Zarząd dróg żelaznych ustanowił przy każdym pociągu wyłączone damskie przedziały.

— Radbym wiedzieć o której wyrusza pociąg wieczorny?

— Zobaczę na drogowskizie i natychmiast pana o tem powiadomię.

Robert posiadał u siebie rozkład jazdy dróg żelaznych, wrócił z nim przeto w parę minut, i pan d'Auberive postanowił, iż Henryka wraz z pokojówką wyruszy w podróż o godzinie piątej minut dwadzieścia.

— Ponieważ dość znaczna odległość dzieli ulicę Ville-l'Eveque od stacyi—zaczął Loc-Eearn—przeto radziłbym ażeby pańska córka dla nieopóźnienia się wyjechała ztąd punktualnie o czwartej godzinie.

— Zajmij się tem wszystkiem i postaraj o wynajęcie powozu.

— W południe nie będę może panu potrzebnym—rzekł Robert; pójdę więc za odszukaniem jakiego wygodnego fiakra.

— Proszę cię o to...

W pałacowej remizie znajdowało się kilka starych karet, niegdyś okazałych, wszelako pan d'Auberive od lat dziesięciu nieopuszczając mieszkania nie trzymał do nich koni.

Większa część dnia upłynęła na przygotowaniach do podróży.

O trzy kwadranse na czwartą wszedł Robert z oznajmieniem że powóz czeka przed bramą.

Henryka, siedząc przy ojcu, rzewnie płakała. Starzec pocieszał ją z cicha tkliwemi słowy, starając się wlać w nią odwagę, lecz widząc to, sam lzy ocierał.

— Zabieraj się moje dziecię... zabieraj. Jechać potrzeba... szeptał przerywanym głosem, gdybyś pozostała tu parę minut dłużej, i mnie zabrakłoby mężstwa... jechać bym ci niepozwolił może.

— Pójdź pani... dodał Loc-Earn, pociąg nie czeka, opóźnić się możesz...

Henryka rzuciła się na szyję starca po raz ostatni, i wybiegła z pokoju, łkając rozpaczliwie. Wsiadłszy do powozu usiadła w głębi, obok niej Urszula. Robert zajął miejsce na przedniej ławeczce.

Ów powóz był to stary fiakr, dawnego fasonu, obszerny, z czerwonymi frankami, zaprzężony w dwie szkapy bretońskie.

— Dokąd mam jechać?—zapytał woźnica, pochylając się ku drzwiczkom.

— Na stacyę drogi żelaznej Orleańskiej—odrzekł Loc-Earn. Jedź szybko, dostaniesz dwadzieścia sous na piwo...

Wehikuł pomknął z miejsca, jednak starym szkapom nie dodała szybkości w nogach obietnica napiwku, widocznie bieg zwalniały.

— Szczęściem mamy dość czasu, nie spóźnimy się—rzekł Robert, patrząc na zegarek.

Po tych wyrazach zapanowało milczenie między obecnymi.

Henryka płakała, ocierając oczy bezustannie, Loc-Earn począł śledzić Urszulę. Uśmiechnął się spostrzegłszy, iż stara ta kobieta, kołysana monotonnym ruchem powozu drzemać zaczęła. Walczyła ze snem nieboga, pragnąc zachować przytomność, sen jednak pokonał jej usiłowania. Oczy bezwiednie się zamykały, głowa chwiała się z jednego ramienia na drugie, aż wreszcie zwyciężona, wsparłszy się o boczną krawędź powozu, chrapać głośno zaczęła.

Biedna kobieta mniej była winną, niż się zdawało z pozorów.

Robert, wszedłszy do jej mieszkania w południe, dał jej jakieś polecenie do spełnienia ze strony Henryki, i przez parę minut pozostał sam w obec napełnionego zupą talerza Urszuli i kieliszka wina.

Wyjaśnia nam to w zupełności ową senność niebogi.

Powóz toczył się ciągle, pozostawił jednak na lewo drogę, wiodącą do stacyi Orleańskiej, a przejechawszy prawie cały Paryż, zawrócił się ku górzystym wyniosłościom, ckałającym równinę Montrouge. Przebywszy fortyfikacye, wjechał w odkryte pola, jakie powyżej opisaliśmy.

Loc-Earn dobył natenczas z kieszeni maleńką flaszeczkę i kawałek waty, którą napuściwszy kilkoma kroplami płynu, przytknął ją do nosa Urszuli.

Kobieta natychmiast chrapać przestała, a jednocześnie woń ostra, przenikliwa, napelniła wnętrze powozu.

— Co to jest?—zawołała Henryka, wyrwana nagle z dumania. Co znaczy ta woń zabijająca?

— Chloroform... nic więcej...—odparł Loc-Earn, nie obawiaj się droga.

— Chloroform!... powtórzyła z trwogą córka pana d'Auberive, ależ to zabija!...

— Tylko czasami... potrzeba umieć go użyć.

Powóz potoczył się dalej.

XXI.

Przystanęli wreszcie przed owym małym domkiem, wynajętym przez Roberta!

— Zapuść, Henryko na twarz woalkę—rzekł do niej. Nie chcę ażeby cię tu widziano.

Zaledwie panna d'Auberive zdołała to uczynić, otwarły się drzwiczki powozu, a poza niemi ukazało się ciekawie spo-

glądające do wnętrza cyniczne oblicze Sariola. Uchyliwszy czapkę, wlepił wzrok w Henrykę, nie jednak dostrzedz nie mógł z przyczyny zapuszczonej przez nią gęstej koronkowej woalki.

— Jesteście oba?—zapytał Loc-Earn.

— Tak, odparł Sariol,—gotowi na usługi. Sądzę że ta pani... dodał wskazując na uśpioną Urszulę.

— Tak właśnie.. Trzeba ją wnieść natychmiast do domu, nie tracąc chwili.

— Fraszka... zrobimy to w okamgnieniu.

Dopomóż mi pan, jeśli łaska.

Robert z Sariolem zajęli się wydobywaniem z powozu Urszuli, czyniąc to ostrożnie, jak gdyby mieli sprawę z przenoszeniem kruchoego pakunku.

Sariol chciał sam ją przenieść, ciężar wszelako kobiety przechodził jego siły.

— Do czarta!—zawołał—ta baba ciężka jak olów! Hej?—Limassou... przybywaj na pomoc!..

Wezwany przybiegłszy pochwycił Urszulę za nogi, podczas gdy Sariol niósł ją ująwszy pod ramiona. Z owym w ten sposób podzielonym ciężarem szli przez ogródek, do mieszkania, gdzie na łóżku słomą usłanem ostrożnie ułożyli śpiącą Urszulę.

Przypominamy sobie, iż właścicielka domu mówiła do Roberta, że umeblowanie nie jest dostatkiem bynajmniej.

Składało się ono z dwóch krzeseł kulawych, drewnianego stołu, i małego zwierciadła, zawieszzonego na ścianie. Ubóstwo to odstręczało widomie od napadów na ów dom włóczków z Montrouge.

Jedno, jedyne okno w tym pokoju wychodziło nie na ogródek, ani na ulicę, lecz na puste pole, rozciągające się poza domem.

— No... a teraz rozkazuj. Co mamy robić dalej?—pytał Roberta Sariol.

— Rzecz bardzo prosta; pilnować, ażeby powierzona waszej straży osoba pod żadnym pozorem nie wychodziła ztąd,

dopóki ja sam tu nieprzybędę. Zatrzymajcie ją dobrowolnie, lub siłą, zabraniam wam jednak źle się z nią obchodzić.

— Bądź spokojnym, mój mistrzu, będziemy uprzejmymi, jak na francuzkich rycerzów przystało. Przynależne względy dla płci pięknej dobrze nam są znane, chociażby ta pleć piękna, nie była nawet piękną. Powiedz mi jednak, panie Robercie jak długo ona spać będzie?

— Cztery, lub pięć godzin mniej więcej z małą różnicą.

— Różnica ta znaczy bardzo wiele, a oto dla czego. Skoro otworzy oczy, musimy być bardzo grzecznymi, i trzymać język na wodzy, z czego rzecz prosta nie będzie ona zadowolona.

— Rzeczywiście—rzekł śmiejąc się Robert.

— Będzie chciała wiedzieć, dla czego zasnawszy w powozie, obudziła się w pokoju, pomiędzy dwoma dzielnymi chłopcami. Będzie pytała, gdzie się znajduje, jak, i dla czego dopytywać będzie co się stało z jej panną? Wygłosi całą mnogość zapytań bez początku i końca, cóż na to wszystko mamy odpowiedzieć?

— Nic.

— Będzie chciała wyjść... do czarta! pan to pojmuje?

— Nie pozwalajcie jej wychodzić.

— Poruszy całe piekło... Krzyczeń będzie jak paw.

— Nie dajcie jej krzyczeń.

— W jaki sposób zabronić?—Znalazłyby się środki do nakazania milczenia, ale nakazujesz nam grzeczność i łagodność w obejściu. Ukłonem i prośbą nic z nią nie poradzimy.

— Pozwalam wam jej zagrozić, a nawet i zatkać usta, gdyby koniecznie było tego potrzeba.

— Dobrze.

Robert wyjął z kieszeni chustkę jedwabną.

— Weź—rzekł do Sariola—gdy jej zawiążesz tą chustką usta na kilka minut, zrozumie, że jesteście od niej mocniejszymi i będzie posłuszną. Nie używajcie jednak tego środka, aż w ostateczności. Pilnujcie dobrze, a skoro jeden z was

zaśnie, niech drugi na chwilę nawet nie opuszcza uwięzionej.

— To się ma rozumieć!

— Macie zapas żywności na dni kilka, nic was nie wzywa na zewnątrz. Nie wychodzić mi z domu pod żadnym pozorem!

— Rzecz zaprzysiężona!—rzekł Sariol. Jest się uczniwym, albo się nim nie jest.

— Zresztą będę się tu dowiadywał od czasu do czasu, dla przekonania jak rzeczy idą—rzekł Robert.

— Znajdziesz nas czuwających z otwartymi oczyma i natężonym słuchem!...

— A jeśli będę z was zadowolonym, to obok zapłaconej kwoty, dostaniecie nagrodę...

Sariol podskoczył z radości, i gdy mniemany Robert Saulnier opuszczał ów domek odprowadził go aż do powozu.

— Szczęśliwej podróży—wołał—zamykając drzwiczki.

Bijou zawrócił w stronę Paryża, powóz potoczył się zwolna.

Sariol dozwolił mu pomknąć z kilkanaście kroków, następnie począł biedz z niesłychaną szybkością, a dopędziwszy fiakra, usiadł na tylnej ławeczce, umieszczonej pomiędzy dwoma resorami.

Wszystko to zabrało wiele czasu. Noc zapadała w chwili, gdy powóz wyjeżdżał z Montrouge.

Ciemność była głęboka, skoro się zatrzymał na bulwarze Batignolles przed domem Vignot'a.

Byliśmy obecnymi przy wejściu Henryki do mieszkania pani Angot. Obecnie, załatwiwszy rachunek z przeszłością, połączony się z Loc-Earne'm w chwili jego gniewu i oburzenia gdy spostrzegł, że Sariol pochwycił wszystkie tak ściśle ukrywane tajemnice i zamiary, i szepczącego z groźbą poza nim:

— Ten błazen wie nazbyt wiele... może to stać się dlań nieszczęściem!

Z temi słowy Loc-Earn zagłębił się w ciemną, błotnistą aleję.

W ową to chwilę strażnicy policyjni wynosili na noszach trupa hrabiego de Randal. Gdyby był dzień, natenczas można byłoby dostrzedz na błocie krwawe plamy.

Robert, przebywszy ciemne wschody w domu Vignot'a, zatrzymał się na przedziale pierwszego piętra i do drzwi zadzwonił.

Po kilku sekundach otworzyło się szklane we drzwiach okienko, a przy blasku płonącej świecy ukazało się w niem oblicze pani Angot.

— Kto tam?—zapytała szorstko.

— Ja—odparł Loc-Earn; nie poznajesz mnie pani? Wszak powiedziałem że prawdopodobnie przybędę dziś w nocy,

— Ach! to pan—poczęła słodkim głosem. Racz pan wybaczyć łaskawie... Natychmiast otworzę... Proszę wejść... proszę!

Jednocześnie drzwi się otwarły.

— Ach! mówiła ze skargą, skoro Robert wszedł do pokoju, niewierzysz pan, jak jestem znużoną... zaledwie trzymam się na nogach. Od dawna powinnam w łóżku spoczywać. Zachoruję z wysilenia, to pewna!—Jakaż noc straszna... ileż wypadków... Wszystko to panu opowiem. Uprzedzam jednak, iż dla pana są wiadomości pomyślne. Zostałeś ojcem pięknego chłopca... Młoda pacjentka ma się zupełnie dobrze. A teraz, wyobraź pan sobie....

— Popełniono samobójstwo w tym domu, przerwał Loc-Earn, zesłała policja... Wiem o tem wszystkim.

— Już panu powiedziano?—szepnęła pani Angot zdumiona.

— I prosiłbym panią byś mnie coprędzej zaprowadziła do chorej.

— Pójdź pan... lecz zachowaj się cicho, jeżeli śpi budzić jej niemożna...

Tu idąc na palcach weszła w długi korytarz, a otwo-

rzywszy drzwi skinęła na Roberta. Resztką główni dopalała się w kominku, nocna lampka, ukryta w głębi, słabo pokój oświetlała.

Na machoniowem łóżku pani Angot, w białych poduszkach spoczywała głowa Henryki. Błądą jej twarz okalały zwoje rozpuszczonych jasno błęd włosów. Oczy miała zamknięte. Obok łóżka w kołysce, spoczywało niemowlę. Wzrok Loc-Earn'a przechodził kolejno z matki na dziecię, w tem wzroku jednak nie można było dojrzeć najmniejszej iskry uczucia; widniało w nim zupełne zubożenie. Pani Angot, przeszedłszy pokój na palcach, zbliżyła się do łóżka i z lekka poprawiła kołdrę na uspionej.

— Kto tam?—zapytała Henryka, otwierając oczy. Robert przyszedł?

— Jestem, ukochana—rzekł zbliżając się do niej.

Uśmiech zawidniał na ustach chorej. Wskazała ręką na spoczywające w kołysce niemowlę,

— Ucałuj go—rzekła z cicha—patrz jak jest pięknym!...

XXII.

— Zachwycająco pięknym! żywy obraz matki—wołała z uniesieniem pani Angot. Wpatrywaliśmy się weń z podziwem przed chwilą oboje. No... ucałuj że pan tego cherubinka, lecz bardzo ostrożnie, aby go nie przebudzić..

Robert zaledwie dotknął ustami policzków dziecięcia.

— Podaj mi go... niech ja go również ucałuję—wołała podnosząc się Henryka.

Loc-Earn pochylił się nad kołyską chcąc unieść niemowlę, lecz pani Angot nie dozwoliła mu tego uczynić.

— Pozwól pan... wyrzekła, ja cię wyręczone. Mężczyźni nie umieją się obchodzić z temi drobnymi istotami. Trzeba posiadać zręczność, mieć delikatną rękę dla tych aniołków.

To mówiąc, podała dziecię Henryce.

Młoda matka, pochwyciwszy niemowlę okrywała je pocałunkami.

— Ach! gdybym mogła go karmić!... wyszepnęła z westchnieniem.

— Tak... gdybyś pani mogła — odpowiedziała pani Angot, ponieważ jednak okoliczności prawdopodobnie nie dozwolą tego uczynić, w oczekiwaniu na mamkę, pokarmimy go smoczką. Ale... co do mamki, — dodała, — gdybyście państwo życzyli, mogłabym przedstawić bardzo odpowiednią ku temu kobietę...

— Mam już zamówioną, — rzekł Robert, — przypomniawszy sobie o propozycji Sariola.

— To dobrze... niechaj przybywa jak najprędzej, mówiła dalej kobieta. Naturalnego pokarmu żadne sztuczne żywienie zastąpić nie jest w stanie.

— Przybędzie jutro, a raczej dziś... ponieważ już światła poczyna.

— Teraz zabieram dziecko, dla nakarmienia i odchodzę, — poczęła pani Angot; zabierając się ku wyjściu, niechęć przeskadzać państwu w rozmowie. Lecz proszę — dodała, zwracając się do Henryki, nie utrudzaj się pani zbyt, w obecnych okolicznościach należy oszczędzać się... bardzo oszczędzać.

Ostatnie wyrazy odchodzącej były dosłownym powtórzeniem zdania, wygłoszonego przez nią do pani de Randal, w chwili widzenia się tej ostatniej z wicehrabią de Grandlieu. Słowa te powtarzane przez nią różnym klientkom bezustannie, szły jej na usta pomimowolnie, nauczyła się ich prawie na pamięć.

— Robercie — poczęła Henryka, gdy pani Angot się odaliła, usiądź tu bliżej mnie.

— Otóż chwila wymówek nadeszła — pomyślał Loc-Earn. Nie zbyt przyjemną będzie dla mnie ta rozmowa...

— Podaj mi swą rękę — mówiła dalej córka pana d'Auberive.

Dotknąwszy jej dłoni, uczuł, iż była niezwykle rozpaloną.

— Masz gorączkę—zawołał—widocznie jesteś cierpiącą?

— Tak!... cierpię... bardzo cierpię... wszak nie na ciele, ale na duszy!— Czuję się bardzo nieszczęśliwą!

— Otóż i scena, której się obawiałem—rzekł—łyż i wyrzuty. Uniknąć tego niepodobna. Poczem nadając wyrazom oddźwięk tkliwego wzruszenia:

— Nieszczęśliwą... ty... Henryko?—zaczął po chwili—zkład... i dla czego? Wszak wiesz, że cię kocham gorąco... prawdziwie! Ach! kochałem cię, Bóg jeden wie tylko, bardziej niż ponad życie... więcej nad wszystko na świecie, a teraz gdy nowy węzeł nas łączy, w obec którego niczem są wszystkie inne, kocham cię stokroć więcej jeszcze... Miłość moja dla ciebie wzrasta nieskończenie!

— I dokądże mnie powiodła ta miłość?... szepnęła z goryczą Henryka. Dała dni bez spokoju i noce bezsenne. Każała mi wdziać maskę obludy, rumienić się pod każdym wejściem... Obawiać się wszystkiego, drzeć bezustannie... zostać współniczką bezwstydnego kłamstwa, aby się wydostać z rodzicielskiego mieszkania, i oszczędzić ojcu widoku hańby!... Stać się zniesławioną... zgubioną!... Kryć się w tym podejrzanym, brudnym domu!... Ach! i ja noszę czyste i uzacniane przez ojca nazwisko d'Auberive!—wołała z rozpaczą. Otóż co zdziałała ta miłość, o której mi mówisz. Tu ukryła twarz w poduszki, wybuchnąwszy łkaniem.

— Uspokój się... zaklinam!—mówił Loc-Earn, pochylając się ku niej. Podobne wzburzenie jest niebezpiecznym, ono za-
bić cię może!

— Tego właśnie pragnę!—zawołała, podnosząc nagle—
głowę.— Czy sądzisz, że obawiam się śmierci, że przywiązuje
mnie choć cośkolwiek do życia?

— A ja... cóżbym tu począł bez ciebie—zapytał z gestem
patetycznego aktora.

Henryka milczała, nieodpowiadając.

— A nasze dziecię?—mówił dalej. Możesz-że zapominać o niem? Czyż nie masz obowiązku żyć dla niego i dla mnie?

— Ach! to dziecię—powtórzyła ze smutkiem. Właśnie myśl o niem czyni mnie tak nieszczęśliwą. Mam syna... Boże! mam syna!... I wtedy gdy młode małżonki z dumą to powtarzają, cieszą się, chlubią z macierzyństwa, ja muszę go odtrącić od siebie, kryć się z mą hańbą przed ludzkimi oczyma... Bo nie jestem kobietą godną szacunku, ale istotą najbardziej niktzemną, najbardziej pogardzaną w świecie!

Robert milczał, nie znajdując odpowiedzi na te rozdzierające wyrazy.

Wzburzenie nieszczęśliwej doszło do ostatecznych granic. Łkała w milczeniu, a we łzach jak gdyby znalazłszy ulgę, zwolna uspokajać się zaczęła.

— Przebacz mi—wyrzekła po chwili, podając rękę niktzemnikowi.—Zasmuciłam cię memi bolesnymi wymówkami, być może niesprawiedliwie, bo jestem zarówno winną. Co począć jednak... w głowie mi się mieszać poczyna gdy o tem myślę... Przebacz mi, proszę!...

Loc-Earn okrył pocałunkami podaną sobie rękę.

— Prosisz mnie o przebaczenie, aniele—rzekł;—o! czemuż raczej nie pozwoliłaś mi umrzeć wtedy, aby ocalić się przed tą nieszczęsną miłością jaka sprowadziła tyle złego!

— Pomówmy o naszym dziecku—zaczęła Henryka, niechaj choć ono będzie szczęśliwem. Za kilka godzin przybędzie mamka, nie prawdaż... aby mi je zabrać i unieść!...

— Tak być musi... niestety!

— Czy znasz tę kobietę?

— Wiem, że jest zdrową, staranną, ma własne dziecię.

Zresztą ujrzysz ją niezadługo.

— Gdzie ona mieszka?

— Na wyspie Saint-Dénis.

— Czy to blisko Paryża?

— Bardzo blisko. Powozem w dobre konie uprzedzonym można tam zajechać w godzinę.

— Ach! to bardzo daleko.

— Jakto?...

— Życ... nie widując dziecka byłoby niemożliwe, wychodzić zaś z domu bez pozorów, na tak długi przeciąg czasu?... nie... to niepodobna!... Trzeba poszukać innej kobiety, lub tej dać dużo pieniędzy aby się przeniosła gdzie bliżej.

— Ułożę to wszystko... przyrzekam ci—rzekł Robert. Będziesz mogła nawet je odwiedzać codziennie w towarzystwie Urszuli.

Henryka zadrżała. Żywy rumieniec wystąpił na jej blade policzki.

— W towarzystwie Urszuli?—pytała z osłupieniem. Jakto? Urszula więc ma o wszystkim wiedzieć?

— Czyż podobna ukryć przed nią? Skoro wrócimy jej wolność dla zapewnienia sobie milczenia z jej strony, trzeba jej wszystko powiedzieć. Jest to koniecznym... nieuchronnym! Ta kobieta szczerze cię kocha... przy niej wstałaś... Nie zdradzi cię, jestem tego pewny!

— Boże... mój Boże!—wołała biedna, załamując ręce. Wobec służącej rumienić się będę musiała. Zeszłam więc aż do takiego poniżenia! Biedna Urszula... ileż ona na tem cierpi... Poczciwa, z przeznaczem sercem kobieta! Dla niej nasz dom był rodzajem świętości... Co pomyśli, poznawszy mą hańbę?

Po długiej bolesnej zadumie zwróciła się do Loc-Earn'a.

— Robercie—zaczęła silnym stłumionym głosem,—przede wszystkim trzeba pomyśleć o przyszłości tego nieszczęśliwego dziecka... Ja nie chcę... rozumiesz mnie... ja nie chcę, ażeby ono zostało sierotą bez nazwiska. Nie dozwoliłeś mi wyznać wszystkiego mojemu ojcu i błagać go o przebaczenie z obawy, iż zabić by go to mogło! Skutkiem tego jawnego małżeństwa zawrzeć nam niepodobna. Czytałam jednak że są sposoby w pewnych okolicznościach, mocą których może nastąpić związek ślubny przed ołtarzem, pobłogosławiony przez księ-

dza, mimo iż on nie będzie publikowanym. Sumienie jest wtedy spokojnem. Dziecię uprawnionem zostaje. Czegóż więcej trzeba? Ty mnie rozumiesz, wszak prawda?

— Czytałaś o tem w romansach, moja droga—odrzekł Loc-Earn i jeszcze w romansach dawnej epoki. Nielitościwy kodeks pozbawił tego drogocennego źródła kochanków i romansopisarzów!—Tajemne małżeństwo jest dziś niemożliwym z tej prostej przyczyny, że tak małżeństwo cywilne, jak legalne, zapowiedzi poprzedzać muszą związek religijny, który bez nich zawartym być nie może.

— A gdy nastąpi owa bolesna chwila,—zaczęła Henryka drżącym z lekka głosem,—chwila, w której mój ojciec żyć przestanie, nie będę nic wtedy potrzebowała ukrywać. Stanę się panią mej woli i działań.

— Przyrzecz mi, iż mimo, że jestem bogatą, a tyś ubogim, w dniu tym zostanę twą żoną. Jeśli mnie kochasz, Robercie, nakaz milczenie wrodzonej twej dumie. Czyż moja wina, że jestem bogatą? Niech to nie staje zaporą naszemu szczęściu! Nieodmawiaj... przysięgnij, że mnie zaślubisz.

Loc-Earn zagłębił się w milczeniu. Na jego twarzy znać było, jak gdyby staczanie walki wewnętrznej.

Henryka wyciągnęła ku niemu ręce błagalnie.

— Przysięgam!—wyrzekł nareszcie.

— Ach! widzę, teraz, ile mnie kochasz!—wyszepnęła, opuszczając głowę na poduszki. Dzięki ci... dzięki!—O jakże jestem szczęśliwą!

XXIII.

Zaiste nikt większego tryumfu nie odniósł nigdy po nad owego nędznika. Można byłoby sądzić, iż jakiś duch piekielny opiekował się nim, usuwając mu z drogi przeszkody dla łatwiejszego dopięcia szatańsko obmyślanych planów.

Henryka błagała go, aby ją po zgonie ojca zaślubił,

a tym sposobem nadał dziecieniu nazwisko, on ulegając niby tej prośbie pochwyci miliony, obok czego odegra rolę bohatera, człowieka, poświęcającego własne przekonania, rodową swą dumę dla spełnienia obowiązku.

W obec tego o swojej hańbie, upokorzeniu, łzach i boleści, o wszystkim tem dziewczę zapomniało, żywiąc jedynie uczucie wdzięczności dla uwodziciela.

Reszta rozmowy między obojgiem płynęła spokojnie.

— Jakież imię nadamy biednemu naszemu dziecku? zapytała Henryka.

— Jakże zechcesz;—odparł Loc-Earn.

— Nie pomyślałam nad tem jeszcze.

— A więc poszukajmy...

— Znam tylko jedno twoje imię, Robert, czy posiadasz i inne?

— W akcie mojego urodzenia zapisano: Robert, Andrzej, Laurenty Loc-Earn.

— Nie lubię imienia Laurenty, lecz Andrzej bardzo mi się podoba.

— A więc, nazwijmy go Andrzejem....

— Zgoda! nie szukajmy innego.

To mówiąc zadumała, opuściwszy głowę. Smutek zawiadniał na jej bladym obliczu.

— To dziecię—zaczęła po chwili, nie będzie nigdy wiedziało o plamie, jaka ciąży na jego urodzeniu... Wszak prawda, Robercie?

— Ma się rozumieć... Zresztą tę plamę, jak ją nazywasz, zgładzi nasze małżeństwo, uprawniając jednocześnie naszego syna.

Na te słowa weszła pani Angot, przynosząc uspięone niemowlę.

Rozmowa przerwana została.

— No.. teraz—rzekła, kładąc dziecię w kołyskę,—nakazuję chorej sen i spoczynek. Pan odejść musisz. Rozłączcie

się państwo. Gdybyś zaś pan życzył dłużej tu zabawić, mam pokój oddzielny do jego rozporządzenia.

Robert spojrział na zegarek. Wskazywał on piątą godzinę.

Przedsięwziawszy, jak wiemy, należyte środki ostrożności, aby niedowiedziano się w pałacu d'Auberive o jego nocnej wycieczce, mógł się ukazać dopiero przy śniadaniu.

Przyjął więc propozycję pani Angot pragnąc spocząć nieco, i odszedł wraz z nią do wskazanego sobie pokoju.

— Ale łaskawy panie—rzekła, stawiając lichtarz na stole—zanim pan zaśniesz, trzeba nam się porozumieć jeszcze w jednej ważnej kwestyi, a mianowicie eo do zeznania...

— Jakiego zeznania?—pytał Loc-Earn!..

— Zeznania w kancelaryi mera, o przyjściu na świat dziecięcia. Nie mogę zatrzymywać tego w tajemnicy i narażać się na odpowiedzialność. U mnie wszystko w porządku być musi. Nie koniecznie pan jednak patrzujesz być przy tem obecnym,—mówiła dalej. Mam dwóch świadków mieszkających w tym samym cyrkule; zwykle oni mi załatwiają podobną czynność za opłatą sześciu franków. Niemowle, zanieś moja służąca Dorota. Chodzi więc o to jedynie, jak pan w zeznaniu napisać pragniesz? Czy dziecię ma być zapisanem na matki nazwisko, lub też: „ojciec i matka nieznanii.“ Stosownie do pańskiego życzenia rzecz będzie załatwioną. Nadmienić jednak muszę, iż w razie gdybyś pan to dziecię za własne uznać zechciał, natenczas musisz osobiście lub przez osobę upoważnioną ku temu, złożyć zeznanie. Prawo pod tym względem jest bardzo surowem.

— Sam pójde z dzieckiem i ze świadkami—rzekł Robert. Zresztą, namyśle się jeszcze!

— Zatem będziemy w porządku—odparła pani Angot. I wyszła.

Loc-Earn przemyśliwać począł jakby dla niego było korzystniej postąpić w tej sprawie i ostatecznie postanowił uznać dziecko za własne, będąc przekonanym, iż kiedyś w przy-

szłości potężną dźwignią, w jego dalszych planach ono dlań być może.

Jakoż w merostwie Batignolles zapisano co następuje.

„W dniu 24 Października 1850 roku stawił się przedemną merem, moim sekretarzem, i urzędnikami stanu cywilnego, cyrkulu Batignolles, departamentu Sekwany, Robert, Andrzej, Laurenty, hrabia de Loc-Earn, utrzymujący się z własnych funduszków, zamieszkały w Paryżu, przy ulicy Ville d'Eveque, oznajmując nam, iż tegoż dnia o północy urodziło się przedstawione nam dziecię płci męskiej, któremu nadał imiona Andrzej Henryk, zeznając iż rodzicami tegoż dziecięcia są, on, i panna Henryka d'Auberive. Dziecię to przyszło na świat w mieszkaniu pani Angot, akuszerki przy bulwarze Batignolles. Powyższe zeznanie złożono w obecności dwóch wiarogodnych świadków, zamieszkałych w cyrkułe Batignolles. Po odczytaniu i zrozumieniu takowego przez ojca wspomnionego dziecięcia, nas i powyższych świadków,
„podpisano.“

Dwaj owi wiarogodni świadkowie, zamiast po sześć franków, zwykłej zapłaty, dostali całego luidora, i odeszli nad wyraz zadowoleni.

Robert, wsiadłszy do fiakra z Dorotą i dzieckiem pojechał na bulwar.

Wysiadłszy, spostrzegł Sariola, przechadzającego się przed domem Vignota z zapalonem w ustach cygarem, jednym z owych obrzydłych cygar, znanych ulicznikom Paryżkim pod nazwą „szczurzych ogonów“.

Loc-Earn podszedł ku niemu.

— Przynoszę ci wiadomość „z tamtąd,“ mój mistrzu, rzekł Sariol poważnie.

— No... jaką wiadomość? zapytał Robert.

— Wiadomość pierwszej wagi. Nasza uwięziona przebudziła się dopiero dziś nad ranem. Widoczna, iż nieszczęśliwie jej makowego eliksiru. Niezmiernie ciężką była do

przebycia ta pierwsza chwila. Chciała nas bić... Wrzeszczała jak opętana. Chciała podpalić ów dom, biegnąc po strażników i komisarza. Dozwoliliśmy płynąć tej fali wyrazów, lecz gdy woda zanadto wzbierała poczęła, tak, iż to mogło stać się niebezpiecznem, pokazałem szanownej damie czerwoną chustkę jedwabną, (śliczny fular, z którego zrobię sobie krawat idąc na balik) i wytlómaczyłem jej grzecznie do jakiego użytku służyć to może, jeżeli ust nie zamknie i krzyżeć nie przestanie. Drobnym ów szczegół wystarczył. Nie wymówiła już ani słowa, jęcząc tylko z cicha. Gdym odchodził, poczęła krzyżeć na nowo, lecz jestem pewien, że niezadługo umilkła, i skoro powrócę znajdę ją niewątpliwie grającą w bezika z Li-massou, który jest wybornym strażnikiem. Będziesz z nas mistrzu zadowolonym.

— W samej rzeczy... Wszystko tak idzie, jak tego pragnąłem.

— Ciesz się mnie to nieskończenie... Żal mi tylko tej biednej pani. Dzięki jej zostałem kapitalistą... A wdzięczność, głęboka wdzięczność, leży w mym charakterze.

Lecz jakże co do mamki?

— Przyjmę przedstawioną przez ciebie — rzekł Robert — ale przede wszystkim chciałbym ją zobaczyć.

— To najłatwiejsza... Daj mi dwadzieścia franków, wsiądę do fiakra, pojedę na wyspę Saint-Denis i przywiozę Rozalię, Rozalia bowiem jej imię.

Robert potrząsnął głową przecząco.

— Nie! — odrzekł. Ja muszę widzieć ich mieszkanie, przekonać się czy dziecię będzie miało wygodę i świeże powietrze. Oczekuj na mnie w południe przy rogatce de Clichy, przyjadę tam powozem.

Tu rozstali się oba.

Loc-Earn pojechał na ulicę Ville-l'Eveque, zjadł śniadanie z panem d'Auberive, a następnie pobiegł do wynajmującego powozy przy ulicy Basse-du-Rempart, gdzie kazał zaprządz do

lekkiego ekwipaża starą angielską szkapę, z przedniami w łuk powykrzywianemi nogami, która mimo to robiła, jak zapewniano, sześć mil na godzinę.

We trzy kwadranse później oba z Sariolem przybyli na wyspę Saint-Denis, znaną i sławioną przez majtków ze swoich frytur, potrawek z królików i łąk zielonych, dostarczających pola do „boksów“ i „poddoks'ów.“

Sariol przyprowadził swojego towarzysza do niskiego domku, położonego na wybrzeżu, pod ścianami którego suszyły się sieci i więcierze.

Na jego wezwanie wyszedł przed dom rybak wraz z żoną. Rozalia była młodą, dorodną, silną wieśniaczką. Trzymała na ręku dwumiesięczną dziewczynkę, a okrągłe policzki i żywe rumieńce dziecka świadczyły o pożywności matczynego pokarmu.

Oboje ci małżonkowie mieli tak uczciwe fizygnomie, iż Robert zapytał w myśli sam siebie:

— Zkąd ów łotr Sariol znać może tych ludzi?

Rybak ofiarował się pilnować powozu, podczas gdy Loc-Earn wszedł do wnętrza domu i wyjaśnił Rozalii powód przybycia.

Ofiarowane przez Roberta wynagrodzenie stanowiło majątek dla tych biedaków, którzy z ciężkiej pracy zaledwie wyżywić się zdołali.

Po naradzeniu się z mężem, Rozalia oświadczyła iż przyjmuje obowiązek, zgadzając się, gdyby to było koniecznem, na wynajęcie sobie mieszkania w Paryżu, za oddzielną ze strony Roberta dopłatą!

— Zatem rzecz ułożona—rzekł Loc-Earn—ubieraj się, i jedź zemną po dziecko...

Skromny ubiór kobiety nie zabrał jej wiele czasu. Dumna, ze spotykającego ją zaszczytu, siadła na przodzie faetonu obok poważnego Roberta, i stara angielska szkapę ruszyła w stronę Paryża.

Henryka, ujęta pociągającą fizygnomią rybaczki, zgodziła się na oddanie jej dziecka, lzy jednak płynęły z oczu

biednej matki, skoro spostrzegła, jak dziecię chciwie przyłożyło usteczka do piersi tej obcej kobiety. Zdawało się nie-szczęśliwej, że ta kobieta kradnie najdroższe jej prawa, najtkliwsze przywileje, gorsza wszelako jeszcze nastąpiła scena, gdy Rozalia wyjść miała, unosząc małego Andrzeja. Henryka nie chciała z nim się rozłączyć. Tuliła go do piersi, okrywała pocałunkami, wśród rzewnego płaczu szepcząc wyrazy, jakie w podobnych chwilach zwykł młodym kobietom podpowiadać ich instynkt macierzyński.

— Trzeba przerwać owo wzburzenie, chora może sobie wiele zaszkodzić, szepnęła Robertowi pani Angot.

Rozalia na dany znak przez Loc-Earn'a, uniosłszy niemowlę wyszła z pośpiechem, mimo błagań Henryki, wołającej wśród łkania:

— Nie zabieraj mi go, nie zabieraj! Pozostań choć chwilę!.. pozostań!

XXV.

Robert sprowadził Rozalię do fiakra, sprowadzonego przez służącą pani Angot, którym mamka odjechała na wyspę Saint-Denis, zabrawszy małego Andrzeja.

Wracając spostrzegł ze zdumieniem elegancki kabriolet, uprzążony w rasowego angielskiego konia, stojący przed domem.

Zdziwienie jego wzrastało, gdy ujrzał wysiadającego mężczyznę, którego tylokrotnie spotykał, i którego poznał od razu.

— Co u czarta sprowadza tu wicehrabiego de Grandlieu?—pytał sam siebie. Ów surowy, poważny dżentlemen, uchodzący za purytanina, miałżeby być zwykłym obłudnikiem? miałżeby i on mieć jakieś miłosne tajemnice których rozwiązanie następuje w tym domu? Ależ to niepodobna. Starałby się wówczas lepiej ukrywać. Podobnych spraw nie odsła-

nia się widocznie, bez obawy.—Gubię się w myślach co on tu robi?

Armand de Grandlieu, jak wiemy, przybył, ażeby być obecnym przy zgonie Klotyldy de Randal.

— Idź proszę, poszukać mi księdza—mówiła jak wiemy umierająca.—Przyprowadź go z sobą... Pozostaw mnie z nim... A gdy odejdzie, wróć do mnie. Myśl o śmierci w osamotnieniu przeraża mnie! Pragnę ażebyś był przy mnie i zamknął mi powieki gdy moja dusza z ciała uleci!

Wicehrabia po blisko godzinę trwającej nieobecności wrócił, zawiadamiając Klotyldę, że ksiądz wkrótce przybędzie, a chwytając się ostatniej nitki nadziei, przyprowadził wraz z sobą jednego z najslawniejszych paryzkich lekarzy, pragnąc by zbadał chorą przed przyjściem sługi bożego.

Doktór spojrział na słabą owem głęboko badawczem, magicznem prawie spojrzeniem, zdajacem się przenikać do najtajniejszych głębin ludzkiego organizmu. Rzucił jej kilka zapytań, któremi ukończył badanie, gdy w progu ksiądz się ukazał.

— I cóż?... zapytał pan de Grandlieu, gdy razem wyszli z pokoju.

— Biedna! tak dobrze czuje niebezpieczeństwo, jak gdybym ja sam je widział. Nie ma najmniejszej nadziei uratowania jej, ani nawet przedłużenia życia choćby na godzin kilka. Pozostaje nam jedynie możność wyrachowania z matematyczną ścisłością chwili zgonu, a tem samem i resztek czasu, jaki jej tu wśród nas jeszcze pozostaje.

— Obrachuj więc pan, proszę—rzekł wicehrabia.

— Chora umrze dziś, prawdopodobnie o zachodzie słońca, nie rychlej i nie później, jak sądzę—odparł lekarz poważnie.

— Dzięki za owo smutne objaśnienie... Właśnie potrzebowałem to wiedzieć.

Tu pożegnali się oba.

Armand de Grandlieu wsiadł do powozu, wołając na stangreta:

— Bulwar Inwalidów... do pałacu markiza de Maucombe... Pędź, co koń wyskoczy!

Wicehrabia chciał przywieźć starego markiza do łóża umierającej córki, pragnąc tym sposobem sprawić chwilę niespodziewanej radości chorej i dozwolić jej zejść z tego świata z ojcowskiem błogosławieństwem i przebaczeniem.

Niezastał jednak w pałacu pana de Maucombe, kamerdyner mówił, że wróci za chwilę.

— Przybędę tu za pół godziny—rzekł Armand—powiedz panu markizowi iż proszę ażeby na mnie zaczekał. W nader ważnej i pilnej sprawie potrzebuję widzieć się z nim co prędzej.

Korzystając z pozostałego czasu, pan de Grandlieu, przeszukiwał miejsca, w których spodziewał się znaleźć ojca Klotyldy.

Daremne były jego chęci. Wrócił na bulwar Inwalidów, a pan de Maucombe nie ukazał się jeszcze.

Słońce ku zachodowi zbliżać się poczęło.

— Ha!—szepnął smutnie—trzeba pochylić czoło przed fatalną, nieubłaganą koniecznością. Nie myślmy o tem więcej... Biedna, nieszczęśliwa kobieta i tej jedynej pociechy pozbawioną zostanie. Zbłądziła, bezwątpienia, lecz wielki Boże... jakaż straszna kara... jak ciężkie zadośćuczynienie!

I pojechał na bulwar Batignolles, gdzie Robert, spostrzegłszy go wysiadającego z powozu, szedł w tyle za nim, by się upewnić gdzie wejdzie wicehrabia.

Pani Angot drzwi otworzyła, poczem wszedł pan de Grandlieu a w parę minut później Loc-Earn zadzwonił.

— Kto jest ów pan?—zapytał,—który tu wszedł przed chwilą?

— Ach!—odpowiedziała z cicha akuszerka—jest to znakomita osobistość... pan wicehrabia...

— Mógłbym prosić panią o objaśnienie, w jakim on celu tu przybył?

— Nie udzieliłabym panu tej wiadomości, bądź pewnym, gdyby obowiązkowa dyskrecja nakazywała mi milczenie, wszak tutaj nie ma tajemnicy. Ów wicehrabia olbrzymio bogaty przyjechał odwiedzić pewną umierającą damę... tę panią hrabinę, której mąż zeszłej nocy odebrał sobie życie w pokoju pod czwartym numerem. Przekonaj się pan, że nasz dom ma wziętość i stosunki ze sferami wyższego świata.

W czasie powyższej rozmowy między temi dwiema osobistościami, pan de Grandlieu wszedł do pokoju Klotyldy.

Pani de Randal, przerażająco blada, spoczywała na łóżku z oczyma, w stronę drzwi zwróconemi.

— Ach! to ty, Armandzie—szepnęła—przybywasz narzecie! O! jakże długo trwała ta twoja nieobecność... Sądziłam, że cię już więcej nie zobaczę. A tak mało chwil do do życia mi pozostaje!..

Pan de Grandlieu, niechcąc wyjaśniać powodu swego opóźnienia, złożył pocałunek na wychudłej i zimnej ręce Klotyldy.

— Ksiądz odszedł już dawno—mówiła ze smutnym uśmiechem młoda męczennica. Wszystkie moje zgryzoty sumienia, moje łzy i boleści uniósł wraz z sobą!—Moje błędy i winy wszystkie odpuścił i zgladził. Pogodziłam się z Bogiem.. Jestem czystą, jak dziecię, z którego woda chrztu zmyła plamę pierworodną. „Niech ci Bóg przebaczy i błogosławi.“ Kapłan mi to powiedział.. Mogę więc umrzeć spokojna.

— Dla czego nie żyć?—rzekł z cicha pan de Grandlieu.

— Usiłujesz wlać we mnie nadzieję, której sam nie posiadasz, Armandzie—wyszepnęła umierająca.—Nie mówmy już o tem, lecz pomyślmy o mojem dziecku... o tej nieszczęśliwej sierocie, dla której będziesz ojcem... opiekunem... Zobacz ją, Armandzie... dotąd jej jeszcze nie widziałeś... śpi tu obok mnie w kołysce...

Pan de Grandlieu, uchylwszy delikatnie zasłonę nad kolebką, ucałował niemowlę.

— Zdaje się, że będzie piękną—mówiła dalej umierająca—nie wiem czyli mam się cieszyć z tego? Piękność bywa niejednokrotnie przeklętym dla kobiety darem! Każ ją ochrzcić, proszę... A jakież nadasz jej imię... Jak ją nazwiesz? Armandzie?

— Dam jej twoje imię—wyjąknął łzawym głosem pan de Grandlieu.

— Och! nie, nie!... aby nie moje!—szepnęła z trwogą pani de Randal. To imię przynosi nieszczęście! Miałam w klasztorze przyjaciółkę, jedną... jedyną... którą gorąco kochałam. Nazywała się Herminja... Tem imieniem nazwij mą córkę... Przyrzecz-że to uczynisz?

— Przyrzekam!

— Kochać ją będziesz?

— Z całej duszy!

— Będiesz dla niej dobrym i tklwym, jestem przekonana... wiedząc o ile mnie kochałeś... Nie uczuje ciężaru sieroctwa to biedne dziecko. Matki wspominać nie będzie mogła, nie znając jej wcale, lecz ty Armandzie, opowiesz jej o mnie, upewnisz ją, że gdybym żyła, kochałabym ją nad wszystko... Przyprowadzisz ją, by się modliła na moim grobie!.. Bóg tam... z wysoka pozwoli mi ją widzieć...

Słońce zniżało się coraz bardziej ku zachodowi. W pokoju zalegać począł mrok ciemny. Pan de Grandlieu przypomniał sobie słowa doktora:

— Zgon nastąpi mniej więcej o zachodzie słońca!

Klotylda słabła widocznie z każdą chwilą. Wymawiała z trudnością wyrazy. Szept cichy, wydobywając się z jej piersi, zaledwie dochodził pochylonego nad jej łóżkiem Armanda.

Nastąpiło długie, głębokie milczenie.

— Miałaby umrzeć? zapytywał siebie z trwogą wicehrabia.

Nie! ta nieszczęśliwa żyła jeszcze; wolne, nieregularne uderzenia serca nie zostały jeszcze wstrzymane. Jej

usta poruszały się, lecz bez wydania dźwięku. Rozpoczęła się agonja, ale spokojna, cicha, bez walk i wstrząśnień.

Nagle umierająca podniosła się na łożku, jak się podnosi na stole anatomicznym trup, zgalwanizowany potęgą stosu Wolty.

— Podaj mi dziecię!—zawołała silnym głosem.

Pan de Grandlieu spełnił polecenie. Klotylda, pochwywszy tę drobną istotę, przytuliła ją namiętnie do swych piersi.

— Armandzie!—szepnęła—ty ją uczynisz szczęśliwą... wszakże mi to przyrzekłeś?

Pan de Grandlieu wznosił rękę nad główką niemowlęcia, i rzekł z uczuciem pełnem wzniosłości:

— Jeśli jej szczęście odemnie zależeć będzie, uczynię ją szczęśliwą... przysięgam!... Gdyby mi przyszło dla niej wyrzec się wszelkich radości tego świata, uczynię to bez wahania. Gdyby mi przyszło cierpieć dla usunięcia od niej cierpienia, lub poświęcić się ażeby ją uchronić przed ofiarą, będę cierpiał, poświęcę się... przysięgam!

— Dziękuję ci!—wyszepnęła chrapliwie umierająca.— Bóg słucha słów twoich... a ja w nie wierzę!... Umieram spokojna... Weź to dziecię—dodała zaledwie dosłyszczanym głosem—Spiesz się... Weź prędzej!...

Pan de Grandlieu pochwyił niemowlę, którego martwiejące ręce matki utrzymać nie były w stanie.

Słońce zaszło, a wraz z jego ostatnim promieniem Klotylda, wydawszy ciężkie, głębokie westchnienie, osunęła się w tył na poduszki, z otwartymi oczyma, twarzą spokojną, uśmiechniętą prawie.

Umarła...

Armand uklęknął przy łożku, modlił się przez chwil kilka, następnie wstawszy, przyknął zmarłej powieki.

Podszedłszy ku drzwiom, zadzwonił.

Pani Angot przybiegła z pośpiechem.

— Hrabina de Randal zakończyła życie—rzekł do niej; ja zajmę się pogrzebem, który pragnę aby się odbył ze wspa-
niałością, godną stanowiska, jakie zmarła zajmowała. Dwaj
księża będą czuwali przy niej tej nocy. Na koszta pogrzebu
proszę, chciej pani to przyjąć odemnie.

Tu pan de Grandlieu, podał bilet pięćsetfrankowy
ośnionej i osiupiałej taką szczodrością kobiecie.

— Trzeba pomyśleć o dziecku—mówił dalej.— Czy mo-
głabyś mi pani mamkę dostarczyć?

— Najchętniej.— Mam nawet jedną u siebie w domu.

— Akt urodzenia został sporządzonym?

— Nie jeszcze.— Wiadomo panu zapewne, iż w nieo-
becności ojca, zeznanie złożonem być winno przez aku-
szerkę, doktora, lub świadków. Nie miałam czasu zająć
się tem od rana. Zresztą, nie znam nazwiska rodziców
dziecięcia.

— Pojadę z panią jutro do mera, zabrawszy potrzebne
dokumenty dla sporządzenia aktu—rzekł wicehrabia.

W godzinę później przybyła mamka, dostarczona przez
panią Angot, a pan de Grandlieu, zabrawszy ją wraz z nie-
mowlęciem, umieścił w wygodnym apartamencie swego
pałacu.

Tak więc, jednej i tej samej nocy, prawie o jednej godzi-
nie, przyszło na świat dwoje dzieci na bulwarze Batignolles,
w zakładzie pani Angot, syn Henryki d'Auberive i córka
hrabiny de Randal, i oboje tegoż samego dnia ów dom
opuściło.

Te dzieci, Andrzej i Herminia, urodzone tak w pobliżu
siebie, w jednakowo smutnych okolicznościach, czy się
spotkają w dalszych latach życia? Czy zbliży je przezna-
czenie, tak dziwnie łączące je z sobą?

Przyszłość to okaże.

XXVI.

Przypominamy sobie, że Robert obiecał udzielić pani Angot nagrodę w ilości tysiąca franków, jeżeli Henryka będzie w stanie opuścić jej dom po upływie dni czterech. Trzeciego dnia wieczorem akuszerka oznajmiła swemu szczodrobliwemu klientowi, że wspomniona młoda osoba, bez narażenia się na niebezpieczeństwo może odjechać nazajutrz.

— Podróż drogą żelazną nie zaszkodzi jej?—pytał Loc-Earn.

— Jest że ta podróż konieczną?

— Tak.

— Zatem, niech jedzie. Przyjmuję na siebie odpowiedzialność...

W głębi duszy pani Angot nie była może tak zbyt pewną tego, za co poręczała, obawa wszakże utracenia tysiąca franków, zagnała ją do zapewnień.

Celem owej podróży był, jak to łatwo odgadnąć, Orlean, Henryka bowiem niemogła wracać do pałacu Ville-l'Eveque, nie będąc wprzód u swej ciotki.

Nazajutrz o godzinie drugiej w południe fiaker, przy którym Bijou pełnił obowiązek woźnicy, zajechał przed dom Vignot'a. Córka pana d'Auberive, mocno osłabiona, z twarzą ukrytą pod gęstym koronkowym woalem, wsiadła doń, żegnana najtkliwiej przez panią Angot.

Loc-Earn, siadłszy obok niej, zapuścił story powozu, Bijou zaciął konie i fiaker potoczył się, przebywając cały Paryż ku równinie Montrouge.

Trzeba było wypuścić na wolność Urszulę, więzioną od czterech dni.

Była to ciężka sprawa zaiste i Robert, nie obawiający się zwykle niczego, myślał o tem z niepokojem.

Henrykę również to przerażało. Nieunikniona fatal-

ność wyznania popełnionego błędu, rumienienia się zań w obec służącej i zakrwawienia serca tej zacnej kobiety, trwogą ją napęlniały.

Głębokie rozmyślenia nad obecną sytuacją skróciły obojgu jadącym długość podróży, i zdziwili się, gdy powóz przed owym małym domkiem przystanął.

— Uzbrój się w cierpliwość, droga Henryko—rzekł do niej Loc-Earn, wysiadając.—Moja rozmowa z Urszulą potrwa zapewne dość długo. Pojmujesz, że wszystko to jej należy—cie wytłómaczyć potrzeba; biedna kobieta ma dość tępą głowę.

— Lecz serce zacne, uczciwe—dodała córka pana d'Auberive.

Robert jak gdyby nie słysząc powyższych wyrazów, wszedł do ogródka, gdzie pospieszył na jego spotkanie Sariol, palący fajkę pod gruszką.

— Kiedyż zostaniemy zwolnieni nareszcie z tej ciężkiej straży?—zapytał.

— Za kilka minut. Gdzie jest Limassou?

— Na górze, przy starej; dotrzymuje jej towarzystwa. Opowiada różne rzeczy dla rozerwania jej, mimo że zadąsana, nie chce patrzeć nań wcale. Można ztąd nawet dosłyszeć rozmowę. Nieuwierzysz, mistrzu, jakie to zabawne!

— Idę tam... Wy obaj możecie wracać do Paryża. Nie potrzebuję was obecnie.

— Dam ci jednak przestrożę—rzekł Sariol.—Skoro się znajdziesz sam na sam z tą starą kobietą, strzeż swoich oczu, wydrapać ci je gotowa. Straszna scena nastąpi, uprzedzam!

Robert, wzruszywszy ramionami, począł wchodzić na facyatkę, i otworzył drzwi do izby, gdzie znajdowała się Urszula wraz z Limassou'em.

Biedna kobieta tak się zmieniła, że Loc-Earn zaledwie ją poznał. Od czterech dni nie jadła, mimo że obfity zapas żywności był dla niej dostarczony. Płakała bezustannie i sypiała, siedząc na krześle, nie chcąc się na łóżko poło-

żyć. Oczy jej zapadły, ciągle lzy wydrążyły bruzdy na jej policzkach, usta jej drżały i ręce.

W chwili otwarcia się drzwi Urszula sądząc, że Sariol wszedł, nie podniosła głowy, dopiero na słowa Limassou'a. „A! panie Robercie—nakoniec przybywasz,“ zerwała się nagle, a odrzuciwszy w tył poruszeniem ręki zwoje siwych włosów, spadających jej w nieładzie na czoło, stanęła na przeciw przybyłego, groźnie weń spoglądając.

— Odejdź!—zawołał na Limassou'a nakazująco Robert.

Wspólnik Sariola wyszedł z pokoju.

— Ha!—toś pan mnie kazał tu zamknąć?—pytała Urszula głosem tłumionym przez łkanie.

— Ja—odparł Robert.

— Byłam tego pewną... odgądam!

— Masz-li powód uskarżania się na ludzi którzy cię pilnowali?

— Nie o mnie tu chodzi!—wołała wrząca oburzeniem i gniewem.—Gdzie się znajduje panna d'Auberive? Gdzie jest to moje dziecko?... Gdzie Henryka?...

— Jest na dole... Oczekuje na ciebie.

Stara kobieta z okrzykiem radości rzuciła się ku drzwiom. Robert zastąpił jej drogę.

— Jesteś już wolną, moja dobra Urszulo—rzekł do niej.—Nie wyjdiesz ztąd jednak, dopóki nie pomówimy ze sobą oboje.

— O czym będziemy mówić. Comnie pan masz powiedzieć?

— Wiele ważnych rzeczy... Siądź i posłuchaj.

— Słucham, lecz proszę, mów pan prędko... Panna Henryka na mnie oczekuje, radabym ją ujrzeć co rychlej.

— Nieco cierpliwości... o niej to właśnie chcę ci coś powiedzieć.

— O Henryce?

— Rzecz naturalna. Sądzę iż zrozumiałaś, że jeśli zatrzymałem cię w tym domu, to dla tego ażeby cię z nią rozdzielić.

— Ha! odgadłam to i omal nie oszalałam z trwogi i zgryzoty. Podejrzywałam w tem jakąś niegodziwość. Nie mogę powtórzyć co podejrzywałam. Błagam powiedz pan, żem się myliła... Upewnij mnie, że jesteś uczciwym człowiekiem!...

— Uczciwym jestem, niewątpliwie—odparł Loc-Earn z ironicznym uśmiechem—honor więc będzie ocalonym i błąd zgładzonym zostanie.

— Błąd!.. jaki błąd?—powtórzyła z obawą.

— Otóż potrzeba nam o wszystkim powiadomić cię, Urszulo. Panna Henryka nieszczęściem...

Nie dając mu skończyć, kobieta z roziskrzonym wzrokiem, zaciśniętymi pięściami poskoczyła jak rozwścieczona lwica.

— Ach! nikczemniku!—krzyknęła—wpijając mu w szyję długie kościste swe palce, aby go udusić.

Przerachowała się jednak nieboga ze swoją siłą, osłabioną wiekiem i ścisłym postem czterodniowym. Odepchnięta przez tego łotra, padła na krzesło, zalewając się łzami.

— Chciejże zrozumieć nareszcie—mówił, zbliżając się do niej—że cały ów melodramat jest zbytecznym i do niczego nie doprowadzi. Tracimy czas daremnie. Henryka czeka i niepokoi się. W dwóch słowach rzecz ci przedstawię. Sytuacya jest bardzo prostą. Zostałem ojcem dziecięcia, które dotąd nie ma nazwiska, lecz które uprawnionem zostanie, skoro zaślubię pannę d'Auberive!

— Co?... Henryka twoją żoną?—krzyknęła, zrywając się nagle—nigdy—nigdy w świecie!

Robert wzruszył ramionami.

— Czyż sądzisz—rzekł—iż nie wiem, o czem ty myślisz, i co postanawiasz w tej chwili?... Chcesz mnie oskarżyć przed panem d'Auberive jako ostatniego nędznika, łotra, godnego pogardy, ażeby mnie wypędził z pałacu. Pragniesz zarówno obmalować mnie w najczarniejszych kolorach wobec Henryki aby mnie znienawidziła o tyle, o ile kocha mnie teraz.

— I uczynię to—zawołała Urszula—przysięgam na Boga, uczynię!...

— Nie! ty tego nie uczynisz... Nie będziesz miała odwagi uczynić! Skoro twój gniew przeminie, a nadejdzie rozważa, oszczędzisz stojącemu nad grobem starcowi wyjawienia prawdy, która zabiłaby go mogła. Nie obciążysz wyrokiem wiecznej hańby wychowanego przez siebie dziewczęcia, tamując jej tym sposobem drogę do zaślubienia mnie i uznania własnego dziecka!

Ze zwykłą sobie zręcznością, Loc-Earn rozwijał dalej swe dowodzenia, aż wreszcie zdołał przekonać biedną kobietę, iż nie należy jej do wynikłego nieszczęścia dodawać nowych utrapień, któreby obecne położenie tylko pogorszyć mogły, tak, iż pokonana nareszcie, zawołała z westchnieniem, załamując ręce;

— A zatem—milczeć potrzeba!...

— Nieodwołalnie, moja dobra Urszulo—odrzekł—uspokój się, proszę... Obmyj twarz zimną wodą, uporządkuj rozrzucone włosy, które ci nadają pozór jakiejś obłąkanej zbiegłej z Salpêtrière i pójdź wraz zemną do Henryki.

W kilka minut później zesli oboje do fiakra, gdzie córka pana d'Auberive rzuciła się w objęcia starej swej sługi, okrywając ją pocałunkami.

— Och! moje dziecię—powtórzyła kobieta z niewysłowioną tkliwością tuląc ją do siebie—moje biedne, drogie, ukochane dziecię!...

Robert, niechcąc być świadkiem tej sceny, siadł obok woźnicy.

— Dokąd mamy jechać?—zapytał Bijou.

— Na stacyę drogi żelaznej Orleańskiej—odrzekł Loc-Earn.

I Henryka z Urszulą odjechały tym samym pociągiem, którym miały jechać przed pięcioma dniami.

XXVII.

Nazajutrz, około dziewiątej rano, gdy Loc-Earn zasypiał głęboko, snem jakoby człowieka z najczystschem sumieniem, Józef, stary kamerdyner pana d'Auberive, wszedł do jego sypialni, a zbliżywszy się do łóżka:

— Racz pan wybaczyć, panie hrabio—rzekł z cicha—iż ośmielał się sen mu przerywać...

— Co się stało?—zapytał Robert, otwierając oczy.— Mam nadzieję, iż nie przynosisz mi złej wiadomości o zdrowiu pana d'Auberive?

— Nie!—dzięki niebu—odparł służący. Czuję, że wykraczam przeciw obowiązkowi—dodał—lecz niepodobna mi było postąpić inaczej. Jakaś nieznana osobistość pragnie widzieć się z panem hrabią. Odmawiałem, prosiłem by się oddalił, nalega, nie chce odejść, upewniając iż przychodzi w nader ważnym i pilnym interesie.

— Jakże wygląda ów przybywający?

— Jest to dość młody mężczyzna, przyzwoicie ubrany, ale rzecz dziwna, nie miał przy sobie wizytowej karty. Tłómaczył się, że zapomniał wziąć z sobą pugilaresu, w zamian czego nakreślił nazwisko na kawałku papieru.

Loc-Earn, wyczytawszy na podanej sobie kartce trzy wyrazy „Baron de Sariol,“ zaledwie powściągnął gniew i oburzenie.

— Ach! to pan baron de Sariol—zawołał hamując się siłą woli—przybywa on z prowincyi. Znam doskonale jego rodzinę... Dobrześ uczynił Józefie, żeś mnie obudził. Pragnę się z nim widzieć, przyprowadź go natychmiast. Kamerdyner wyszedł, a ów nikczemnik ubierał się spiesźnie, z zasepio-nem czołem, nachmurzonym spojrzeniem, oczekując na przybyłego.

Za chwilę ukazał się on w progu, wprowadzony przez starego sługę.

— Jak się masz, kochany hrabio!—wołał z daleka zdejmując kapelusz, przybywam złożyć ci moją cześć i uszanowanie.

Sariol był w dobrym humorze, pewien iż olśni wszystkich nowem ubraniem, które nabył w przeddzień dnia tego w Palais-Royal.

Krótki, jasno-granatowy tużurek, żółta kamizelka, szerokie pantalon w kwadraty różnokolorowe, na szyi w miejsce krawatu czerwona chustka fularowa, zielonkowate rękawiczki i lornetka z dużą dewizką koralową na jedwabnym sznurku zawieszona, tworzyły wysoce fantastyczną całość, na jaką i stary kamerdyner zwrócił uwagę.

Musimy dodać, iż Sariol przed przybyciem na ulicę Ville-l'Eveque, kazał sobie ufryzować swe rude włosy i wylał na chustkę do nosa cały flakon kolońskiej wody.

Zdawało się, jak gdyby uciekł wprost zeskładu perfumeryi.

Robert przedewszystkiem wyjrzał, czy Józef już odszedł, a następnie zamknawszy drzwi na klucz stanął przed Sariolem, ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma, mierząc go spojrzeniem od stóp do głowy.

Nie zmieszało to wcale tego hultaja.

— Tam do pioruna! pan hrabia mieszka wspaniale!—wołał—spoglądając po pokoju. Jakiż tu szyk, ile pieniędzy w tych drobiazgach. Zdaje się, jak gdyby się było w Muzeum. Dobrze się ulokowałeś, mój stary, lecz zaprosz-że mnie siedzieć, podaj mi krzesło.

Robert użył ostatnich wysiłków, aby pokonać wrzący gniew w sobie, którego wybuch mógłby się stać dlań niebezpiecznym.

— Co?—zawołał przytłómnym głosem—zapominasz się, jesteś szalonym!

— Pomędzy nami wszystko uchodzi, mój bracie!—odparł poufale Sariol.

— Chcesz więc skompromitować mnie, zgubić?...

— Ja? ha! ha! to śmieszne—zaśmiał łotr, rozkładając się na krześle. Ja, który nie cofnąłem się przed żadną dla ciebie ofiarą, miałbym cię zgubić? Patrz, jakem się ustroił na tę wizytę. Krawiec upewnił, iż w najbardziej arystokratycznych sferach nie ubierają się lepiej. Zobaczno chustkę od nosa, jak wyperfumowana, nie licząc, żem obok tego wszystkiego nadał sobie tytuł „barona“ co szczęściem nic mnie nie kosztuje.—To mówiąc, rozparł się jeszcze głębiej w fotelu, a założywszy nogi jedna na drugą, chłodzić się zaczął swą woniejącą chustką.

— W jakim celu tu przyszedłeś?—zapytał Loc-Earn, zaledwie wstrzymując swą wściekłość.

— W jakim celu? Ha! ha! Zapominasz więc że mamy wspólne interesa, nader ważne sprawy?

— Pamiętam o wszystkim, nic nie zapominam.

— Chodzi tu teraz—mówił dalej Sarioł—o uregulowanie naszego małego rachunku. Licząc na odebranie pieniędzy, kupiłem już sobie pierścionek złoty z rubinem.

— Nie mogłeś mi gdzie indziej schadzki oznaczyć?

— W jaki sposób? ciekawym...

— Trzeba było do mnie napisać.

— Wiesz dobrze, iż nieco szwankuję na punkcie ortografii; mogłoby mnie to skompromitować. A skoro się posiada piętnaście tysięcy liwrów renty, bo liczę, jak gdybym je miał w kieszeni, mało się troskamy natenczas, czyli nasza wizyta sprawi nieco irytacji dobremu naszemu przyjacielowi, Robertowi Saulnier.

— Milcz!—krzyknął Loc-Earn, przyskakując z zaciśniętymi pięściami.

— Mogę zamilknąć, mówię jednak otwarcie, iż zadowolony nie jestem. Przyjmujesz mnie, jak patrol, skoro pochwyci złodzieja. Nie ofiarujesz mi ani kieliszka wina. Napraw tę pomyłkę. Wytrawne, czy słodkie każesz podać, wszystko mi jedno.

Loc-Earn pogardliwie potrząsnął głową.

— Nie mam co dać ci—odrzekł.

— Jakto, ani kropli szampana, ani żadnej przekąski? Ha! ha! a to mi piękny pan hrabia! Zadzwoń i rozkaż staremu, ażeby przyniósł parę butelek. Wszak to rzecz łatwa. Masz służbę na rozkazy. Piwnica zapewne dobrze zaopatrzona być musi...

— Wyobrażasz więc sobie, że u ludzi wielkiego świata piją co chwila likiery? Nie, ja nie wydam poniżającego mnie tyle rozkazu!

— Ha! skoro tak, mniejsza o to. W każdym razie nie jesteś dla gości uprzejmym. Smuci mnie to wielce. Odbiera mi to złudzenie co do ciebie. Ja, który cię uważałem jak brata, ja, od którego wymówienia jednego wyrazu zależy cała twa egzystencja. Ty wiesz i znasz to dobrze, mój drogi. Otóż przestrzegam cię, nie należy zemną zadziierać, nie trzeba mnie drażnić, pamiętaj, nie trzeba! Ostatnie słowa Sariol wymówił gniewnym, groźnym tonem.

Loc-Earn, rzucił nań baczne wejrzenie. Zostawał więc w zależności od tego człowieka, trzeba go było zjednywać dla siebie, konieczność tego wymagała, obok czego potrzeba było pozbyć się go jak najprędzej.

— Ha!—zaczął Robert po chwili—może ty masz i słusność, źle postąpiłem. Nie przyjąłem cię tak, jak należało. Zmięszalo mnie twoje niespodziewane przybycie. Ach! gdybyś znał ów świat, pośród którego ja żyję, gdybyś znał wszystkie jego dziwactwa i słabostki, pojąłbyś, że i służących należy się tak dobrze wystrzegać jak panów, aby nie wzbudzić w nich podejrzenia. Kiedyś, ja ci to zwolna wszystko wytłumaczę. A teraz, podaj mi rękę, mój dobry towarzyszu i nie miej do mnie urazy.

— Do czarta! nie gniewam się wcale—rzekł Sariol—ściskając dłoń, sobie podaną. Nie zwykłem chować urazy. Wracam ci cały szacunek, lecz przedewszystkiem, sporządźmy ów akt i podpiszmy go. Zajmie to najwyżej pięć

minut czasu. Przyniosłem z sobą papier stemplowy, bierz pióro i kołeczny.

— Jutro to załatwimy.

— Dla czego nie teraz?

— Ponieważ, chcąc wynagrodzić me niegościnne dzisiaj-
sze przyjęcie, zapraszam cię jutro na obiad.

— Ach! jakaż myśl genialna!—zawołał z uniesieniem Sariol.

— Będzie uczta wspianiała—mówił dalej Robert—a na deser pomiędzy owocami, każę podać co tylko sam zechcesz.

— Brawo! wracam ci moje braterskie przywiązanie. Rozporządzaj mną jak ci się tylko podobał..

— A gdzie obiadować będziemy?

— Na Polach Elizejskich, w dobrze mi znanym zakładzie, gdzie z pewnością będziesz się stołował, zostawszy panem piętnastu tysięcy liwrów renty. A piwnica!... ach! gdybyś wiedział, Sariolu, jak tam zaopatrzona piwnica!

— Gdzież się spotkamy?

— Czekać na mnie o szóstej pod arkadami przy ulicy Rivoli, w pobliżu Ministerjum finansów. Zabiorę cię do powozu.

— Ułożone więc?

— Do jutra...

— Do jutra, przyjacielu Robercie.

— Zadzwoń aby cię wyprowadzono.—Przybierz że pańską minę, Sariolu, a nie rozmawiaj na schodach z kamerdynerem.

— Bądź spokojny. Potrafię przyzwocicie się znaleźć.

Loc-Earn zadzwonił. W proggu ukazał się Józef.

Dwaj godni siebie towarzysze uścisnęli sobie ręce nawzajem, mówiąc:

— Żegnaj cię, hrabio...

— Do widzenia, baronie! Poczem Sariol z napuszoną miną wyszedł z pokoju.

Loc-Earn, którego ponure wejrzenie błyszczało jakimś

dzikiem zadowoleniem, zbliżył się do okna, ażeby widzieć wychodzącego z pałacu swego niebezpiecznego współnika.

— Ha! dobrześ uczynił żeś przyszedł dziś do mnie, Sariolu!—wymruknął przez zaciśnięte zęby.—Na wielkie zło, potrzeba dobrego lekarstwa! Jutro nie będę się już ciebie obawiał!

* * *

Niektórym z naszych czytelników znanym jest może przyjemny widok kilkusetmetrowej przestrzeni, stanowiącej w 1850 roku część Pól Elizejskich, po lewej, w pobliżu Łuku tryumfalnego i Hippodromu, który w lat szesnaście później został przez pożar zniszczonym.

Piękne budynki, wznoszące się tamże obecnie, nie istniały wtedy.

Na zajętych przez nie dziś placach rozkładały się zielone trawniki, obsadzone kasztanami, ocieniając grunt, nazwany „Wzgórzem na świeżem powietrzu.“

Był tam jak gdyby obóz jarmarczny, pełen bezustannej wesołości. Kilkadziesiąt karczem i szynków stało tu obok siebie. Huśtawki i karuzele kręciły się i wirowały bez przerwy; obok czego była i sala tańca, z desek zbudowana. W pobliżu niej wznosił się namiot kuglarza, nazwanego markizem d'Argent-Court, bezwątpienia z przyczyny jego sukni czerwonej, szychem haftowanej, jego żółtych spodni i pończoch jedwabnych.

Woń smażonej tłustości i potrawki z królików, ulatniała się przez liście drzew, a dźwięki waltorni i klarynetów, sprowadzały z dala ciekawych na „Wzgórze.“

Czworograniasty pawilon, w kształcie szwajcarskiego szaletu, wznosił się na szczycie pagórka, panując po nad szynkami i karczmami, leżącemi poniżej.

Była to wielce znana podówczas restauracya pod „*Koszem kwiatów*.“

Pomimo sąsiedztwa owych drewnianych baraków, odwiedzanych przez publikę z klas niższych, a może nawet skutkiem tego, restauracya pod „*Koszem kwiatów*“ posiadała liczną, wyborową klientelę.

Znajdujące się tu oddzielne gabinety, ściągaly wielbi-
cieli owych córek Ewy zwanych podówczas „*lorelkami*“ a na-
stępnie „*kokotami*.“

Piwnica tutejsza cieszyła się zasłużonym rozgłosem. Kuchnia była dobrą. Raki przyrządzano tu wysmienicie. Prócz tego, podawano na małych półmiskach pewne ekscen-
tryczne, a bardzo natenczas w modzie będące potrawy z róż-
nych wodnych mięczaków wytwarzane, które młode kobietki
z razu ze wstrętem dotykały swemi drobnemi ząbkami, a na-
stępnie, zasmakowawszy w nich, chciwie pochłaniały, między
innemi ślimaki burgundzkie, masłem oblewane.

Przysmaki te, spotykane dziś we wszystkich pierwszo-
rzędnych restauracyach, były w roku 1850 jedyną specjalnością
właściciela zakładu pod „*Koszem kwiatów*,“ gdzie Robert
przyprowadził na obiad Sariola.

Przyjechali obadwaj o siódmej godzinie. Noc już od dawna
zapadła, lecz „*Wzgórze*,“ oświetlone mnóstwem różnokoloro-
wych latarń, przedstawiało widok bardziej ponętny, niż wśród
dnia białego. Orkiestra w sali balowej grała kadryle i dya-
belsko szybkie galopady; tętniły w ruch puszczone karuzele;
muzykanci markiza d'Argent-Court dęli w klarynety, trąbki
i całą siłą uderzali w cymbały i waltornie.

Cały ów ogłuszający hałas i wszystkie te światła nie
miały zniknąć aż przed północą.

Robert wraz z towarzyszem wszedł na pierwsze piętro
restauracyi, poczem obadwaj umieścili się w gabinecie, z któ-
rego okno wychodziło na cyrk kuglarza.

— Na honor!—zawołał Sariol—wesoło tu i gwarno jak
na jarmarku. Podoba mi się to miejsce!.. Miałeś słusność,

panie hrabio, żeś je dla nas obrał... Będę tu częstym gościem, skoro zostanę kapitalistą.

— Pozwolisz mi obiad zadysponować?—pytał Loc-Earn.

— Dysponuj... masz wszelkie prawo do tego, ponieważ ty płacisz, zresztą ja nie znam się na tem... objadłbym się wędliną i kotletami. Proszę więc, każ podać potrawy, jakich dotąd jeszcze nie jadłem, a nadewszystko wyborowe wina.

— Będziesz zadowolonym... Ale, czy lubisz trufle?

— Nie wiem jak one wyglądają, bo w garkuchniach, w jakich zwykle obiad jadałem, nigdy się z nimi nie spotykałem. Możesz je kazać podać między innymi, gdyż skoro kto posiada piętnaście tysięcy franków renty, z trufkami poznać się winien...

Robert, wypisawszy na ćwiartce papieru potrawy, czytał głośno:

— Ostrygi z Marennes,—zupa rakowa;—ryba à la Joinville;—mleczka cielęce z sosem i trufkami;—karczochy;—poledwica à la provençale;—pularda pieczona;—sałata z jarzyn;—poncz rzymski;—mięszane desery;—kawa i likiery.

— No, jakże ci się podoba mój wybór?—zapytał.

Sariol zacierał ręce uradowany.

— Znakomity!—zawołał.—Niech mnie czarci porwą, jeżeli kiedy słyszał o podobnych potrawach! Ale, powiedz mi, czy to sprawia pragnienie?

— Niesłychane!

— Otóż czego potrzeba. Pomyśl o trunkach mój drogi. Wino, likiery, rzecz główna.

Loc-Earn, wzięwszy ołówek dopisywał powtarzając:

— Wino reńskie, do ostryg;—wino de Tavel, do zupy;—białe, Côte-Rote;—czerwone Hermitage;—hiszpańskie Xeres; oraz Saint-Péray z winnic węgierskich.

— Sześć gatunków!—zawołał Sariol, licząc na palcach.—Ale nie widzę pomiędzy niemi szampana? Miałżebyś o szampanie zapomnieć? Ach to błąd nie do wybaczenia!

— Zastąpiłem je Saint-Péray'em, które jest równie musującym a bardziej wonnym winem.

— No! jeśli musującym, to dobrze... Siadajmy.

Robert zadzwonił na posługującego i oddał mu wypisaną kartę.

— Młodzieńcze!—zawołał Sariol z powagą—przyniesiesz nam kałamarz, pióro i wszystko czego potrzeba do pisania, mamy coś tutaj zanotować. Widzisz że nie utracił bussoli—rzekł śmiejąc się do Roberta, gdy chłopiec zniknął za drzwiami. Dobre rachunki tworzą dobrych przyjaciół. Ja dziwną mam słabość do tego kawałka papieru. Jest to może dziwactwem z mej strony, ale co robić?

— Rzecz przyrzeczona... rzecz święta!—odparł Loc-Earn; przy deserze kwit ci napiszę i wierzaj, iż najgorętszym moim pragnieniem jest, abyś co rychlej odebrał swoje trzysta tysięcy franków.

— Wierzę... ponieważ w tymże samym dniu, ty schwy-cisz dziesięć razy tyle. Jesteś nad wyraz przezornym, kochany hrabiol...

Posługujący przyniósł ostrygi wraz z dwiema butelkami Marcobrunner, z których Sariol wypił trzy części prawie.

Po pierwszych łyżkach zupy rakowej, skrzywił się, smakując.

— Ależ do pioruna—nie oszczędzili pieprzu—zawołał, pali w gardle, jak ogniem! Nic to jednak nie szkodzi, będzie-czem ugasić ów pożar, pomnożywszy liczbę butelek.

Półmiski wnoszono jedne po drugich wraz z omrożonemi, flaszkami, w których gorące słońce południa złościło sok winny.

Robert, pijąc sam nader umiarkowanie, napełniał wciąż szklanki winem towarzyszowi. Sariol wchłaniał je w siebie jak gąbka, a mimo to, skutek działania na mózg napoju dostrzedz się nie dawał, zwolna jednakże słabe oznaki pijaństwa okazywać się poczęły. Z ciężkością wymawiał wyrazy, z drzą-

cej ręki upuścił i stłukł dwie szklanki, mimo to umysł jego trzymał się jeszcze w równowadze i chociaż z trudnością wygłaszał zdania, wiedział dobrze wszelako, co mówił.

— Ależ to nie jest człowiek lecz beczka bezdenna...— pomyślał Loc-Earn.—Szczęściem Saint-Peray, dokończy dzieła nareszcie.

Dwie butelki napoju bursztynowej barwy, należące do najwyższej marki szampana, wniesiono zanurzone w lodzie.

— Pokosztujmy—wybełkotał Sariol, podając kieliszek. —Gorąco mi... a to zimne sprawi chłód przyjemny. Nalej, mój przyjacielu... nalej, mój bracie!

Robert napełnił kieliszek, Sariol wypił. Twarz jego rozjaśniła się.

— A! jakie to dobre— zawołał.—Nalej mi jeszcze... lej bez przestanku. Nie masz pojęcia, jak mnie udręcza pragnienie!

Trzy kieliszki wypróżnił jedno po drugim.

— Otóż pijany nareszcie—pomyślał Robert. Był nim w rzeczy samej, lecz bardzo nie wiele, czego dowodem iż odpiąwszy guziki swego granatowego tużurka, wyjął z kieszeni arkusz stemplowego papieru i położył go przed sobą.

— No, chwila nadeszła, piszmy—zawołał.

— Bardzo chętnie—odparł Loc-Earn—zaraz i deser przyniosą. Za twoje zdrowie, baronie.

— Za twoje, hrabio...

Wniesiono desery, a przy nich dwie nowe butelki zamrożonego Saint-Peray'a.

Sariol widocznie upojony winem, położył się na kobiercu, wyśpiewując jakąś gminną piosenkę przy poruszaniu w takt głową.

— Przynieś nam czarną kawę, likiery, owoce i cygara, a obok tego podaj rachunek—rzekł do posługującego Loc-Earn.

— Ale obecnie ja nie wiem, ile panowie wypalą cygar i ile wypotrzebują likierów—odparł służący.

— Licz dziesięć małych kieliszków i cztery cygara.

— Dobrze, panie.

Tu wyszedł zdumiony poszeptując:

— A to kamienne głowy!... W ich miejscu leżałbym już dawno pod stołem... Jeszcze wypiją dziesięć kieliszków, do czarta!

— Piszmy — wybąknął Sariol, po wyjściu chłopca, przerwawszy swoją piosenkę.—Piszmy, na tym przyniesionym przezemnie papierze.

— Za chwilę—odparł Robert.—Służący powróci, zapłacę mu, odejdzie i nie będzie nam już przeszkadzał.

— Nie będzie przeszkadzał?—powtórzył Sariol z głupowatym uśmiechem.—Nie będzie przeszkadzał.. he! he!.. a no to dobrze.

I, rozciągnąwszy się na dywanie, podłożył ręce pod głowę, drzemiąc z pozoru, mimo że szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w zwierciadło, umieszczone na ścianie po za swym towarzyszem.

Służący wszedł z rachunkiem. Cyfra za pomienioną libację dosięgała stu osiemdziesięciu franków.

Robert dał dziesięć luidorów.

— Resztę zachowaj dla siebie—rzekł do kelnera.

Chłopiec uklonił się i wyszedł.

— Piszmy — powtórzył Sariol uparcie.— Redagujmy i podpisuj.

— Nie uczuwasz już pragnienia?—pytał Loc-Earn, dobywając chyłkiem z kieszeni mikroskopijną flaszczykę.

— Ba! wciąż mnie pali, jak ogniem!.. pić mi się chce bezustannie. Lecz przedewszystkiem napisać kwit trzeba.

— Niech i tak będzie... Wypij kieliszek rumu, a ja biorę za pióro.

— Dobrze... podaj mi rum i bierz pióro w rękę.

Robert spojrział na Sariola, którego wzrok, coraz bardziej zamglony, zdawał się błąkać gdzieś w dalekiej próżni, a napełniony rumem w trzech częściach wielki kieliszek, wsączył

weń ze zręcznością doświadczonego sztukmistrza kilka kropeł płynu z wydobytej z kieszeni maleńkiej flaszeczki.

XXIX.

— A więc baronie—zapytał, śmiejąc się sekretarz pana d'Auberive—pisać będziemy nareszcie...

— Tak—tak, powtórzył Sariol tymże samym zająkliwym głosem, wyciągając rękę dla pochwycenia kieliszka, podanego przez towarzysza.

Robert nalał sobie rumu zarówno.

— Za twoje zdrowie—rzekł—mój dzielny kolego.

— Za twoje, mój przyjacielu!...

Loc-Earn był bezwątpienia najnikczemniejszym z łotrów, jacy istnieją na świecie, do owej chwili jednakże nie zabił jeszcze nikogo! Brakło mu do tego odwagi, nie do wykonania morderstwa, lecz do patrzenia na jego spełnienie. Nerwy miał w tym razie mniej silne, niż wolę. Odwrócił głowę pomimowolnie, podczas gdy ów człowiek, któremu przed chwilą ścisnął rękę, przybliżył do ust ów napój zatruty.

Po kilku sekundach Sariol wydał okrzyk głuchy, a raczej rodzaj jęczenia, połączonego z chrapaniem, oczy jego nadmiernie się rozszerzyły, szklanka wypadłszy z drżącej ręki rozbiła się na szczątki. Upadł całym ciężarem na kobierzec i leżał bez ruchu ze wzniesioną piersią, z której dobywał się oddech chrapliwy, ciężki, świszczący.

Robert, podszedłszy, pochylił się nad nim.

— Zbyt wiele wiedziałeś, przyjacielu — wyszepnął z cicha, a wyprostowawszy się dodał—Obecnie cała sprawa potrwa najdłużej pół godziny. Mogę odjechać spokojny. Nie odzyska on już przytomności.. Nie mam się czego obawiać. Nikt mnie tu nie zna, gdyby więc śmierć nastąpiła, któżby poważił się obwinąć hrabiego Loc-Earn'a o podobną zbrodnię?

Wziąwszy kapelusz, zwrócił się ku drzwiom, ale zatrzymał się przy nich.

— Zbrodnię?—powtórzył z dziwnym uśmiechem; nie... nie będzie tu zbrodni... Zatrę jej ślady.

I szybko pochwyciwszy opróżnione butelki zanurzone w przyrządzie do chłodzenia napełnionym lodem, zaniósł to wszystko na kobierzec i położył pod głowę nieszczęśliwego. Uczynił to z niesłychaną przezornością, ażeby to ciało bezwładne przedstawiało wyraźne skutki śmierci z pijaństwa.

— Doskonale!—wyszepnął, spoglądając zdala na ułożony przez siebie obraz —Pierwszy z lekarzy, jaki tu wezwany zostanie, stwierdzi, iż śmierć nastąpiła skutkiem opicia, a obok tego ze zbyt długiego spoczywania czaszki na lodzie. mój pomysł jest arcydziełem! Rozniosą o nim wiadomość wszystkie jutrzejsze wieczorne dzienniki!

Wyraziwszy w tych słowach swoje zadowolenie, schował trzy cygara do kieszeni, czwarte zapalił, spojrzął na zegarek, wskazujący dziewiątą godzinę i wyszedł z gabinetu.

W korytarzu spotkał posługującego, którego przy obračunku obdarzył luidorem.

— O której godzinie zamykacie waszą restauracyę? —zapytał.

— Różnie zdarza się, panie... Jeśli wszyscy goście się rozejdą, zamykamy około jedenastej, dziś jednak przybywali bardzo późno, będzie otwarte u nas jeszcze po północy.

— Pytam się o to dla tego—rzekł Robert—iż mój towarzysz nieco podchmieleł sobie...

— Rzecz zwykła—odparł śmiejąc się kelner.—Może trzeba przynieść filiżankę herbaty temu panu?

Nie... niepotrzeba—odparł Loc-Earn.—Nie jest on chorym bynajmniej. Zasnął sobie tylko, zostawcie go proszę w spokoju.

— Niech pan zaufać mi raczy; nie wejść wcale do gabinetu.

— Co do mnie—mówił Loc-Earn—mam pilny interes do

załatwienia. Wrócę tu prawdopodobnie za godzinę... Gdybym zaś nie powrócił, sprowadźcie fiakra dla mego przyjaciela i obudźcie go w chwili, gdy zakład zamykać będziecie.

— Dobrze... Uczynię wszystko według danego rozkazu.

Robert, wyszedłszy z restauracji, zagłębił się w kasztanową aleję otaczającą „Wzgórze,” na szczycie którego brzmiała muzyka i świeciły różnokolorowe latarnie. Szedł w stronę Pól Elizejskich.

— Jak to łatwo zabić kogoś—mówił sam do siebie.— Mówią o wyrzutach sumienia... Ja żadnych nie czuję. Sariol zagradzał mi drogę... Usunąłem przeszkodę... Wypadało mi tak uczynić.

Przez cały następny dzień ów łotr nie wyszedł z pałacu przy ulicy Ville-l'Eveque, a dzień ten zdawał mu się być długim nieskończeniem. Myślał wciąż co orzeczono o znalezionym trupie w miejsce pijanego człowieka? Czy ciało zaniesiono do Morgi? Czy Sariol został poznany przez którego z owych ludzi, między którymi przebywał? I z gorączkowym niepokojem oczekiwał ukazania się wieczornych dzienników.

Jakież było jego zdumienie, gdy rozłożywszy je spostrzegł, że żaden nie wspomina zupełnie o jakimkolwiek wypadku, zaszłym pod „Koszem kwiatów.”

— Ach! jak ci wydawcy bywają źle powiadamiani—wyszepnął—a jednak nie zwykła to sprawa... Jutro napiszą o tem bezwątpienia.

Pan d'Auberive zauważył tego wieczora, iż jego kochany hrabia-sekretarz, czytał gazety mniej dobrze, niż zwykle i bardziej zastanawiał się nad długimi politycznymi artykułami, z pominięciem dziennych wiadomości. Spostrzegłszy to, zwrócił uwagę Roberta, który usprawiedliwiał się silnym bólem głowy.

Wróciwszy do swego mieszkania, wcześniej udał się na spoczynek, źle jednak spał tej nocy. Straszne widzenia przesładowały go ciągle. Budził się co chwila i zrywał, widząc

Sariola stojącego przy łóżku, to z twarzą nabrzękłą od pijaństwa, to znów z obliczem zmienionem od działania trucizny, to śmiejącego się wstrząsającym szyderczym śmiechem i wygrażającego mu zemstą.

— Ehl widma, wy nocne... jesteście kłamstwem, złudzeniem—powtarzał sobie—zasnąć usiłując. Mimo to, czuł jakiś ciężar, przygniatający mu piersi, jakąś lodowo ogarniającą go trwogą.

Nad ranem przywidzenia ustąpiły, zasnął snem twardym.

Hałas przyspieszonych kroków nagle go przebudził i Józef, stary kamerdyner, wbiegł wystraszony do pokoju.

— Panie hrabio!—wołał—ach! panie hrabio!...—

Nie mógł mówić więcej. Zakrył twarz rękoma. Robert osłupiały ujrzał nagle ukazujące się po za Józefem straszne wcielenie prawa, w postaci komisarza policyi, przepasanego szarfą, w towarzystwie dwóch agentów.

Komisarz zbliżył się do łóżka.

— Jesteś—rzekł—czyli raczej pragniesz uchodzić za hrabiego Loc-Earn?

— Jestem rzezywiście hrabią Loc-Earn—odparł Robert—mogę to stwierdzić dowodami.

— Zostałeś skazanym w dniu trzecim Grudnia 1847 roku na trzy lata więzienia pod nazwiskiem Roberta Saulnier.

— To fałsz?—wykrzyknął łotr, bledniejąc. Fałsz... jakaś straszna pomyłka. Jestem ofiarą błędu, potrzebującego wyjaśnienia.

— Będziesz się tłómaczył przed sędzią śledczym któremu powierzono twą sprawę—mówił komisarz. Robercie Saulnier, aresztuję cię w imieniu prawa!...

— Lecz panie jam nie winien... przysięgam!...

— Tem lepiej dla ciebie...

— Pozwól mi przynajmniej uniknąć hańby aresztowania w tym tak powszechnie szanowanym domu. Dozwól mi stawić się samemu przed sądem.

— To niepodobna... nie mogę tego uczynić.

— Stawię się... poręczam słowem honoru...
Komisarz uśmiechnął się w milczeniu.
— Jestem zgubiony!... pomyślał Robert. Lecz kto mógł mnie zdradzić?

Wspomniał Sariola, ależ Sariol umarł.
— Czekam—powtórzył komisarz.—Spiesz się!...
— Boże!... mój Boże—szeptał stary kamerdyner, wznosząc ręce w górę. Jakież straszny wypadek... Co biedny mój pan na to powie.. To go zabije... zabije!..

Loc-Earn wstał, chwiejąc się, z łóżka, jak człowiek, rażony piorunem i ubierał się machinalnie. Mimo to miał tyle przytomności umysłu, iż schował do kieszeni pugilares, zawierający kilka biletów bankowych oszczędzonych ze swojej pensyi sekretarza.

— Jestem gotów—rzekł—mogę pójść z panem, protestuję jednak najmocniej przeciw podobnemu nadużyciu. Jakże okropnem jest dla uczciwego człowieka być traktowanym jak zbrodniarz! Do widzenia mój dobry Józefie—dodał, zwracając się do starego sługi.—Nic nie mów panu d'Auberive o tym tyle oplakany wypadku; wszystko się to wyjaśni, wrócę tu za kilka godzin.

— Oby Bóg spełnił słowa pana hrabiego—rzekł kamerdyner.

Przed bramą pałacu, na ulicy oczekiwał fiaker, w który komisarz rozkazał wsiąść więźniowi. Z drugiej strony, przy chodniku, stał drugi powóz ze spuszczonei storami. Jedno z tych okien podniosło się w chwili, gdy Loc-Earn wychodził z pałacu, a w otworze ukazało się cyniczne, szyderczo tryumfujące oblicze Sariola.

Widzenie to trwało zaledwie sekundę i szyba powozu zapadła.

— Do więzienia Conciergerie!... zawołał jeden z agentów na woźnicę,
Powóz ruszył z miejsca.

W ośm dni później, Robert zasiadł powtórnie na ławie oskarżonych w „Szóstej Izbie.“

Utrzymywał zawzięcie, że pomiędzy nim a Robertem Saulnier żadna łączność nie istnieje. Dziesięciu świadków dowiodło inaczej.

Pierwszy wyrok, skazujący go na trzy lata więzienia został uprawomocnionym i hrabia Loc-Earn stał się smutnym gościem domu poprawy w Poissy.

* * *

Pewnego wieczora, w trzy lata później, dość młody jeszcze mężczyzna, z twarzą, przysłoniętą niebieskimi okularami, z wysoko zawiązaną chustką na szyi, zadzwonił nieśmiało do bramy pałacu d'Auberive.

O ile można było dostrzedz przy słabem świetle gazu dochodzącego z ulicy, obszerny pałacowy dziedziniec ponury przedstawiał widok. Trawa wyrastała między kamieniami. Żadne światło nie błyszczało w oknach wielkiego budynku.

— Czy pan d'Auberive żyje jeszcze?—zapytał przybyły cichym głosem odźwiernego.

— Od lat trzech nasz pan spoczywa już w grobie, tknięty paraliżem mózgu.

— A jego córka?

— Młoda pani zamieszkała w klasztorze.

— W klasztorze w Paryżu, czy na prowincyi?

— Co pana obchodzić to może?

— Mam ważne zlecenie doudzielenia pannie d'Auberive.

— Od kogo?

— Od jednego z przyjaciół jej rodziny.

— Powiedz pan temu przyjacielowi, że panna Henryka dobrowolnie odłączyła się od świata, nie utrzymuje z nikim żadnych stosunków, chociażby interesa najważniejszymi być miały. Rozkazano mi to oznajmić każdemu.

— Jednakże...

— Dobranoc—przerwał odźwierny, zamykając okienko.

Loc-Earn, gdyż zapewne poznali go czytelnicy, odszedł z opuszczoną głową.

— Pomimo wszystkiego muszę ją odnaleźć, wyszepnął, mam ją w swym ręku z przyczyny dziecka!... Nie zawaham się przed niczem...

Nazajutrz rano udał się na wyspę Saint-Denis. W domku, gdzie był z Sariolem, znalazł same nieznane sobie postaci. Na zapytanie o rybaka i jego żonę, powiedziano mu, że otrzy-mawszy spadek oboje wraz z dziećmi wyjechali z kraju. Gdzie jednak, dokąd?—nic, nie wiadano.

— Wszystko zapada w ruinę!—pomyślał Robert.

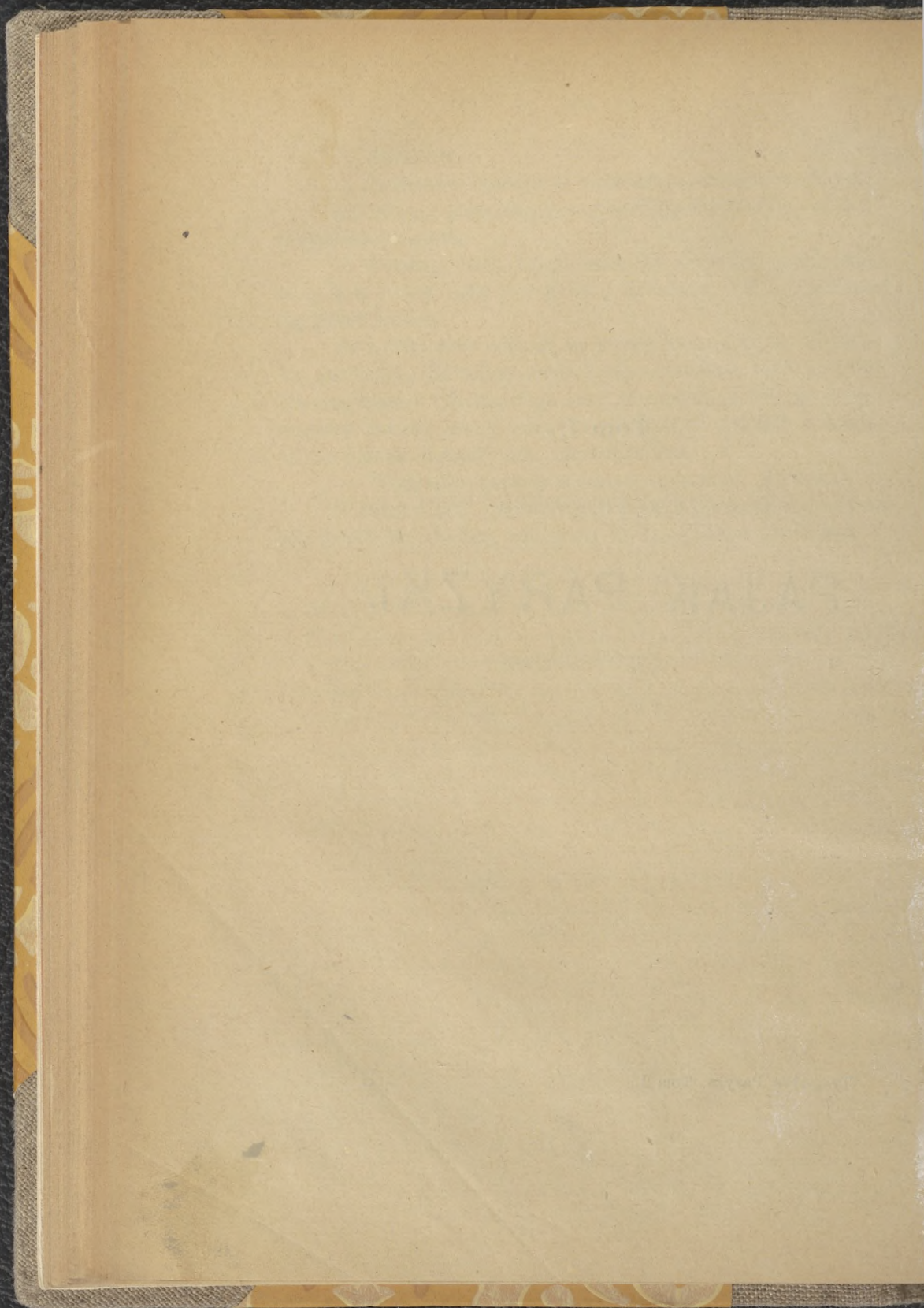
Z osnutej tak pracowicie intrygi, pozostał mu jedynie akt urodzenia dziecka, wniesiony do ksiąg stanu cywilnego.

KONIEC WSTĘPU.

Tom I.

CZEŚĆ PIERWSZA.

PAJĄK PARYZKI.



I.

Pracownia Jerzego Tréjan znajdowała się w pięknym murowanym domu przy ulicy de Laval. Do owój pracowni, średniej wielkości, napływało z północy owo przezroczyście zimne światło, tyle poszukiwane przez artystów malarzy.

Dwa małe przyległe pokoje, tworząc: jeden jadalnię, drugi sypialnię stanowiły wraz z małą kuchenką, cały apartament artysty. Sypialnia, do której wprowadzamy czytelnika w pewien poranek styczniowy 1872 roku, miała pozór zwykłego gabinetu.

Łóżko żelazne, szafka oszklona, mały dębowy stolik rzeźbiony i parę krzeseł, stanowiły umeblowanie.

Tak sufit, jak i ściany pokryte były hiszpańską materią w szerokie pasy o żywych barwach jaskrawych, równie jak firanki nad łóżkiem i przy oknie.

W chwili, gdy przestępujemy próg tego pokoju, zapuszczona szczelnie nad łóżkiem kotara tworzy głęboką ciemność w około uśpionego właściciela mieszkania.

Za chwilę przebudził się. Poruszył się z lekka, otworzył oczy, ziewnął kilka razy, podniósł się na poduszkach i zawołał:

- Walenty!
- Co pan rozkaże? — odrzekł głos męski.
- Pójdź do mnie.

— Jestem, panie.

Jednocześnie młody, wysoki chłopiec wszedł zwolna. Ubrany był w biały krawat, jasną kamizelkę, brązowe pantalony. Długi płócienny fartuch zachodził mu pod szyję, a pod lewem ramieniem trzymał trzepaczkę z piór.

— Która godzina?—pytał Jerzy Tréjan.

— Dziesiąta, panie, tylko co uderzyła na zegarze w pracowni

— Dziesiąta rano, czy dziesiąta wieczorem?

— Rano—odrzekł ze śmiechem Walenty.—Pan nigdy by nie spał tak długo.

— Napaliłeś w piecu?

— Już, panie i zamknąłem go. Huczy jak gdyby w maszynie. Bez napalenia, trudnoby było tu wytrzymać. Niech pan patrzy jaki mam nos czerwony. Drżałem z zimna, czytając pańskie Figaro. Zima dokucza nie żartem. Stawy i rzeki zamarzły, ale... uprzedzam pana, iż nie mamy już w zapasie ani kawałka węgla.

— Trzeba się o niego postarać...

— Uczynię to natychmiast, skoro pan mi da pieniądze na zapłacenie dawnego rachunku.

— Mamy czas jeszcze.

— Nie, panie... nie mamy go wcale. Węglarz, już trzy razy przychodził z upominaniem się. Jest to dla mnie rzecz bardzo przykra; sam nie wiem, co mu odpowiedzieć.

— Dobrze, dobrze!—odparł żywo artysta—zapłacę mu.

— Lecz kiedy?—pytał Walenty z niedowierzaniem.

— Skoro zjedziesz na dół. No! rozsuń franki, chcę wstać.

Służący spełnił polecenie. Pokój napełnił się światłem.

Walenty podszedł w stronę łóżka; cofnął się osłupiały z okrzykiem zdumienia.

— Co to jest? zapytał Jerzy Tréjan.

— Ach! wołał służący—jak pan jest bogatym od rana! Moznaby sądzić—dodał żartobliwie—że pan ograł dziś w nocę jakiego handlarza wieprzów.

Powyższe zdanie chłopiec zastosował do znanego francuzkiego przysłowia.

W rzeczy samej, garść luidorów błyszczała rozrzucona na małym dębowym stoliku.

— Tak—odparł Jerzy z uśmiechem—wygrałem w niespełna pół godziny. Baccar daje więcej korzyści, niż malarstwo. Ale, zdaje mi się, żem ci coś winien, Walenty, na rachunek twej pensyi? Być może że się mylę?

— Nie... nie! pan się nie myli—odparł żywo chłopiec—Należy mi się od pana za sześć miesięcy mej służby, co licząc po pięćdziesiąt franków miesięcznie, uczyni do stu talarów.

— Umiesz jak widzę rachować doskonale?

— Może pan mógłby mi wszystko zapłacić?... Bardzo bym panu był obowiązany.

— Nie; dostaniesz tylko tytułem zaliczki dwieście franków.

— Niech i tak będzie—rzekł chłopiec, chwytając chciwie podane sobie sztuki złota.

— Nie nadeszły do mnie jakie listy dziś rano?—pytał Tréjan.

— Nic, panie, oprócz Figara i trzech banderolowanych papierów. Może przynieść je panu?

— Nie trudź się daremnie. Wiem co one w sobie zawierają. Styl komorników dobrze jest mi znanym.

— Właściciel domu również przychodził z kontraktem wynajmu mieszkania,—mówił dalej Walenty.—Kazał on panu oznajmić że dziś już 20 Stycznia, a pan opóźnił się o dziesięć dni w zapłacie.

Jerzy wzruszył ramionami.

— Ach! jak on mnie nudzi ten ów jegomość—zawołał—głupie dziesięć dni opóźnienia... i cóż to znaczy? Wyniosę się ztąd... na honor! Jak on nie wstydzi się wołać tak natarczywie o pieniądze? Jest właścicielem domu, a więc jest bogatym. Niepotrzebuje aby mu płacono... Wszak to logiczne, nieprawdaż Walenty?

— Logiczne?... tak—mruknął służący, nie zdając się jednak być przekonany.—Czy pan będzie jadł w domu śniadanie?—zapytał po chwili.

— Ma się rozumieć. Pójdiesz za kupnem wszystkiego co trzeba. Podaj mi papier i ołówek, napiszę notatkę, nie ufam bowiem twojej pamięci.

I Tréjan, pisząc, głośno powtarzał:

— Przyniesiesz mi pół funta małych raków morskich, lecz wybierz co największe; pół funta pasztetu ze zwierzyny, pieczoną kuropatwę i torebkę kasztanów w cukrze osmażonych. Następnie pójdz do sklepu, z którego zwykle przynosisz mi wino, weź butelkę Château-Yquem i butelkę starego koniaku za luidora. W składzie Grand-Hôtel weźmiesz pudełko cukierków za sześćdziesiąt pięć centymów, ale ciemnych, czekoladowych. Lubię jasne, blond barwy, ale jedynie na główkach kobiecych. Wracając, zapłacisz rachunek węglarzowi i każesz mu przywieźć za sobą dwieście pięćdziesiąt kilogramów węgla, na kredyt, rozumiesz?

— Rozumiem—odrzekł Walenty.

— Bierz dziesięć luidorów i biegnij. Daję ci trzy kwandranse czasu na załatwienie tych sprawunków.

— Mam wrócić za trzy kwandranse, ależ to niepodobna!—zawołał chłopiec.—Najmniej półtorej godziny czasu na to potrzeba.

— Wsiądź do fiakra i przyjeźdź.

— Dobrze panie.—Tu wybiegł z pośpiechem.

Po jego odejściu Jerzy Tréjan spojrział smutno na garstkę złota, zmniejszoną ubytkiem dwudziestu luidorów.

— Rzecz nie do uwierzenia—wyszepnął—jak prędko znikają pieniądze w Paryżu, mimo, że wydaję tak mało! I, wstawszy z łóżka, począł się ubierać. W dziesięć minut później wszedł do pracowni, gdzie zasiadł w wielkim fotelu z czasów Ludwika XIII-go, w pobliżu rozgrzanego pieca, paląc cygaro.

Jerzy Tréjan był bardzo pięknym dwudziestopięcio

letnim młodzieńcem, silnym, muskularnym, a mimo to wytwornie ukształtowanym. Jego mała, patrycyuszowska głowa, otoczona gęstymi zwojami jasnych włosów, wznosiła się nad rozrosłemi barkami na giętkiej, jak gdyby kobiecej szyi.

Twarz owalna, zakończona ciemno-blond jedwabistą brodą, z upodobaniem pielęgnowaną, zalecała się artystycznymi liniami czoła, delikatnością rysów, białą matową cerą i łagodnością wejrzenia, wielkich ciemno-błękitnych oczów.

Zęby posiadał wytworne, usta różowe doskonale zarysowane.

Jednego tylko szczegółu brakowało tej ślicznej twarzy. Nie widniała w niej męzka energia. W spojrzeniu nie było siły, ni woli. Najmniej nawet biegły fizyolog mógł odkryć za pierwszym spojrzeniem w Jerzym Tréjan'ie naturę słabą, pozbawioną dzielności charakteru; duszę bez złych instynktów, ale nieprzygotowaną do walki z życiem, niezdolną do stawienia oporu lenistwu i chęci używania bez pracy. Oznaki te wyryte na jego obliczu, nie były zwodniczymi, jak o tem wkrótce się przekonamy.

Dla dopełnienia szkicu tej młodej męzkiej postaci, dodać nam wypada, iż Jerzy posiadał rękę długą, o cienkich smukłych palcach, prawdziwą rękę artysty, a nogę tak małą, iż nie jedna z kobiet pozazdrościć by mu jej mogła.

Malarska jego pracownia niczem się nie różniła od tych, których właściciele nie osiągnęli jeszcze majątku i sławy.

Nie posiadała ona owych mebli starożytnych, wielkiej artystycznej wartości, ani obić gobelinowych, ani wyrobów ze słoniowej kości, chińskiej porcelany, zbiorów dawnych zbroi, egzotycznych roślin w wazonach, słowem żadnego z owych szczegółów, wzbudzających zdumienie i podziw w odwiedzających.

Kilka doniczek z kwiatami na gerydonach, kilka figur gipsowych, kilkanaście studyów, pewna liczba starych rycin, oraz zbiór rzuconych od ręki szkiców, danych przez współtowarzyszów Jerzemu, tworzyły jedyne upiększenie pracowni.

Na szarej ścianie rozpiętym był szeroki dywan purpurowy.

Manekin na sprężynach wyginał się w dziwnej pozie obok stalug, na których opartym był jakiś świeżo rozpoczęty rodzajowy obrazek. Nieco dalej w pobliżu ramy w murze oszklonej, stała druga staluga cała płótnem zielonem nakryta. Kilka krzeseł flamadzkich pokrytych korduańską skórą, ze złożonemi poręczami stały rozrzucone tu i owdzie. Doliczywszy wielki piec, stoliczek na którym Jerzy zwykle jadał, drugi mały stolik do palet i pędzli, kilka stolików dębowych rzeźbionych i wielki fotel w stylu Ludwika XII, nasz opis będzie tak dokładnym, jak protokół komornika przybywającego dla zajęcia mebli jakiemu niewypłacalnemu dłużnikowi.

II.

Jerzy Tréjan, siedząc w swym wielkim fotelu z nogami, o piec opartymi, puszczał kłęby dymu z cygara.

Na jego twarzy widocznem było jakieś wewnętrzne niezadowolenie.

Nagle, głęboka zmarszczka zawidniała na jego czole pomiędzy brwiami, poruszył się na krześle i wyszepnął.

— Al jak bolesno pomyśleć, iż są bogaci ludzie na świecie, że istnieją milionerzy!... i że gdyby mój szanowny ojciec, hrabia Filip Henryk de Tréjan nie był roztrwonił majątku z kobietami, ja byłbym dziś jednym z takich milionerów!... Ach!... niech pioruny spalą los taki!...

Kółka małego szwajcarskiego zegara, zawieszzonego na ścianie skrzypnęły, miniaturowa kukulka, popchnięta siłą mechanizmu wybiegła z klatki kukając:

— Jedenasta! zawołał Jerzy—a ten hultaj Walenty nie powrócił! Kazałem mu wsiąść do fiakra... Wie jak go oczekuję... Widocznie ten blażen żartuje sobie ze mnie.

Wejście służącego przerwało ów gniewny monolog.

Walenty nic nie zapomniał. Przyniósł wszystko do najdrobniejszych szczegółów. Podczas gdy Jerzy otwierał pudełko z cygarami, nakrył stolik z pośpiechem, i wkrótce młody artysta zasiadł do obficie zastawionego, smakowitego śniadania.

— Przyrządę panu czarną kawę—mówił służący—pan mi zapomniał napisać to w notatce, a ponieważ nie mieliśmy w domu już kawy, wstąpiłem do kupca od którego zwykle pan bierze i przyniosłem.

Jerzy z zadowoleniem smakosza-łakomcy, oblupywał raki, zanurzył łyżkę w głąb pasztetu z którego rozeszła się woń delikatna jałowcu i zwierzyny, a zdjęwszy kapsel z butelki, nalał w kieliszek wina bursztynowego koloru.

Popijał je z wolna smakując, poczem odetchnął głęboko, uśmiech wybiegł mu na usta.

— Otóż — zawołał—jestem biedakiem wykolejonym, szlachcicem bez ziemi, artystą bez klientów, a może i bez talentu, lecz mimo wszystkiego, żyć umiem! Iluż milionerów w tym wielkim Paryżu nie mają takiego śniadania!... Dla czego los daje tyle bogactwa tym, którzy ich użyć nie umieją, a tak mało złota mnie, którybym zehrupał miliony memi białemi zębami? Czyż to sprawiedliwe?

Rzuciwszy to zapytanie, począł zajadać na nowo. Połowa pasztetu zniknęła. Z kuropatwy zostało tylko kilka białych kości. Ostatnia kropla Château-Yquem rozniosła woń po pracowni młodego artysty. Zaofiarował sobie na deser pół tuzina osmażanych kasztanów, wypił czarną kawę, a po niej dwa kieliszki starego koniaku, zapalił ciemno-brunatne cygaro ze sławnej hawańskiej fabryki Partagas i pograżył się w rozkośnym dumaniu.

— Sto tysięcy liwrów renty i Fanny Lambert—rzekł z cicha.—A! nie żądałbym więcej! Fanny Lambert—powtórzył; czy ja ją kocham?... W dzień o niej myślę... w nocy śnię o niej... na chwilę nie schodzi mi z pamięci... Lecz czyż to jest miłość? A jednak... gdyby ona mnie kochała? El! głu-

pie przypuszczenia! Fanny Lambert miałyby myśleć o mnie? Tak... czuję, że gdybym ją kochał, mógłbym oszaleć!... Nie! kochać jej nie chcę!

To mówiąc wstał z krzesła, *a podszedłszy ku staludze, odrzucił pokrywające ją płótno...*

Ukazał się portret średniej wielkości z wymalowaną nim głową i biustem młodej kobiety, blondynki, z czarnymi brwiami, a zielonemi oczyma, na podobieństwo księżnej de Nevers.

Trudno sobie wyobrazić coś bardziej niezwykłego, a zarazem i przykuwającego nad piękność owej kobiety, którą fantazyja artysty przystroiła w kostyum bachantki.

Szerokie liście ciemno-zielone winnej latorośli, pomieszane z purpurowymi winogronami, przewijały się przez splety bujnych jej włosów.

Skóra pantery przerzucona przez ramię kobiety, przysłaniała jej biust marmurowej białości. Na wpół otwarte usta uśmiechały się uśmiechem Menady, a głębokie jej, prawie surowe spojrzenie, zdawało się zadawać fałsz rozkosznym liniom tych ust koralowych.

Kobieta ta, była uosobioną postacią sfinksa. Całość portretu przedstawiała jakąś nierozwiązalną zagadkę.

Rozmyślanie, w jakie zagłębił się Jerzy, stojąc przed obrazem, przerwał nagle głos dzwonka, dobiegający z przedpokoju.

Artysta drgnął pomimowolnie i z pośpiechem zapuścił płótno na stalugę.

— Kto może przychodzić tak rano?— wyszepnął. — Wierzyciel? niech go czarci porwą! Szczęściem Walenty stoi na straży i wejść mu nie pozwoli.

Jednocześnie służący ukazał się we drzwiach.

— Kto przyszedł? — zapytał malarz.

— Pan Vibert — pyta czy może widzieć się z panem?

— Pan Vibert? jestem zawsze dla niego obecnym — rzekł Jerzy. — Niech wejdzie.

rytua



...Podszedłszy ku staludze, odrzucił pokrywające ją płótno (str. 170).

BIBLIOTEKI
BN
NARODOWEJ

Przybyły ukazał się z uśmiechem na ustach, otwartemi do uścisku rękoma.

— Dzień dobry, kochany artysto—zawołał—jakże się cieszę, że cię widzę... Cieszę się nieskończenie.

Vibert, bogaty właściciel składu obrazów z ulicy Lafitte, był mężczyzną pięćdziesięcioletnim, niskim, krępy i łyśym z krótkimi faworytami.

Elegancko ubrany, nosił zawsze nowy kapelusz, świeże rękawiczki, sądził się być bardzo przystojnym i lornetował kobiety z miną zwycięzcy.

Jako znak szczególny nadmieniamy, iż wielki pęk breloków, zakończających gruby łańcuch złoty, brzęczał bezustannie na jego okrągłym brzuchu, uwieczonym w długiej białej kamizelce.

Ów handlarz starał się usilnie nadać wyraz dobroduszości swym obłudnym semickim rysom, okraszając je uśmiechem.

— Jakiż duch dobry sprowadza pana w te strony, panie Vibert?—pytał Jerzy po uściśnieniu ręki przybyłego.

— Odbywam mą zwykłą wędrówkę po pracowniach, jak pan wiesz—rzekł kupiec i nie minąłbym ulicy de Laval, nie zapytawszy o pańskie zdrowie.

— Jesteś pan nad wyraz uprzejmym. Siądź proszę... Może zapalisz cygaro?

— Uczynię to tem chętniej, żem zapomniał wziąć z domu mojego porte-cygara.

— Wybieraj pan—rzekł artysta, podając otwarte pudełko

— Ha! ha!—Partagas—rzekł kupiec, poruszając głową. Cygara po piętnaście sous sztuka... Jaki zbytek! Pan zwykle te palisz?

— Tak; jest to zły zwyczaj, zbytckowne nawyknienie, wiem o tem, co jednak począć, gdy innych palić nie mogę. Albo zwykła fajka drewniana, nałożona kapralem, lub czystej krwi hawana, najwyższej marki. Jedno u mnie lub drugie. Przybywasz pan z jakąś propozycją, nieprawdaż?

— Naturalnie, i mam nadzieję, że się porozumiemy, jeżeli nie jesteś pan obecnie nazbyt zarzuconym zamówieniami...

— Niestety... nie!—odparł Jerzy z westchnieniem—mam więcej czasu, niż trzeba.

— Jeżeli tak, zacznij dla mnie pracować, będę szczęśliwym, słowo honoru! Pan wiesz ile cenię twój talent... Świetna przyszłość cię czeka! Możesz mi wierzyć, ja znam się na tem... Lecz cóż pan masz tu nowego?

I, założywszy monokl na lewe oko, Vibert zwrócił się ku staludze, na której stał ów rodzajowy obrazek.

— Jak pan widzisz—rzekł Jerzy—jest to, a raczej będzie wewnątrz wiejskiej chaty.

— Tak... widzę... Niska zadymiona izba. Stary ojciec, czytający Biblię, ponieważ ta wielka księga o kartach z czerwonymi brzegami i mosiężnych klamrach, nie jest zapewne czem innym, jak Biblią. Zgarbiona wiekiem babka, z twarzą zmarszczoną jak pieczone jabłko, robi na drutach pończochę. Młoda matka karmi piersią niemowlę, kilkoro zamorusanych pacholąt igrają z psem wiernym i ciągną za ogon kota. Jest to coś w rodzaju Grenz'a i Chardin'a, odmłodzone manierą Brion'a i Marchal'a.

— Piękne... bardzo piękne... na honor!

— Zatem podoba się panu?

— Niezupełnie...

— A jednak...

— Tworzyłeś pan już kilka obrazków na ten temat.—mówił Vibert dalej.—Wyznając prawdę, miałem wiele kłopotu ze zbyciem ostatnich. Uważasz, Kochany przyjacielu, na to nie mamy pokupu teraz.

— Wynika ztąd, iż pan żądałbyś czegoś innego?

— Tak... gdyby można... a dla ciebie to łatwą jest rzeczą. Posiadasz płodną wyobraźnię, bogatą naturę i temperament, mój chłopcze, ach! temperament, który jest najcenniejszym darem w artyście!

— A jak byś pan uważał folwark w czasie pożaru?

— Widzę to już... widzę!—zawołał Vibert. Noc ciemna. Olśniewające płomienie strzelają w górę jak bukiet, wyrzucony z racy fajerwerkowej... ściany się kruszą... dach się zapada... Prerażona rodzina, widząc palące się sprzęty przypomina sobie, niestety zapóźno, iż zaniedbała opłacić raty w towarzystwie ubezpieczeń. Rżą konie, wystraszone pożarem... błąkają się woły... pozostawiony osioł beczy żałośnie... rozbiegane owce oszołomione, do czego dodać należy kaczkę i gęś z otwartymi dziobami, w połowie biegnące, w połowie unoszące się w powietrzu.

Wszakże tak pojmujesz, ów obraz... nieprawdaż?

— W zupełności... Zdaje mi się, iż inaczej odtworzyć go niemożna. Jest to obraz kompletny, w najdrobniejszych szczegółach.

— I piękny... na honor... piękny!

— Mamże go rozpocząć?

— Strzeż się... nie czyn tego...

Jerzy spojrział zdumiony; Vibert mówił dalej:

— Tak mój kochany, strzeż się podobnych rzeczy. Strzeż się, tak, jak wpadnięcia w pożar twego płonącego folwarku. Temat jest pięknym, niezaprzeczenie, lecz spospolitowany, zużyty, wyczerpany i dyabelnie przestarzały. Mniej jeszcze tu ruchu niż we wnętrzu „wiejskiej chaty.“ Ani się bierz do tego pod żadnym pozorem!

III.

— A więc, mój przyjacielu—rzekł Jerzy, śmiejąc się głośno—obmyśl sam temat. Czegóż to żądasz?

— Sam nie wiem—odparł Vibert. Nie należy chwycić palcami po za rękojeść topora. Wyraziłem me „veto“ co do „Wnętrza wiejskiej chaty“ i „Pożaru.“ Ty snuj dalej swoje pomysły, idee. Możesz w nich czerpać pełnemi rękoma, po-

siadasz ich tłum cały. Wybierzemy coś z tej kupy, odnalazłszy jakiś kontur znakomity.

— Studyowałem zeszłego lata krajobrazy w Compiègne i Fontainebleau—rzekł Jerzy.—Mógłbym coś dać w tym rodzaju. Wszak pan wiesz, iż nie źle mi się udawało.

— Znakomicie! jak Rousseau, jak Cabat, jak Dupré i Troyon. Silne krajobrazy, na honor! Tylko że obecnie jestem niemi zasypanym... Posiadam takie mnóstwo tego, iż przed sprowadzeniem nowych, te w świat wypchnąć muszę.

— A morskie widoki, jak pan znajdujesz?

— Temat pociągający... Uwielbiam morze!... Gdybym mógł się kierować mym gustem... Ochl skały d'Etretat... wybrzeża Trouville, w różnnych blaskach zachodzącego słońca z gromadkami dzieci w najróżnorodniejszych ubiorach. Widoki takie są moją słabością jako amatora, wszak jako kupiec, zmuszony jestem niestety czynić ustępstwo gustom publiki nie lubującej się w widokach morza, nie... nie!.. Do tego stopnia wyrzec się ich jestem zmuszony, że moja żona pytała mnie kiedyś: Zkąd pochodzi ta twoja pogarda dla morza?

— A zimowe krajobrazy?

— Mam ich w obiegu do sześćset sztuk, które będą zmuszonym złożyć w sali wyprzedaży.

— Jak pan uważasz szkice z martwej natury?

— W tym względzie przekładają stare prace nad nowe. Głupstwem to jest, lecz tak się dzieje.

Jerzy Tréjan spojrział na mówiącego.

— Widzę, iż wszystko niepodoba się panu—zawołał—doprawdy, możnaby sądzić, iż pan umyślnie to czynisz. Nie przypuszczam jednak, ażebyś zadawał trud sobie i wdrapywał się na piąte piętro w tym celu, iżby mnie powiadomić, że nie chcesz żadnego z moich obrazów.

— Niech Bóg uchował—zawołał Vibert—pragnę je otrzymać... gorąco pragnę! Lecz widzisz, drogi przyjacielu, mam pewną ideę...

— To znaczy, pomysł—odrzekł artysta—masz pan swój

pomysł, a każesz mi odszukiwać w moich uparciu [przez całą godzinę, dla tego aby je odrzucać jeden po drugim. Szkoda straconego czasu i słów daremnych. Wyjaw że mi pan narzecie tą twoją ideę!...

— Najchętniej... lecz pozwól sobie naprzód wyłożyć małą teoryjkę.

— Długoż to trwać będzie? pytał Jerzy żartobliwie.

— Parę minut... nie więcej.

— Słucham więc.

— Dzisiaj, mój dobry—począł Vibert—sztuka jest chorą.

— Zdanie to niegdyś wyraził sławny Bilboquet, mówiąc:

„*Sztuka cierpi na wycieńczenie.*“

— Miał słuszność zupełną. Czy wiesz kto obecnie kupuje obrazy?

— Amatorowie, sędzę, i znawcy dobrego malarstwa.

— Niestety!... tych amatorów nie ma już śladu, a ci, którzy po nich nastąpili, nie znają się wcale, nie się nie znają.

— Dla czego więc kupują?

— A! otóż właśnie kwestya... Kupują, ponieważ obrazy przyozdabiają mieszkanie, a ztąd są niezbędnymi w cośkolwiek lepiej urządzonej apartamencie, jak jest nim piec i inne tym podobne szczegóły. Kupują następnie dla nadania sobie szyku. Między nabywcami, uważaj mój drogi, jest czwarta część giełdowych agentów, szachrujących interesami, spekulantów, zarabiających na giełdzie pieniądze; aktorek i kokot różnego rodzaju, lub tych wybladłych młodzieńców, pozujących na protektorów sztuki i artystów. Oto nasi klienci dzisiejsi!...

— Co nam to szkodzi, aby się nie targowali i dobrze płacili?

— Zapewne... Ale czy wiesz co im się podoba?

— Ciekawym...

— Oto przedmioty wabiące, zalotne, nieco lekkie... rozumiesz?

— Pojmuję—odparł Jerzy.—Jeżeli im trzeba Ludwika

XV-go, panią Pompadour, Ludwika XVI-go, rzecz nader łatwa. Mogę pójść do Muzeum, przez trzy dni studyować Watteau, Boucher'a, Lancet'a i Fragonard'a.

— Wpadłeś na ślad!... zawołał Vibert. Wkrótce się porozumiemy. Uważaj co powiem... Żadnych naśladowań lecz trzeba nam nowożytnego Fragonard'a... Jasno tłómaczę, nie prawdaż? Scen lekkich erotycznych... nagości, dostatecznie przysłoniętej gazą, aby nie odstraszała. Idei lekko drastycznej, ale ukrytą z powściągliwością. Słowem, obrazu, nad którym zastanowić się należy, lecz który jednocześnie odsłonięty wystawić można. Zrozumiałeś mnie?

— Doskonale!—rzekł Jerzy. Widzę, czego pan sobie życzysz i mam nadzieję będziesz ze mnie zadowolonym.

— Bravo!—wykrzyknął Vibert, zacierając ręce; cieszę się już naprzód twą pracą.

— A co do ceny? zapytał Tréjan.

— Ba! co do ceny...—odparł żywo kupiec; jedna i taż sama. Dziesięć luidorów od małej ramy... Jest to dobrze zapłacone, wierzaj mi mój drogi.

— Uważam przeciwnie... wyrzekł artysta. Rzecz, jakiej pan żądasz odemnie, jest wyjątkową. Możemy pomiędzy sobą nazwać ją bez osłon, po imieniu. Ma to być ze względu na moralność, jakoby ilustracya wzbronionej książki jaką się sprzedaje w ukryciu uczniom kolegów i starym libertynom. Nie będzie to sztuką, mój dobry, ale podniętą do rozpustnego śmiechu. Smutny obowiązek dla mego pędzla, to maczanie go w pieprzu Kajenny. Pomimo wszystkiego, przyjmuję zamówienie... żyć trzeba... a życie jest ciężkiem, żądam wszelako podwyższenia ceny do piętnastu luidorów, inaczej umowa nie przyjdzie do skutku.

— Ma to być ostatnie twe słowo?

— Ostatnie! szkoda czasu na dyskutowanie.

— Zgadzam się więc... ale ty mnie przyprawisz o bankructwo swojemi wymaganiami...

— Bankructwo... biedny człowieku, jakże cię żałuję!
mówił Jerzy śmiejąc się głośno.

— Zrób mi na początek cztery obrazy, według oznaczonego planu—mówił Vibert—dalej zobaczymy...

— Z dniem jutrzejszym zabiorę się do tego, lecz dziś potrzebuję pieniędzy. Daj mi pan tytułem zaliczki dwadzieścia pięć luidorów.

Handlarz rzucił się tak nagle, że monokl spadł mu z oka na podłogę.

— Ani grosza! — zawołał—ani szeląga! Zrujnowały mnie te wasze zaliczki... Nie złapiecie mnie na nie więcej! Winien mi jesteś tysiąc franków, przedewszystkiem odebrać je muszę. Zresztą nie mam zwyczaju płacić odrazu. Byłoby to głupstwem nie do wybaczenia! Po wykończeniu każdego obrazu wypłacę dziesięć luidorów, potrącając na stary dług sto franków. Sądzę że to słuszne? Nie nazwiesz mnie złym człowiekiem?

— Nie mogę pracować przy pustej kieszeni, to trudno!

— E!... nie pracujesz zarówno chociaż jest pełna... Zły zwyczaj, mój drogi—naganne nawyknienie.

— Daj chociaż piętnaście luidorów...

— Ani nawet pięciu!.. Rób, nie rób, jak ci się podoba.

— Zatem nic z naszej umowy...

— Ha! zmusić cię do tego nie mogę. Jestem pewnym wszelako, że rozmyśliwszy się, sam przyjdiesz do mnie.

— Bardzo wątpię...

— Przyjdziesz!... powiadam ci, że przyjdiesz!... Cóżbyś zrobił ze swemi malowidłami? Posiadasz talent niezaprzeczony, czego dowodem jest, iż tu przybyłem. Nie jesteś wszakże o tyle znanym, ażeby który z amatorów zechciał cię szukać bez pośrednika na piątym piętrze. Prócz tego znam twe lenistwo!.. Ach! jesteś leniwcem zawołanym, niezdolnym do jakichkolwiek starań dla własnego dobra. Nie zechciałbyś się trudzić chodzeniem do nabywcy, oczeku-

jąc, aż on sam przyjdzie do ciebie. Mówież prawdę... Tak, czy nie?... odpowiedz.

— Pozostaje mi zbyt prac moich w sali wyprzedaży...

Vibert wzruszył ramionami.

— W sali wyprzedaży? zawołał, ależ ty tam nie stąpiłeś nogą, jak żyjesz. Nie posiadasz o tyle głośnego talentu, ażeby twe prace osiągnąć mogły bajecznych cen pod uderzeniem młotka licytującego. Wszystko to znaczy rozgłos, reputacya, ślepe uwielbienie tłumów. Płacą za podpis setki tysięcy franków, podczas gdy inne płótna sprzedają za bezcen. Zapytaj pana Pilet—Ha! ha! ha! w sali wyprzedaży... Widzimy jak tam całemi dniami sprzedają obrazki po trzy luidory, warte nawet pięćdziesiąt.

To mówiąc, Vibert przechadzał się szybko po pracowni, a przystanąwszy pomimowolnie przed stalugą, odrzucił zasłonę w górę.

— Ach—zawołał z wyrazem zdumienia—masz takie perły u siebie i kryjesz je przed przyjaciółmi. To nieszlachetnie, artysto!

Jerzy, nie wiele dotąd zwracający uwagi na poruszenia Vibert'a, zerwał się zapłoniony gniewem, a przyskoczywszy do stalugi, zapuścił płótno na obraz.

Handlarz obrazów chwycił go za rękę.

— Paniel!...—zawołał gniewnie Tréjan.

— Lecz mój kochany—przerwał mu Vibert—z jakiego powodu nie chcesz mi dozwolić podziwiać tego pięknego dzieła? Słońce świeci dla wszystkich, jak sądzę. Jest to klejnot... prawdziwy klejnot, przysięgam! Rysunek, koloryt, wypukłość postaci, wszystko doskonałe! Do czarta! nie przypuszczałem, iż tyle siły posiadasz. Winszuję... z całego serce winszuję!

Jerzy uczuł się rozbrojonym temi słowy. Wrodzona artystyczna próżność, nie dozwalała mu odepchnąć tej czary pełnej upajającego napoju, jaki pochlebstwem się zowie,

— Znajdujesz więc pan ów portret dobrym—zapytał.

— Wszak widzisz—że jestem zachwyconym—olśnionym!.. Zkąd u czarta zdobyłeś tę głowę?

— Z własnej wyobraźni.

— Nie! to nieprawda—zawołał Vibert. Tworzone to z natury, albo jakiegoś wspomnienia. Może cokolwiek ją wyidealizowałeś, przypuszczam to... nie przeczę, takich jednakże oczów nie wytwarza się z wyobraźni, a zresztą patrz... W kąciку przy ustach, znajduję się maleńkie znamię. Przysięgnij mi, że to znamię jest twoim wynalazkiem... a choć byś nawet i przysiągł, nie uwierzę!.. Znam ja się na tem, mój drogi... Jest to malowane z natury i dałbym w zakład głowę, że ów model istnieje, a co więcej, że go spotykał po kilkakroć razy.

IV.

— Pan spotkałeś tę osobę?—pytał żywo Jerzy.

— Tak—odrzekł Vibert.

— Gdzie?

— Tego nie pomnę.. W teatrze—na spacerach, lub na wyścigach być może, słowem w jednym z owych miejsc, gdzie spotykamy się, nie znając zupełnie.

Po tych słowach kupiec obrazów wpatrywał się w ów portret przez kilka minut w milczeniu, to oddalając się, to przybliżając, słowem studyując w najdrobniejszych szczegółach to dzieło, następnie rzecz nie do uwierzenia, dobył z bocznej kieszeni pugilares, a wyjąwszy zeń bilet tysiąc frankowy, podał go artyście.

— To dla ciebie—rzekł—a portret dla mnie—Rzecz postanowiona?

Tréjan przecząco potrząsnął głową.

— Nie!—odparł zwięźle.

— Jakto... odmawiasz przyjęcia tysiąca franków?

— Odmawiam...

— Czy podobna?—zawołał Vibert z osłupieniem:—Dlaczego przyjąć ich nie chcesz?

— Dlatego, że portret nie jest do sprzedania.

— Ba! wszystko jest do sprzedania, za pieniądze na tym naszym świecie...

— Widzisz pan, że nie... ponieważ pragniesz tego portretu, a ja go zatrzymuję dla siebie.

— Ha! ha! grasz ze mną komedycę, mój dobry...—zaśmiał Vibert—dlatego, ażeby podniósł cenę. Znamy się na tem... Przyznaję więc... kupić go pragnę... popełniam szaleństwo i ofiaruję ci za niego tysiąc dwieście franków. No, teraz mi odstąpisz to płótno, nieprawdaz?

— Niel

— Dam tysiąc pięćset...

— Niel

— Dwa tysiące franków!...

— Ani nawet za dziesięć tysięcy—zawołał Jerzy—za żadną cenę, słyszysz mnie pan, ów obraz nie wyjdzie z mojej pracowni. Nie upieraj się więc w podwyższaniu ceny, co jest nader dla mnie pochlebne, przyznaję, ale nie doprowadzi do żadnych rezultatów, ponieważ nie zostanie przezemnie przyjętym.

Vibert zamknął spokojnie pugilares, schował go do kieszeni i zapiął swój paltot.

— Otóż poczynam rozumieć—wyrzekł po chwili.—Sprawa serca, namiętność niepokonana, portret jakiejś kochanki—A! głupstwo... głupstwo... szaleństwo! Nie badam cię, drogi artysto... jestem dyskretnym... nie mam zresztą zwyczaju mieszania się w nieobchodzące mnie sprawy, pozwól jednak sobie powiedzieć, że miłość, czy kaprys chwilowy, wszystko to prędko przemija; pieniądz, jeden tylko pieniądz trwale pozostaje!... Pocałuj mnie więc, mój przyjacielu... W dniu, w którym, ochłonawszy z miłości a nie mając pieniędzy przyniesiesz mi to płótno, będę miał dla ciebie zań przygotowane dwa tysiące franków, jakich dziś przyjąć nie chcesz. Co zaś do za-

mówionych obrazków, staraj się je wykończyć według umowy. Do widzenia... Radzę ci rozmyśl się jeszcze... Wkrótce być może do widzenia.

Tu Vibert wyszedł z pracowni, wzięwszy z pudełka bez ceremonii drugie cygaro Partagas. Skoro drzwi zamknął za sobą, Tréjan rzucił się na krzesło.

— Mieć talent!—zawołał—ponieważ posiadam go nie zaprzeczenie i zarabiać zaledwie dwadzieścia pięć do trzydziestu ludiorów miesięcznie, malując dla wyzyskiwacza pracy lubieżne nagości, och! jakież to nikczemne, jakie upokarzające.

Zerwał się i zaczął biegać po pracowni jak zwierzę, w klatce zamknięty.

— Nazywać się hrabią de Tréjan—wyrzekł po chwili—wierzyć w swą wyższość artystyczną i współzawodniczy pędzlem z owymi roznosicielami, sprzedającymi chyłkiem skandaliczne fotografie, wysyłane przez „szóstą Izbę“ do Mazas!... Otóż do czego doszedłem! Hańba bez korzyści, to mój los obecny, bo czyliż zdołam wyżyć z tego, co Vibert mi ofiaruje!

Och! ty... mój ojczec... dziki samolubie, który po zadowoleniu swych żądz i pragnień, pozostawiłeś mnie w nędzy, dla czego mnie na świat wydałeś? Krew, płynąca w mych żyłach, napawa mnie wstrętem do pracy, budzi we mnie pragnienie zbytku, chęci używania bez granic... a jestem ubogim i być nim nie przestanę!

— Walczyłem przeciw mej własnej naturze, chciałem nad ludzką pracą zdobyć sobie sławę, majątek, by za pomocą tych sił zadowolnić moje upodobania, gusta, nawyknięcia!.. I otóż zawiodłem się srodze!

— Do czegoż mnie doprowadziła ta rzemieślnicza praca? Czyż moją dzisiejszą egzystencję życiem nazwać można? Zostanęż kiedykolwiek jednym z tych, których obsypują złotem za najmniejsze pociągnięcie ołówkiem, lub pędzlem?

— Nadto smutnego doświadczenia!... Dość tego... Wszelka praca nie produkcyjna, jest oszukiwaniem samego siebie...

Nie chcę oszukiwanym być dłużej... Karty przekonały mnie ubiegłej nocy, iż życie zabaw i rozkoszy jest korzystniejszym nad trud i mozół. Iluż spotykałem ludzi w salonach pół światka dla których walet kierowy i dama pikowa stanożyły dostatni fundusz utrzymania!... Czemuż nie miałbym ufać, jak oni w swą gwiazdę? Nie próbować szczęścia?... Posiadam przezorność, krew zimną, te dwie wielkie zalety dobrego gracza. Nie będę się upierał spostrzegłszy, iż ów los mi nie sprzyja aby nie cofnąć się w porę, lecz przeciwnie, z zuchwalstwem i energią korzystać będą z przyjaznego uśmiechu fortuny.

— Zresztą, cóż ryzykuję?—dodał po chwili milczenia z gorzkim uśmiechem; jeśli mnie gra nie z bogaci, to i nie zrukuje wcale.

Przybywaj więc, hazardzie!.. Tyś odtąd mym Bożyszczem!... Znużony wegetowaniem, chcę zacząć żyć nareszcie!

* * *

Podczas, gdy ów człowiek wykolejony, artysta bez odwagi, zasad i przekonań, młodzieniec, żądny rozkoszy, dla którego dwadzieścia pięć lub trzydzieści luidorów były drobnostką, godną pogardy, postanowił porzucić dotychczasowy uczciwy zarobek w pracowni, dla wejścia w gwar życia niskiego brudnego świata Paryża, mały czarny powozik, uprzężony w angielskiego bieguna, z woźnicą w czarnej liberyi, zatrzymał się przy ulicy de Laval, przed domem, gdzie mieszkał Jerzy Tréjan.

Na drzwiczkach tego powozu widniał podwójny herb, z baronowską koroną.

Wysiadłszy zeń średniego wieku mężczyzna, podążył ku odźwiernemu.

— Pan Tréjan? zapytał, czytając listę lokatorów.

— Na piątym piętrze, nad antresolą, drzwi na wprost wschodów.

— Wiem... ale czy jest w domu?

— Nie widziałem, aby wychodził.

Upewniony, iż zastanie Jerzego, przybyły wchodzić zaczął na stopnie, starannie wywoskowane.

Ów nieznamy, był to wysoki, szczupły mężczyzna, nader eleganckiej powierzchowności. Czarny jego jedwabny kapelusz połyskiwał świeżością. Jasne popielate pantalone spadały na wąską długą nogę. Prawą ręką okrytą jasną rękawiczką, poruszał z niechcenia złotym brelokiem od zegarka. Różnokolorowa wstążeczka widniała przy butonierce jego ciemno-granatowego paltota.

Zarost ciemny, gęsty, okalał jego twarz bladą o rysach regularnych. Oczy miały barwę i blask metaliczny stali; nos orli nadawał całej fizynomii wyraz imponujący, a długie wąsy, z węgierską zakręcone, pokrywały wąskie i drobne usta.

Osobistość ta na pierwszy rzut oka zdawała się mieć około czterdziestu pięciu lat wieku, po ściślejszem wszelako rozpatrzeniu, widocznem było, iż przeszła dawno po za pięćdziesiąt.

Drobne, niedostrzeżone prawie, ale liczne zmarszczki zarysowywały się pod jego oczyma, a nabrzękle sine powieki świadczyły o długim spędzaniu nocy bezsennych i nadużywaniu rozkoszy życia. Zresztą czarno-fioletowa barwa jego faworytów i wąsów stanowiła sprzeczność z mnóstwem siwiejących włosów na jego głowie, przekonywając niezaprzeczenie o wpływie jakiegoś chemicznego preparatu, celem ukrycia nadciągającej starości, a zatrzymania tego, co czas niszczy bezlitośnie. Nieznajomy ów bądź co bądź dosięgał pożądanego celu ponieważ nawet obecnie można go było nazwać „pięknym podstarzałym.“ Szybkim krokiem przebiegł piętra, dzielące go od mieszkania Jerzego Tréjan, a zatrzymawszy się przy drzwiach pracowni, nie zadzwonił ale gałką od laski uderzył z lekka kilkakrotnie we drzwi.

Był on, jak się okazywało, poufnym przyjacielem domu, zawsze serdecznie przyjmowanym, ponieważ na jego widok uśmiechnął się Walenty i otworzywszy drzwi pracowni wygłosił:

— Pan baron de Croix-Dieu.

Usłyszawszy to nazwisko, artysta, z radosnym okrzykiem podbiegł ku przybyłemu i uściśnął mu rękę.

— Ach! jakież przyjemne odwiedziny... zawołał. Jakżem szczęśliwy baronie, że cię widzę!

— Spodziewałem się tego, mój Jerzy—rzekł uśmiechając się pan de Croix-Dieu—i dla tego pospieszam do ciebie.

Tréjan zaprowadził barona w pobliżu pieca, posadził go w fotelu i podał pudełko z cygarami.

— Zdaje mi się, że cię całe wieki nie widział—mówił artysta, wpatrując się w przybyłego—najmniej ze dwa tygodnie! Sądziłem już, żeś o mnie zapomniał.

— Było to niesprawiedliwe przypuszczenie—odparł pan Croix-Dieu—wszak wiesz, ilem dla ciebie życzliwy i jestem pewien twojej wzajemności w tym razie.

— Cóżeś robił przez te dwa tygodnie, baronie?—pytał Jerzy powtórnie uściśnąwszy mu rękę.

— A! jedno... wciąż jedno! odparł zapytany.

V.

Tréjan uśmiechnął się na tę odpowiedź przybyłego,

— Wciąż jedno?... powtórzył. Ależ baronie, jest mnóstwo zmian w tej twojej pozornej jednostajności.

— Wierzaj mi—począł pan de Croix-Dieu—my ludzie, beczynni z pozoru, jesteśmy rzeczywiście zatrudnionymi od nocy do rana. Paryż, pochwycający nas w koła swoich błahostek, nie wypuszcza z nich, nawet dla uściśnienia ręki najlepszym przyjaciołom. Jesteśmy prawdziwymi niewolnikami.

— Niewolnikami zabaw, przyjemności...
— Bądź co bądź, zawsze to okowy.
— Lekkie do dźwigania.
— Często krępujące. Co jednak począć? ulegam im z wyrozumiałością filozofa. A ty, kochany artysto, cóż się z tobą dzieje. Jesteś zadowolonym?

— Ale gdzież znowu... bynajmniej!

— Czemu?

— Ponieważ wszystko źle idzie.

— Praca?

— Nuży mnie... i do żadnego celu nie prowadzi.

— Pieniądze?...

— Brak mi ich...

— Długi?

— Uciskają... Otóż widzisz przed sobą człowieka, kompletnie zniechęconego do życia.

— Zniechęconego?... w tym wieku... z twoim talentem? Ależ w tem co mówisz nie ma najmniejszego sensu!

— Ach! drogi przyjacielu, zawołał Tréjan, na miłość Boga nie mów mi o moim talencie! Gdybym go miał nawet, rezultaty, jakie mi on daje są tak nędznemi, iż lepiej abym go wcale nie posiadał. Jeżeli chcesz poznać stanowisko, jakie zajmuję w świecie sztuki, posłuchaj jak piękną propozycję czynił mi pewien handlarz obrazów, który ztąd odszedł przed chwilą.

Tu Jerzy opowiedział szczegółowo rozmowę, mianą z Vibertem.

— Masz słuszność, do czarta!—zawołał baron, wysłuchawszy opowiadania!—Podobnie upokarzające propozycję są nie do przyjęcia. Ów człowiek i jemu podobni, pragną korzystać nieszczemnie z ciężkiego położenia w jakim się znajdujesz. Gdybyś posiadał majątek i był niezależnym, przemawiałby inaczej zupełnie. Wyczekiwaliby u ciebie w przedpokoju, pokorni, służalczo cierpliwi. Błagali by cię, obsypując złotem o parę płócienn twego pędzla, pełnego wdzięku, jakie publiczność oceniła już według wartości.

Jerzy przyjął w milczeniu to tak pochlebne zdanie swego gościa.

— Bardzo to być może,—odrzekł po chwili—nieszczęściem jednak nie jestem w stanie zmienić położenia... Ono to panuje nademną, przygniata mnie i uciska. Jestem ubogim i nie przestanę nim być nawet przy największej pracy. A gdyby spadł mi z nieba jakiś nie spodziewany majątek, mówię ci szczerze, baronie, iż nie pracowałbym wcale. Nie jestem stworzony do walki z życiem... Nie posiadam ambicji... pogardzam chwałą... pragnę jedynie spoczynku.

— Pod wyrazem spoczynek, rozumiesz życie zabaw i rozkoszy? nieprawdaż.

— Nie zaprzeczam... jest to jedynem mojem marzeniem!

— Potrzeba by ci było, ot tak... do ośmdziesięciu tysięcy liwrów renty... małego pałacyku, rozkosznego gniazdka wysłanego jedwabiem, zapełnionego przedmiotami sztuki. Obok tego, koni pełnej krwi, powozów z dobrej fabryki, pierwszorzędnego paryzkiego krawca i modnych buduarów...

— O! tak... tak!—wyszepnął Jerzy z głębokiem westchnieniem—potrzeba mi tego wszystkiego... lecz powiedziałem, jest to marzenie!

— Które urzeczywistnić się może...

— W jaki sposób? Jakim cudem? Zkąd by miało spaść na mnie jakie dziedzictwo... nie posiadam krewnych, ani rodziny...

— Można zostać bogatym za pomocą małżeństwa tak dobrze, jak za pomocą sukcesyi.

— Ja? miałbym się ożenić? zawołał Tréjan.

— Nie podoba ci się ów projekt?

— Nie wiem... Nie pomyślałem nad tem jeszcze... Zresztą, to o czem mówisz, baronie, jest tylko wytworem twojej fantazy. Czyżby bogata kobieta zaślubić mnie chciała?

— Dla czego nie?

— Z bardzo prostych powodów w danym razie.

— Z jakich?

— Nie nie posiadam.

— Nie masz majątku, to prawda, lecz w zamian inne ważne zalety.

— Jakie... ciekawym?

— Najprzód, mój Jerzy, jesteś bardzo pięknym...

— Och! baronie... chciejże oszczędzić mą skromność i nie obsypuj mnie pochwałami, — przerwał śmiejąc się artysta.

— Bardzo pięknym, powtarzam — mówił pan de Croix-Dieu, a co więcej, jesteś wysoce dystyngowanym. Posiadasz nauki, wyższe wychowanie, jesteś dżentlemenem od stóp do głowy. Nosisz świetne nazwisko... Hrabia de Tréjan!...

— To ostatnie, baronie, jest dla mnie bez wartości. Porzuciłem mój tytuł, zrozumiałwszy, że wszelkie arystokratyczne pretensje byłyby śmiesznością obok ubogiej kapoty, jaką się przyodziewam. Dla wszystkich jestem obecnie Jerzym Tréjan'em, niczem innym... wszak wiesz o tem dobrze.

— Jerzym Tréjan'em, którego prądziadowie brali udział w wojnach krzyżowych. Wierz mi, mój drogi, to ma zarówno swoją cenę. Korona o dziewięcin perłach gdy jest historyczną, staje się dla rybek łakomą przynętą w rękach zręcznego łowcy posagów.

— Upewniam cię, że niepotrafiłbym użyć podobnej przynęty... Nie zręcznym byłby w mym ręku ów połów,

— Co do ciebie, być może... Ja jednak potrafiłbym kierować tą wędką.

— Jak to, baronie?

— Upoważniasz mnie do swatania ciebie?

— Na serjo pytasz o to?

— Zupełnie na serjo... słowo honoru!

— A więc... dla czegoż by nie? Wynajdź mi partyę stosowną, skoro tak dalece okazać mi pragniesz swą przyjaźń, a przyjmę z zamkniętymi oczyma wybraną przez ciebie kobietę.

Uczynię ją hrabiną de Tréjan... Lecz pod pewnym warunkiem, ma się rozumieć...

— Pod jakim?

— Aby nie była starą, ni brzydką. Wszelka śmieszność przeraża mnie, bardziej po nad ubóstwo. Gotów jestem odstąpić moje nazwisko za pęk banknotów, zastrzegam jednak, aby niektóre warunki tej spekulacji nie były dla mnie zbyt uciążliwymi.

— Nie obawiaj się... Upewniam, że posag będzie znakomitym i ładną narzeczoną.

— Gdybyś dokonał tego, baronie, uważał bym cię za najzręczniejszego z czarodziejów!— rzekł, śmiejąc się Jerzy.

Pan de Croix-Dieu wstał z krzesła i spojrział w stronę pracowni, gdzie znajdowała się staluga z portretem kobiety, jaką artysta po odejściu Viberta zapomniał przysłonić.

— Ach! zawołał, otóż coś... czegom dotąd nie widział jeszcze.

Zbliżywszy się ku staludze, przystanął.

— Fanny Lambert!... zawołał, ależ to wspaniale!

Jerzy drgnął nagle.

— Znasz Fanny Lambert? zapytał żywo.

— Znam ją doskonale... Jestem poufnym jej przyjacielem.

— Przyjacielem?... poufnym jej przyjacielem—powtórzał z wachaniem Tréjan. Jakto mam rozumieć, baronie?

— W sposób najprostszy i najzacniejszy w świecie. Zachowuję dla Fanny Lambert uczucie szczerzej przyjaźni, ojcowskiej życzliwości, a jeśli chcesz, wysoki zarazem szacunek.

— Szacunek?... baronie, za daleko się posuwasz...

— W czym takim? Fanny Lambert jest najuczciwszą z kobiet, jakie znam.

— Jesteś zbyt pobłażliwym... Uczciwa kobieta mająca kochanków?..

— Miała jednego...

— Jednego?

— Tak... I jeszcze nie zostało dowiedzionem ażeby książę Aleoscu był jej kochankiem. Mówią w tym względzie bardzo wiele rzeczy. Ale jak widzę ty nie znasz wcale historii tej czarującej kobiety?

— Nie znam, w rzeczy samej...

— I ty... ty Jerzy, człowiek wytworny, z tak podniosłym umysłem, postępujesz jak gminny prostak i rutynista! Rzucasz wyrok na tę kobietę i sądzisz ją z pozorów, a co więcej potępiasz ją... Ach to niegodnie!

— Przyznaję, że może zawinił... Objaśnij mnie więc o tem, o czem nie wiem, baronie.

— Nie mam prawa do tego. Zaufanie Fanny odsłoniło mi niektóre szczegóły jej życia, mimo to, nie podobna mi jest bez jej upoważnienia uchylić zasłony, okrywającej jej przeszłość. Mogę cię jednak upewnić, a nawet zaprzysiędz, że jest kobietą godną szacunku i poważania.

Wymówiwszy z zapalem te słowa, jakie silne wrażenie sprawiły na Jerzym, baron de Croix-Dieu całą uwagę zwrócił na znajdujący się portret przed sobą.

— Nie lubię mówić pochlebstw—rzekł—wiesz o tem dobrze, mój Jerzy; wyrażam jedynie to tylko, co czuję... A więc... nie mam wyrazów na uwielbienie tej twojej pracy! Jakie to piękne... tryskające życiem... Ależ to arcydzieło! Fanny Lambert pozowała więc u ciebie?

— Tak, przez dni kilka do portretu jaki wykończyłem przed trzema tygodniami, a który zapewne widziałeś u niej, baronie?

— Nie widziałem go wcale;—odrzekł pan de Croix-Dieu! Fanny nie mnie o nim nie wspominała. Dla czego ta tajemnica, a tem dziwniejsza, że nie jednokrotnie pytała mnie o ciebie.

— Ona... pytała o mnie? W jakich wyrazach?—badał żywo Jerzy.

— W najbardziej sympatycznych. Chwaliła wielce

talent, rzecz naturalna. Powiedz mi jednak, czy od chwili wykończenia tamtego portretu widziałeś Fanny?

— Widziałem.

— U niej?

— Niel tu... Zwiedzała moją pracownię, dwa czy trzy razy.

— I podczas tych wizyt pozowała do tego drugiego studyum?

— Ona nie wie nawet wcale że to płótno istnieje—odparł śmiejąc się Jerzy. Malowałem z pamięci.

— Czy podobna? Jak mogłeś w nieobecności modelu uchwycić tak doskonale podobieństwo? To nie do uwierzenia!

— Przeciwnie... jest to rzecz najprostsza w świecie.

— Paradoks!...

— Niel najczystsza prawda... dowiodę tego.

— Dowiedź!... przekonaj mnie. Właśnie tego pragnę...

Musisz jednak wyszukać silnych argumentów!

VI.

— Przedewszystkiem kochany baronie—zaczął Jerzy Tréjan—postać Fanny Lambert, jest tak głęboko wrytą w mojej pamięci, że widzę ją przed sobą bezustannie, co daje mi sposób do najwierniejszego jej odwzorowania. Potrzebuję przymknąć tylko oczy na chwilę, aby ukazał mi się jej obraz, czysto, wyraźnie, jak dobra fotografia. Zjawisko to dziwić cię nie powinno. Pojawia się ono w jednakich i tychże samych warunkach, u nas artystów, gdy jakkolwiekbydź przedmiot zajął żywo naszą wyobraźnię.

Pan de Croix-Dieu uśmiechnął się z widocznym zadowoleniem.

— Mój Jerzy—wyrzekł po chwili—należę, jak ci to powiedziałem do liczby najpoufniejszych przyjaciół Fanny Lam-

bert. Obok tego jestem bogatym. Przyznaję wyjątkową wartość tej twojej pracy, i byłbym szczęśliwym, gdybyś mi zechciał na własność odstąpić to studyum. Gotów jestem zgodzić się na cenę, jaką sam oznaczysz.

Tréjan zarumienił się pomimowolnie.

— Do czarta!—zawołał—widzę, iż szczęście dziś nie sprzyja mi wcale!

— Jakto... dla czego?

— Radbym zadość uczynić twemu życzeniu, o czem nie wątpisz sądzę, baronie, a przedmiot żądany przez ciebie wyjątkowo nie dozwala mi tego uczynić.

Pa de Croix-Dieu, zdawał się być mocno zdziwionym.

— Jak to?—zapytał—nie możesz mi odstąpić tego obrazu?

— Nie mogę.

— Sprzedałeś go więc?

— Nie! Ów kupiec, o którym ci mówiłem chciał przed chwilą również kupić to studyum. Ofiarował mi zań wysoką cenę, jaka bardzo byłaby przydatną dla mej opróżnionej saskiewki. Odmówiłem... nie chciałem mu sprzedać,

— Pojmuję... ależ ja nie jestem handlującym obrazami. Jestem twym przyjacielem, a to zupełnie zmienia postać rzeczy. Twoje płótno, nabyte przezemnie, pozostanie w mojem mieszkaniu, w nader dobranem towarzystwie, jak wiesz, i nie wyjdzie już ono odemnie.

— Błagam cię, nie nalegaj!—rzekł Jerzy. Zwiększasz mój żal, nie zmieniając postanowienia.

— Nie powiem już i słowa więcej o tem—odparł Croix-Dieu! Sądzisz, być może, iż byłoby niedelikatnością z mej strony, pozbawiać cię portretu pomienionej osoby, przybranej w kostyum nieco przezroczyisty, z nieświadomością oryginału. Gdyby to miało być powodem twojej odmowy, przyniosę ci własnoręczne upoważnienie Fanny Lambert. Skoro zażądam go od niej, jestem pewien, że mi takowe udzieli.

— Baronie... baronie!—wołał Tréjan z żywym niepokojem, nie czyni tego... proszę... zaklinam! Fanny Lambert nie

wie o istnieniu tego obrazu. Miałaby prawo uważać go jako nadużycie zaufania z mej strony. Nie zdradzaj mej tajemnicy, jeżeli nie chcesz mi sprawić krwawiącej serce boleści!

— Uspokój że się, mój Jerzy—mówił Croix-Dieu;—nie radbym ci sprawiać przy krości, lecz mówiąc otwarcie nie rozumiem powodów takiej obrazy? Gdyby Fanny wiedziała o istnieniu tego drugiego pięknego portretu, zażądała by go niezwłocznie dla siebie, nie chcąc zostawiać go w twym ręku i upewniam cię, iż miałaby zupełne prawo do tego.

— Tak—wyszeptał z cicha artysta,—Nie rozogniaj więc rany. Gdyby Fanny Lambert zażądała tego portretu, nie śmiałbym go jej odmówić. I otóż czego się lękam... czego nie chcę!...

— Ha! ha!—zawołał śmiejąc się Croix-Dieu—jako samolub artysta, pragniesz zachować dla siebie ów czarujący obraz?

— Pragnę... o tak!... bardziej nad wszystko na świecie!

— Zachowaj go więc, mój Jerzy. Jest to jedyną pociechą dla rozkochanego, gdy może wzdychać do portretu uwielbianej.

Tréjan zarumienił się powtórnie.

— Jakto?—wyszeptał z widocznym zmieszaniem,—miałżebyś sądzić, baronie?

— Zatrzymaj się, mój drogi—przerwał Croix-Dieu—nie sądzę, lecz jestem pewien. Jesteś zakochanym w Fanny Lambert... szalenie zakochanym, więcej niż sam wiesz o tem... Dla czego jednak to kryjesz! Miałżebyś przeczuwać to, iż nieszczęściem będzie dla ciebie ta miłość?

— Nieszczęściem... czemu? pytał Tréjan.

— Czemu? odpowiem ci jako przyjaciel z całą szczerością. Najprzód nie wiem, czy Fanny Lambert cię kocha... czy będzie kiedykolwiek kochała, mam jednak to przekonanie, uważaj dobrze... to niezbite, silne przekonanie, że nigdy twoją kochanką nie zostanie.

— Nawet gdyby mnie kochała?...

— Będzie walczyła, przeciw swojej i twojej miłości, a tego nie uczyni.

— Wyznam ci baronie, że to wygląda na paradoks,

— W czym?

— Gdyby nawet Fanny zasługiwała na szacunek jaki jej przyznajesz, nie zaprzeczysz iż miała kochanka...

— Powtarzam ci, iż nie zgadzamy się obadwaj w tym razie. Przyznawszy jednak słuszność twemu sądowi, ów błąd właśnie, umocniłby ją w jej uczciwym obecnie postępowaniu. Najskromniejszą dziewczę, najcnotliwszą z kobiet zamężnych ulegała by może pokusie, Fanny Lambert tego nie uczynił!

— Nie rozumiem cię, baronie...

— Nie rozumiesz, bo źle znasz Fanny a raczej nie znasz jej wcale. Zbieg dziwnych okoliczności uczynił z niej pozornie to, czem jest według twego zdania i według tych którzy ją sądzą być kobietą lekkich obyczajów, uchodzi za taką i wie o tem. Wie, co mówią o niej, lecz wie zarazem czego jest godną, słusznie, czyli nie słusznie, a według mnie najniesłuszniej, straciła szacunek świata, lecz zachowała swój w obec siebie. Ma ona tylko jedną myśl, jedno pragnienie, cel jeden, a tem jest rehabilitacja. Wie ona dobrze, że jeden błąd popełniony, uczyniłby ją tem, czem się być zdaje i tego błędu nie popełni. Choćby szaloną dla ciebie zapłonęła miłością, będzie walczyła przeciw temu uczuciu, umrze dlań być może, ale nie zejdzie z uczciwej drogi!

— Czegóż więc chce... do czego dąży?—pytał Jerzy.

— Powiedziałem ci—pragnie rehabilitacji!...

— W jaki sposób?

— Za pomocą legalnego małżeństwa.

— Ależ to szaleństwo!—zawołał Tréjan.

— Nie rozumiałeś mnie przed chwilą—odrzekł Croix-Dieu—a teraz ja ciebie nie rozumiem.

— Baronie, mówmy na seryo... Któżby zaślubił Fanny Lambert?

— Kto?... uczciwy człowiek, posiadający odwagę do wzniesienia się po nad głupie przesady, posiadający siłę do nakazania szacunku, o którym by był przekonany, że jego żona nań zasługuje, o tyle inteligentny nakoniec, iż wiedziałby, że okupuje szczęście całego życia, poświęceniem egoistycznej miłości własnej! Taki człowiek znajdzie się, bądź pewnym mój Jerzy. Ja zobowiązuję się go odszukać.

— Jak to? chcesz dopomagać w małżeństwie Fanny Lambert?—pytał artysta ze źle ukrytą obawą.

— Tak... chcę... i tego dokonam! Myśl uszczęśliwienia dwojga ludzi sprawi mi rozkosz niezrównaną...

— Dla czego sam jej nie zaślubisz, skoro ją tak wysoce cenisz?—zapytał Jerzy.

— Dla mnóstwa przyczyn, a oto dwie główne. Fanny jest dla mnie życzliwą, jako dla przyjaciela, lecz nie zaślubiła by człowieka, którego by nie kochała. Zresztą, ja kocham inną... Ach! gdybym miał serce wolne i gdybym był młodszym o jakie 10 lat dziesięć, nie jntro, nie za godzinę, ale natychmiast powiedziałbym tej kobiecie; „Chcesz przyjąć moje nazwisko?“ I baronowa de Croix-Dieu byłaby królową Paryża.

— Fanny jest bogatą, nieprawdaż—pytał Tréjan po chwili zadumy.

— Tak... posiada dwa miliony.

— Zkąd przyszła do tego majątku?

— Nie wolno mi jest na to ci odpowiedzieć, mogę jednak zapewnić, że jego źródło jest czystem i że przyszły mąż Fanny, będzie mógł bez zarumienienia wraz z nią go dzielić.

To mówiąc, pan de Croix-Dieu wziął kapelusz, laskę, i podał rękę Jerzemu.

— Odchodzisz już, baronie?—pytał ostatni.

— Muszę... oczekują na mnie... Ale sprawiłbyś mi wielką przyjemność, gdybyś po jutrze o jedenastej zechciał przyjść do mnie na kawalerskie śniadanie.

— Przyjdę niezawodnie.

Pan de Croix-Dieu zwrócił się ku drzwiom lecz w chwili wyjścia przystanął jeszcze przed portretem Fanny.

— Powtarzam ci — rzekł — kochany przyjacielu, że to mistrzowskie arcydzieło. Jednak przy całym bogactwie twego talentu, sądzę, że wyżej już nie postąpisz. Jak dumną powinna być kobieta, która zdołała wywołać takie natchnienie w sercu artysty-poety! Ach! gdyby Fanny ten portret widzieć mogła!...

— Nieszczęściem, nigdy go nie zobaczy. Liczę na twą dyskrecję, baronie. Pamiętaj o tem.

— Nie zawiedziesz się... Mam więc twą obietnicę?

— Przybędę...

— Do pojutra zatem?

— Tak!.. do pojutra...

— Ostrzegam jednak, nie poddawaj się nadto myślom o zachwycającym oryginale tego obrazu. Jest to rada serdecznego twego przyjaciela... Możesz obawiać się wszystkiego, a żadnej nadziei. Oto bilans twojej miłości. Wyrzec się jej lepiej w samym zawiązku, bo inaczej, może ci ona przynieść wiele bolesnych zawodów!

Po ostatniem uściśnieniu ręki, rozłączyli się obadawaj. Baron wyszedł z pracowni artysty a wsiadłszy do swego kabrioletu, zawołał na stangreta:

— Na ulicę Le Sueur... co żywo!

Woźnica popuścił lejce dzielnemu kłusakowi angielskiemu, przemknął szybko przez bulwar Hausmana, aleję Frydlańską i w pobliżu Łuku tryumfalnego zatrzymał się przed okratowaną bramą pałacyku, którego lekka, wysmukła architektura przypominała styl budowli z ośmnastego stulecia. Brama ta prowadząca na dziedziniec, obsadzony bezlistnemi w tej porze platanami, otwierała się właśnie w chwili, gdy powóz barona przed nią zajeżdżał.

VII.

Pan de Croix-Dieu wszedł, nie zapytując odźwiernego, witającego go w progu niskim pokłonem. Spojrzał na dwa dzielne rasowe konie jakie stangret wraz z groomem zaprzęgali do ośmio-resorowego powozu „Wiktorya“ wybitego wewnątrz pięknymi futrami, przebiegł lekko ośm stopni marmurowych, zdobnych podwójnym rzędem wazonów ze starego deftskiego fajansu, i zatrzymał się w progu obszernej sieni, gdzie lokaj we fraku, krótkich opiętych spodniach, białych pończochach i lakierowanych, na srebrne klamry spinanych trzewiakach, otworzył mu drzwi z pościechem.

— Pani wyjeżdża—rzekł służący—ale mimo to przyjmie pana barona.

Jednocześnie pokojówka nie ładna, lecz zalotna z pozoru, przybiegła oznajmiając, iż pani kończy ubieranie i prosi pana barona, aby zatrzymać się raczył w małym salonie.

— Dobrze, dobrze!—odrzekł pan de Croix-Dieu, niech się nie spieszy, chętnie zaczekam. I z całą swobodą człowieka, znajdującego się jakby we własnym swym domu, minął pierwszy salon w stylu chińskim, ściśle na wzór sal urzędowego przyjęcia w Pekinie przybrany, przeszedł drugi salon w stylu Ludwika XVI-go, pokryty ślicznymi gobelinami rysunku a la Watteau i Boucher'a i wszedł do trzeciego, znacznie mniejszego pokoju, którego ściany przysłonięte były jedwabną wschodnią materią w pasy błękitne i białe.

Tu zatrzymał się, a wzięwszy ze stolika najświeższy numer dziennika „*Źycie paryzkie*“, rozparł się wygodnie w fotelu na wprost różowego marmurowego kominka, płonącego żywym ogniskiem i zaczął przeglądać artykuły zamieszczone w tem piśmie, zawierające szczegóły wypadków eleganckiego świata Paryża.

W kilka minut potem, otworzyły się cicho i zamknęły w bocznej ścianie drzwi, któremi weszła młoda kobieta; drobne jej nóżki tak lekko stąpały po miękkim kobiercu, iż Croix-Dieu wcale wejścia tego nie zauważył. Zatrzymawszy się już przed oczekującym, wybuchnęła głośnym srebrzystym śmiechem.

— Ha! ha! baronie—wołała żartobliwie—raczże przecie spojrzeć na moją osobkę... Zdaje mi się, że ona na to załuguje? Powiedz mi czy dobrze wyglądam w tym stroju?

— Jesteś zachwycającą!... jak zwykle, kochana Fanny—odrzekł powstając.

Fanny Lambert, ona to bowiem była, uśmiechnęła się złośliwie.

— Ów mały cukierek był koniecznym?—odpowiedziała, przybierając pozę jednej z bohaterki komedyi Dumas'a syna. Niestety, zaledwie ów zużyty komplement wywołała moja toaleta. Wstydz się baronie! Przypatrzże mi się lepiej... Upprzedzam, że pragnę jakiegoś innego dowodu uwielbienia, do mej osoby wyłącznie zastosowanego. Włóż swoje binokle, mój dobry i jeżeliś od urodzenia nie został krótkowidzem, powiedz mi coś innego nad owo nieznosnie spospolitowane „zachwycająca.“ No jakże? nie zdobędziesz się na coś lepszego?—szczebiotała śmiejąc się żartobliwie.—Spiesz się, baronie... ja czekam!...

W rzeczy samej, młoda kobieta była uroczo piękną w swej aksamitnej fioletowej sukni obszytej sobolami. Płaszcz, podobny jak suknia, z takimże obszyciem, małeńki aksamitny fiolkowy kapelusik, umieszczony na wierzchu piramidalnie uczesanych jej jasno-blond włosów, uzupełniały ubranie. W rękę trzymała małeńką aksamitną mufkę, zastosowaną do całości kostyumu, a drobne jej, kształtne nóżki, obute w buciki, godnemi były nóżek historycznego Kopciuszka.

Przedstawiając w jednym z poprzednich rozdziałów portret Fanny, malowany z pamięci przez Jerzego Tréjan'a, odfo-

tografowaliśmy ją jak najwierniej. Cokolwiekbyś więc chcielibyśmy dodać pod względem niezwykłej piękności tej kobiety, byłoby tylko powtarzaniem się.

Wielu z czytelników zna dobrze syreny w tym rodzaju, jakiej nadaliśmy nazwisko Fanny Lambert. Poznają w niej jedną z tychże, pod maską przejrzystą przysłaniającą zaledwie jej rysy twarzy i przyznają, że Jerzy Tréjan był nader zdolnym malarzem, a w braku innych zalet, był przynajmniej wiernym kopistą.

Filip de Croix-Dieu, znalazł bez trudu wyrazy, tak natarczywie żądanej przez młodą kobietę pochwały, za co w nagrodę nadstawiła mu czoło do pocałunku mówiąc:

— Wszelka praca wynagrodzoną być winna.. Płacę ci, baronie, twój wysiłek autorski.

Croix-Dieu dotknął ustami włosów, zalotnie nastrzępionych nad białem czołem Fanny.

— Pomówmy na seryo drogie dziecię—rzekł.—Przybywam z ulicy de Laval.

— Widziałeś Jerzego?

— Widziałem.

— Mówiłeś mu o mnie?

— Rzecz naturalna, ponieważ dla tego jedynie, jeździłem do niego.

— I cóż?

— Ha! sprawdziło się, com przepowiedział.

— Tréjan jest zakochanym w twej kornej służce?

— Szaleni!

— Kaprys chwilowy...

— Nie!—to prawdziwa, gorąca miłość!

— Co mówisz?

— Mówię, prawdziwe, namiętne uczucie!...

Fanny Lambert, rzuciwszy mufkę na krzesło, siadła, przed kominkiem.

— Mówisz, prawdziwe, gorące uczucie—zawołała śmie

jąc się wesoło.—Ależ to ciekawe... Opowiedz mi wszystko, baronie, opowiedz.

— Lecz powóz czeka na ciebie...

— Niech czeka. Jerzy więc obrał ciebie za powiernika?

— Tak... pomimowolnie. Wybadałem go tak zręcznie, że ani się spostrzegł. Ten chłopiec szalenie w tobie jest rozkochanym. Na pamiątkę zrobił sobie twój portret. Jest to coś cudownie pięknego! Ofiarowałem mu zań bajeczną cenę, nie przyjął jej, mimo że się znajduje w wielkich kłopotach pieniężnych.

— Biedny chłopiec!—szepnęła Fanny?

— Żałujesz go?

— Ma się rozumieć! Znam ja podobnie przykre położenie z własnego doświadczenia.

— I w dodatku ów biedak zakochał się w tobie...

— Co do tego, należy się jeszcze przekonać. Ale dla czego wówczas, gdym była u niego, nie pokazał tego, jak mówisz, tyle pięknego portretu?...

— Ponieważ obawia się, abyś go nie zażądała dla siebie, czego wówczas odmówić by ci nie mógł, a zachować go pragnie.

— Wiesz co, baronie? poczynam teraz wierzyć twemu opowiadaniu... Tak... to podobne do pierwszych blasków miłości. Powiedz mi zatem, czy wraże, gdybyśmy snuli dalej nasze plany, Jerzy gotów byłby mnie poślubić?

— Być może...

— Jakto... wątpliwość?—zawołała Fanny istnieją więc jakie przeszkody?...

— Tak... lecz przeszkody te można będzie usunąć, jeżeli ściśle za mojemi wskazówkami pójsz zechcesz i będziesz czyniła wszystko z swej strony, aby Jerzego nakłonić do małżeństwa...

Gładkie czoło Fanny zmarszczyło się z lekka. Wielkie jej zielonawe oczy o przenikliwym spojrzeniu, patrzyły ponuro.

Głęboko zadumana, wsparła jedną z swych drobnych nóżek na okratowaniu płonącego ogniem kominka.

— Nad czem tak przemyśliwasz?—pytał Croix-Dieu.

— Rozważam baronie—odpowiedziała—czy warto zadować sobie tyle pracy, ponosić długie zabiegi, dlatego, ażeby jakiś tam biedak raczył wyświadczyć zaszczyt, pięknej jak ja kobiecie, pojmując ją za żonę?

— Pamiętaj o tem, że ów biedak, jak go nazwałaś, jest hrabią de Tréjan...

— Bo też inaczej myśleć o nim nie warto by było! Według mnie, w tej ważnej sprawie potrzeba działać z wielką przeczornością. Jesteś pewnym, że Jerzy jest rzeczywiście hrabią de Tréjan?

Croix-Dieu, wydobywszy arkusz papieru stemplowego, podał go młodej kobiecie.

— Oto moja odpowiedź—wyrzekł poważnie—jest to kopia aktu urzędowego. Czyliż podobny dokument wątpliwym być może?

— Cóż mieści w sobie ów papier?

— Akt urodzenia. Jerzego, Raula, Maksymiliana de Tréjan, jak i akt zejścia jego ojca, Ludwika, Kacpra, hrabiego de Tréjan, wicehrabiego de Saint-Paul, barona de Guër, właściciela Landuae, Binoire, Palud i innych majątności. Hrabiowie de Tréjan pochodzą z najdawniejszej szlachty bretońskiej; istnieli już oni w ósmsetnym roku. Ich herb umieszczonym jest w Wersalu, w sali Krzyżowców. Spokrewnieni z najstarożytniejszymi rodzinami Francyi! Jerzy jest bliskim kuzynem wicehrabiego Armanda de Grandlieu, którego małżeństwo w niedawnym czasie tak głośnem się stało.

— Tak... pan de Grandlieu, człowiek niezmiernie bogaty, lecz mający podobno przeszło lat sześćdziesiąt, zaślubił wychowaną przez siebie sierotę, panienkę cudnej urody, Herminię de Randal. Ale—mówła dalej Fanny—powiedz mi baronie, jakim sposobem Jerzy, potomek tak znakomitego rodu, właściciel tylu majątności, przywiedziony został do tak smut-

nego stanu iż pędzłem na życie zarabiać dziś musi, mając przytem więcej długów niż obrazów do sprzedania?

— Zaraz ci to wytłómaczę—odparł Croix-Dieu z powagą.—Rozległe dobra hrabiów de Tréjan przeszły podczas ich emigracyi na własność państwa. Dziad Jerzego, po powrocie Burbonów, za otrzymany milion indemnizacyi, odkupił zamek Tréjan wraz z otaczającemi go dobrami i umarł w pięćdziesiątym roku życia, spodziewając się że syn jego, Ludwik, zapomocą bogatego małżeństwa przywróci dawną świetność rodowi.

Hrabia Ludwik człek lekkomyślny, oddany całkiem rozkoszom życia, ożenił się z panienką ubogą, po której wkrótce owdowiał. Sprzedawszy następnie swój historyczny zamek, ak również i otaczające go włości, z zebranemi kapitałami przybył do Paryża, gdzie rozpoczął giełdowe spekulacye, nie szczędząc sobie przytem uciech światowych.

Lubił zbytki, okazałość, rasowe konie, grę hazardową, kobiety i dobrą kuchnię. Wiodąc podobne życie, rujnował się po kilka razy i dzwigał się znowu skutkiem giełdowych operacyi, aż wreszcie, w pięćdziesiątym piątym roku życia zginął w pojedynku o jakąś baletniczkę z opery.

Pozostały po nim majątek dosięgał zaledwie dwudziestu tysięcy franków.

Oto szczegóły o ojcu, a teraz przejdźmy do syna.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

